



Danuta

Chlupová

*Czasem prawdę o naszych
bliskich odkrywamy,
będąc od nich bardzo daleko...*

Blizna

NOVAE RES

Danuta Chlupová

Blizna



NOVAE RES

Spis treści

Prolog

Rozdział I. Zadanie

Rozdział II. Pomocnik

Rozdział III. Synowie

Rozdział IV. Zetknięcie z przeszłością

Rozdział V. Kamienna matka

Rozdział VI. Nowy trop

Rozdział VII. Świadek

Rozdział VIII. Chora

Rozdział IX. Nasza klasa

Rozdział X. Pożegnanie

Rozdział XI. Spowiedź

Rozdział XII. Telefon

Rozdział XIII. Odchodzenie

Epilog

Od autorki

Prolog

Kłęcząca przed obrazem Matki Bożej, lecz z jej ust nie wychodziły słowa modlitwy. To był monolog zaadresowany do mężczyzny, od którego dzieliła ją odległość sześciuset kilometrów.

Potrzebowała usprawiedliwienia. Tak bardzo go pragnęła, że skłonna była uwierzyć, iż Bóg zesłał śmierć na tę wioskę tylko po to, by dać jej znak.

„Pewnie nie będziesz w to wierzył, lecz niebiosa zatwierdziły mój wybór. Jeszcze wczoraj nie byłam pewna, czy podjęłam właściwą decyzję, tymczasem dziś wiem, że słusznie postąpiłam – zwracała się w duchu do nieobecnego rozmówcy, wobec którego czuła się winna. – Tak, brzmi to zuchwale, a jednak taka jest prawda...”

Łzy napłynęły jej do oczu.

– To straszne... Zabili Zenona. Wyciągnęli go wczesnym rankiem z łóżka, wyprowadzili na pole i strzelili w tył głowy. Potem to samo zrobili z jego ojcem. Pamiętasz Zenona? Nim wyjechałeś, był małym chłopcem. Teraz miał już szesnaście lat. Cały czas siedział w książkach. Mówił, że jak wojna się skończy, pójdzie do gimnazjum, a potem na politechnikę.

Kolana miała zdrętwiałe, ponieważ kłęcząca tak już dobre pół godziny. Kłęcząca dlatego, że do jej pokoiku już dwa razy zaglądała mama. Nie miała teraz ochoty na rozmowę, więc udawała, że się modli. To skutkowało – matka za każdym razem wycofywała się po cichu.

„Nie mogę uwierzyć w to, co dziś rano się wydarzyło. Ale nie o Zenonie chciałam ci opowiadać, lecz o tym liście, który – jak sądzę – już dotarł do ciebie. Jeszcze kiedy niosłam go na pocztę, miałam wątpliwości, czy słusznie postępuję. Wiedziałam, że chcę być z Frankiem, lecz miałam wyrzuty, że zrywam z tobą, kiedy jesteś w ciężkiej sytuacji. Bałam się, że Bóg mnie za to ukarze. Tymczasem on zaakceptował mój wybór”.

Uśmiechnęła się przez łzy.

„Wierz mi, teraz już jestem spokojna, wbrew temu, co dzisiaj się stało. Sąsiadów Franka, jednego po drugim, rozstrzelali, a on cudem uszedł z życiem. Czyż to nie znak Boży?”

Wstała, rozprostowała nogi. Wciąż czuła tę dziwną mieszankę trwogi, bólu i... ulgi. Odpędzała od siebie obraz leżącego w kałuży krwi chłopca, odgłosy strzałów, które rankiem dochodziły zza lasu.

Jeszcze nie wiedziała, że od kul zginęło trzydziestu sześciu mężczyzn. Nie wiedziała, że Zenon i jego ojciec nie byli jedynymi ofiarami, które знаła.

Rozdział I

Zadanie

Narada odbywała się według ustalonego schematu. Do momentu, kiedy Wiktor zrobił efektowną przerwę, po czym oznajmił ożywionym głosem:

– Za trzy tygodnie otwieramy filię w Czechach, zapadła ostateczna decyzja.

Te słowa nie tylko mnie wyrwały z letargu. Praktycznie wszyscy podnieśli głowy i utkwili w szefie wyczekujące spojrzenia. Należało się spodziewać, że przynajmniej dla niektórych z nas nowa filia będzie oznaczała nowe obowiązki. I sporo zmian.

– Większość załogi zatrudnimy na miejscu. Ale co najmniej przez pół roku koordynatorem musi być ktoś z centrali – kontynuował Wiktor. – Pomyślałem o Kasi.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że padnie moje imię. Ostatnio coraz częściej prześladowały mnie obawy, że mój młody szef uważa mnie za dinozaura.

– I co ty na to, Kasiu? – Uśmiechnął się teraz do mnie. Wszyscy wyczekująco odwrócili się w moim kierunku.

– Gdzie będzie ta filia? – spytałam. Moje myśli poszybowały natychmiast w kierunku Wyszehradu w Pradze, gdzie prawie trzydzieści lat temu całowałam się z pewnym Czechem, którego poznałam na międzynarodowym obozie młodzieżowym.

– W Ostrawie.

Och! Nie byłam nigdy w tym mieście, niemniej kojarzyłam, że to centrum zagłębia węglowego, coś w rodzaju Katowic.

– Hm – mruknęłam bez entuzjazmu.

Wiktor uśmiechnął się kwaśno.

– Nie pojedziesz tam na wczasy. Czeką cię ciężka praca, na zwiedzanie i rozrywki nie zostanie ci zbyt wiele czasu. Ostrawa to w sam raz miasto dla nas. Działa tam Czesko-Polska Izba Handlowa, która pomoże nam z wieloma sprawami, w okolicy jest sporo osób, które mówią po polsku. Myślę, że dobrze będzie ci się tam pracowało. A przede wszystkim uważam, że zasłużyłaś już na to, by objąć samodzielne, odpowiedzialne stanowisko.

Ach tak! Więc to ma być awans. Wysiliłam się na uśmiech.

– Dziękuję za zaufanie – wymamrotałam. – Tylko... Po prostu nie spodziewałam się tego. Ile czasu dasz mi do namysłu?

Nim Wiktor zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Paweł Tokarz, który od dawna nie ukrywał, że chciałby pracować za granicą:

– Ja na twoim miejscu w ogóle bym się nie zastanawiał. To przecież oferta nie do odrzucenia.

– Otóż właśnie – zgodził się z nim Wiktor. – Jutro zaraz z rana wpadnij do mnie, uzgodnimy szczegóły.

– Mamo, tak się cieszę! Nareszcie cię zauważył! – entuzjasmowała się w telefonie moja córka.

– Gdyby to była Praga. Albo choćby Olomouc. Ale ta cała Ostrawa? Kiedy szukałam zdjęć w internecie, to znalazłam same huty i kominy.

– Eee tam, pewnie przesadzasz. Zastanów się, mamó. Powinnaś naprawdę się cieszyć, że szef chce ci powierzyć taką misję. Taka szansa nie musi się powtórzyć. Nie zapominaj, że jesteś w waszym zespole najstarsza.

Westchnęłam. No tak, Agata ma rację. Doskonale orientowała się w realiach firmy, w której pracowałam. Byłyśmy z sobą bardzo blisko, przerabiałymy razem wszystkie ważne dla nas tematy.

– Może coś kryje się za tą decyzją Wiktora? Może chce się mnie pozbyć? Przeszkadzam mu w Piotrkowie? – snułam głośno podejrzenia. – Niewykluczone, że ta czeska filia to ryzykowne przedsięwzięcie i ja mam być potencjalnym kozłem ofiarnym. Jak się nie uda, to mnie wyleje...

– Oj, mamó! – jęknęła Agata w odpowiedzi. – Jeżeli jeszcze przez chwilę będziesz tak negatywnie nastawiona, to pomyślę, że naprawdę jesteś już stara.

– No dobra – skapitulowałam. – Chyba się zgodzę.

– Ołomuniec, a nie Olomouc – mruknął mąż, kiedy odłożyłam komórkę.

– Co mówiłeś?! – nie zrozumiałam.

– Wspominałaś w rozmowie z Agatą o Olomoucu. To historyczne miasto, które ma również powszechnie używaną polską nazwę, mianowicie Ołomuniec – wyjaśnił.

– O Boże, to przecież nieważne – jęknęłam.

Wiesław wzruszył tylko ramionami, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. Właśnie kończył którąś tam z kolei publikację naukową na temat... Szczerze mówiąc, nie wiem na jaki. Ale na pewno miało to coś wspólnego ze średniowieczem.

– Agata przekonuje mnie, bym zgodziła się na ten wyjazd do Ostrawy. A co ty o tym sądzisz? – spytałam.

– Kasiu, zaakceptuję każdą twoją decyzję. Sama musisz wiedzieć, czego chcesz, ja przecież nie znam się na tych waszych interesach – zauważył lekko poirytowanym głosem, nadal wytrwale bębniąc w klawisze. Zrozumiałam, że mam zostawić go w spokoju.

Siedziałam w gabinecie Wiktora i przeglądałam teczkę z materiałami na

temat czeskiej filii. Szef od godziny udzielał mi instrukcji, wyjaśniał, jakie będą moje zadania, z jakimi urzędami i instytucjami powinnam się w pierwszej kolejności skontaktować w Czechach.

– Nie martw się, w Ostrawie podobno większość ludzi jako tako rozumie język polski.

– Za to ja absolutnie nie znam czeskiego – zauważyłam. Z tamtym studentem w Pradze obeszlśmy się bez słów.

Musiałam mimo wszystko przyznać, że Wiktor przygotował już sporo rzeczy, które miały ułatwić mi pracę. Chyba naprawdę nie zależało mu na tym, by mnie pogrzyść.

– A jak mąż przyjął wiadomość o twoim wyjeździe? – spytał szef, niespodziewanie przerywając ciąg czysto służbowych informacji. – Bardzo jest zazdrosny o Czechów?

– Spoko – mruknęłam niekonkretnie. Nie byłam pewna, czy Wiktor – o szesnaście lat młodszy ode mnie – nie stroi sobie ze mnie żartów. Może tak naprawdę jest przekonany, że ludziom w moim wieku już „nie te rzeczy” w głowie?

Komórka zaczęła się wydierać akurat w momencie, kiedy przez telefon stacjonarny rozmawiałam z dyrektorką Izby Handlowej w Ostrawie. Na wyświetlaczu pojawiło się imię męża. Zaniepokoiło mnie to, ponieważ nie ma on w zwyczaju dzwonić do mnie w godzinach pracy. Szybko rozłączyłam się z Ostrawą i odebrałam telefon.

– Kasiu, czy już powiedziałaś szefowi, że zgadzasz się na te Czechy? – spytał mąż lekko zaniepokojonym tonem.

– No tak... Powiedziałam. Czy coś się stało?

– Nie, tylko... Kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem, to nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Mama coraz gorzej się czuje, może wkrótce trzeba będzie częściej do niej zaglądać. I co wtedy?

„Wtedy poprosi o pomoc swojego jedyne go syna” – nasunęła mi się prosta odpowiedź, ale w porę ugryzłam się w język. Taka replika byłaby bez sensu. Znam Wiesława od ponad ćwierć wieku i praktycznie niczego już od niego nie oczekuję. Nawet tego, że potrafiłby zaopiekować się własną matką.

– Chyba trochę przesadzasz. Mama jest w niezłej kondycji – zapewniłam męża i ucięłam rozmowę, tłumacząc się obowiązkami zawodowymi.

Wymiana zdań z Wiesławem całkowicie popsła mi nastrój. Zazdrosny o Czechów! – przypomniałam sobie z goryczą żartobliwą uwagę Wiktora. Gdyby wiedział, że mój wyjazd niepokoi męża wyłącznie ze względu na jego mamę, uznałby to za świetny dowcip.

Mimo wszystko o teściowej pomyślałam z troską. W końcu ma już dziewięćdziesiąt jeden lat. Może faktycznie będzie mnie potrzebowała? Pół roku w życiu starego człowieka to szmat czasu. Stan zdrowia staruszki z miesiąca na miesiąc, a nawet z dnia na dzień może się pogorszyć. A ja tymczasem będę sprzedawała dywany w Czechach. Do Piotrkowa będę jeździła tylko w weekendy, i to raz na dwa tygodnie...

Lubię teściową. Właściwie nigdy nie nazywam jej w ten sposób – dla mnie to po prostu mama. Moja własna matka zmarła na raka, kiedy byłam na studiach. A wcześniej... Jakoś nigdy nie miała dla mnie czasu. A może ja nie prosiłam jej o ten czas? Mama Wiesława to co innego. Pomagała mi, kiedy dzieci były małe, rozmawialiśmy razem na różne tematy, a co najważniejsze – zawsze dawała mi do zrozumienia, że bardziej ceni sobie moje praktyczne podejście do życia i konkretny zawód niż intelektualne zainteresowania swojego syna. Nasze dzieci również bardzo lubiły babcię. Szczególnie Agata była do niej przywiązana.

Staruszka postawiła na stole dwie filiżanki herbaty. Potem usiadła obok mnie na tapczanie. Odruchowo poprawiła wyblakłą bluzkę w niezapominajki, którą nosiła już chyba w czasach, kiedy Agata i Łukasz chodzili do przedszkola.

Wydawało mi się, że jest jakaś błada. Czyżby Wiesław miał rację?

– I co u ciebie słyhać? – spytała zdawkowo, tonem świadczącym o tym, że nie spodziewa się rewelacji. Tymczasem ja właśnie miałam jedną w zanadru.

– Wyjeżdżam na pół roku do Czech. Do Ostrawy – zakomunikowałam i spojrzałam na mamę z lekkim niepokojem, czekając na jej reakcję.

Przez chwilę milczała zaskoczona.

– Do Ostrawy, mówisz?

– To na północnym wschodzie Czech, niedaleko naszej granicy. – Nie byłam pewna, czy mama kojarzy to miasto.

– Och, wiem!

– No tak, pochodzisz przecież ze Śląska – zreflektowałam się. – Byłaś kiedyś w Ostrawie, mamó?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Poczęstuję cię sernikiem. – Z trudem podniosła się z tapczanu. – Tym razem kupiłam go w cukierni. Ale uważam, że jest całkiem smaczny.

Powoli podreptała do kuchni. Wróciła, ciężko dysząc. Odebrałam od niej tackę i talerzyki.

– Mamo, źle się czujesz?

– To tylko przez tę pogodę, ciśnienie gwałtownie spadło. Mam trochę problemy z oddychaniem, ale to nic wielkiego – próbowała bagatelizować swoje dolegliwości. – Po prostu nie zabierałam się do pieczenia i wypoczywałam przez

cały dzień.

– Mamo, przecież nie musisz bez przerwy robić wypieków! Agaty przeważnie nie ma w domu, Wiesław woli coś konkretnego, a ja muszę dbać o sylwetkę. Kupiłam sobie nowy kostium i sukienkę, do której nie mogę przytyć nawet o kilo. Nim wyjadę, pokażę ci się w niej, bo jest naprawdę rewelacyjna. Muszę godnie reprezentować ojczyznę za granicą, no nie?

Pokiwała głową, uśmiechając się do mnie ciepło. Poglaskała mnie po ręce.

– Przez całe sześć miesięcy cię nie będzie?

– Nie martw się, nie będzie tak źle. Na weekendy będę wracała – zapewniłam szybko, przemilczając informację, że nie na wszystkie. Zdążyłam ustalić, że z Ostrawy do Piotrkowa to około dwustu siedemdziesięciu kilometrów. – Zakładamy w Ostrawie hurtownię na Czechy. A ja mam przez pierwszy okres poprowadzić biuro. Cholera, boję się, czy podołam wszystkiemu. Tym bardziej że z czeskiego znam najwyżej parę słów, które przeczytałam w książkach Szczygła.

– Jesteś zdolną dziewczyną, dasz sobie radę. A czeski nie jest taki trudny, tylko pisownię ma inną – uspokoiła mnie teściowa.

– Znasz się na tym? A więc jednak byłaś kiedyś w Czechach? – zainteresowała się. Odruchowo sięgnęłam po kostkę sernika, zapominając o sukience, z powodu której nie wolno mi było przytyć.

– Kiedyś granice miały inny przebieg – odparła krótko i niekonkretnie. A potem – co mnie dosyć zdziwiło, bo mama zawsze interesowała się moją pracą – zmieniła temat, jakby nie chciała znać żadnych szczegółów dotyczących mojej ostrawskiej misji.

Wracałam do domu zaniepokojona. Mama najwidoczniej nie pochwalała mojego wyjazdu. Może naprawdę źle się czuje, lecz nie chce mi tego powiedzieć wprost, by nie przysparzać mi zmartwień?

Wówczas w ogóle nie przyszło mi do głowy, że teściowa z innego powodu unika czeskiego tematu.

Piątek, 24 grudnia 1943

Grochówka smakowicie pachniała. Chleb tak samo. „Jak to dobrze, że ciągle możemy cieszyć się drobiazgami” – pomyślała Marta. Jej pogodny nastrój prysnął jednak od razu, kiedy tylko zahaczyła wzrokiem o jedyny pusty talerz na stole. Ten czwarty. Coś ścisnęło ją w gardle.

Ojciec zapalił świecę. Białą, prostą. Matka wzięła opłatek do ręki. Przeżegnała się.

– Zmówmy wspólnie „Ojcze nasz”.

– ...który jesteś w niebie...

„Byłe nie myśleć. Zapomnieć o tym, że dziś tylko w trójkę siedzimy przy tym stole, podczas gdy rok temu było nas czworo”. Marta z całych sił starała się pokonać kluskę rosnącą w gardle.

– ...święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Józef obrzucił córkę surowym spojrzeniem. Starła się modlić, lecz kluska rosła i rosła. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi...

„Boże, czy to naprawdę Twoja wola? Gdyby ojciec nie podpisał tego papierka, Eryk byłby tu z nami!”

– ...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

„Nie chcę mu wybaczyć – uświadomiła sobie Marta. – Chcę z powrotem mojego brata”.

Anna skończyła modlitwę.

– Wieczny odpoczynek racz dać, Panie, naszym zmarłym, których w tym roku powołałeś do siebie. I ochraniaj naszego syna Eryka, który dzisiaj nie może tu być razem z nami... Amen.

Głos jej drżał, lecz tylko nieznacznie. „Mama umie panować nad sobą” – pomyślała z zazdrością dziewczyna.

W milczeniu zasiedli do stołu. W skupieniu nabierali łyżkami gęstą zupę. Marta ponownie rzuciła okiem na pusty talerz stojący po przeciwnej stronie stołu. „Po co matka go tu stawiała? Przez wzgląd na idiotyczny zwyczaj? Jak mam jeść spokojnie, kiedy ciągle mam go na oczach?!”

– Marto, nie rób takiej miny. Z Erykiem na pewno wszystko w porządku. Pisał przecież niedawno. – Anna uśmiechnęła się pokrzepiająco, próbując pocieszyć córkę.

– Może wojna niebawem się skończy – dodał Józef, lecz bez większego przekonania.

Słowa rodziców nie poskutkowały. Skapitulowała przed bólem, który całkowicie ją zniewolił. Józef z rosnącą złością przyglądał się córce, która teraz już głośno łkała.

– Tego nie będziesz mi robiła – wycodził przez zęby. Wstał, gwałtownie odsunął krzesło i wyszedł z pokoju. W sieni zarzucił na siebie stare palto, które wkładał zawsze, udając się do warsztatu. Wyszedł na dwór, trzaskając drzwiami. Dobrze wiedział, że to jemu Marta zarzuca wyjazd Eryka na front. Nie mógł się pogodzić z taką niewdzięcznością.

Dziewczyna nie ruszała się z miejsca. Grzbietem ręki ocierała łzy.

– Przesadziłaś – powiedziała z wyrzutem matka. – Ojciec nie zasługuje na to.

Postąpił tak, jak uważał za słuszne.

– Tobie też się nie podobało, że podpisał volkslistę – odezwała się dziewczyna.

– Nie podobało, ale gdyby tego nie zrobił, kto wie, co stałoby się z nami. Może w ogóle dziś nie siedzielibyśmy przy kolacji we własnym domu. Może by nam wszystko zabrali, wywieźli nas do lagru. Dobrze wiesz, że właśnie tak mogło być!

Marta milczała. Wiedziała, że matka ma rację, lecz tęsknota do Eryka zagłuszała w niej zdolność racjonalnego myślenia.

Anna wstała od stołu. Wahała się, czy powinna wyjść, poszukać męża i przekonać go, by wrócił do stołu, czy może lepiej zrobi, zostawiając go w spokoju.

– W naszym domu jeszcze nigdy się nie stało, by ktoś w gniewie odszedł od Wigilii. Dziś zdarzyło się to po raz pierwszy. Z twojej winy – powiedziała, patrząc smutno na córkę.

– Tak, rozumiem, mamo. Mamy przecież świętą noc. *Stille Nacht, heilige Nacht...* – Marta już nie płakała. Teraz i ona czuła gniew. Wstała i również wyszła z pokoju.

Świeca wciąż jeszcze się paliła, kiedy Józef wrócił do domu. Tym razem po cichu zamknął za sobą drzwi, powoli zdjął palto. Nie mówił, gdzie był. Anna domyślała się, że w warsztacie.

– Gdzie jest Marta? – spytał.

– Obok, zaraz ją zawołam.

Matka postawiła na stole kolejne danie – ziemniaki ze zsiadłym mlekiem. Marta pierwsza sięgnęła po jedzenie.

– Te nasze wspólne święta to jedna z małych rzeczy, których nam Niemcy nie zabrali – powiedział Józef ugodowo, dając tym samym obu kobietom do zrozumienia, że nie chce komentować poprzedniego zajścia. Grzbietem ręki otarł resztę mleka, które przykleiło mu się do wąsów.

– Już nie będę beczeć – obiecała cicho Marta. Zaledwie kilkanaście minut temu wszystko się w niej kotłowało, ale wystarczyło, że ojciec wrócił do pokoju i odezwał się łagodnym głosem, i wszystko się zmieniło. Kochała go, wiedziała, że bardzo wiele mu zawdzięcza. Postanowiła w duchu, że będzie starała się myśleć pozytywnie. „Eryk wróci, musi wrócić, przecież tamten wieczór, ten ostatni przed jego wyjazdem, nie mógł być ostatni...”

W domu za lasem odbywała się podobna Wigilia jak w Żywocicach. Z tą

różnicą, że nikogo z rodziny nie brakowało i nie było żadnych dramatycznych scen. Tereska, rówieśniczka Marty, śpiewała jedną kolędę za drugą. Bardzo lubiła śpiewać, choć samokrytycznie musiała przyznać, że jej głosowi daleko do doskonałości. Rodzice i bracia zanucili parę kolęd razem z nią, ale teraz już tylko siedzieli cicho przy palącej się coraz słabszym płomieniem świeczce i słuchali. Chłopcy najchętniej poszliby się położyć. Obaj pracowali na kopalni i po tygodniu harówki tak byli zmęczeni, że nastrój wigilijny działał na nich usypiająco. Ojciec również był górnikiem, lecz może właśnie dlatego, że był starszy i bardziej przywykły do codziennej ciężkiej pracy, wyglądał zdecydowanie świeżej.

Tereska nuciła teraz „Wesołą nowinę, bracia, słuchajcie”. Przypomniała sobie te święta, kiedy Gustaw powiedział jej, że to jego ulubiona kolęda. Było to jej pierwsze Boże Narodzenie z Gustawem, a zarazem ostatnie przedwojenne. Zнали się wówczas od zaledwie trzech miesięcy. „Byłam taka młoda i tak strasznie zakochana” – uświadomiła sobie Tereska. Ile miała wtedy lat? Szesnaście? Śpiewając trzecią zwrotkę, w duchu liczyła. Nawet nie szesnaście – piętnaście i pół. „Mój dwudziestodwuletni chłopak wydawał mi się wtedy taki dorosły i taki mądry. Nawet mi nie przeszkadzało, że flirtuje z innymi dziewczynami. Mówiłam sobie, że u dorosłych tak bywa...”

Przy następnej kolędzie („Gdy się Chrystus rodzi”) przyłapała się na tym, że znowu liczy. Ale tym razem obliczenia nie dotyczyły Gustawa. Policzyła, że Franek Podstawka z Żywocic, kolega jej braci, jest starszy od niej dokładnie o dziewięć lat, a więc jeszcze starszy od Gustawa. „Jest przystojny. I robi solidne wrażenie. Czasem, zwykle po mszy, przed kościołem, tak zagadkowo na mnie patrzy...”

Zawsze podobali jej się starsi chłopcy, więc nic dziwnego, że ją zainteresował. To przecież jeszcze nic nie znaczy. Jest dziewczyną Gustawa.

Naprawdę? Już nawet nie pamiętała rysów twarzy tego mężczyzny, choć listy przysyłał regularnie. Z pewnością nie było mu łatwo na robotach w Niemczech, ale nie skarżył się. „W każdym liście pisze, że myślami jest przy mnie, i przesyła pozdrowienia dla całej rodziny. O miłości nie pisujemy do siebie. On nigdy nie miał tego w zwyczaju, a ja... Ja tak. Pisałam mu, jak bardzo mi go brakuje. Byłam zazdrosna o dziewczyny, które spotyka w Arbeitslagerze, choć tak naprawdę nie miałam pewności, czy to jest także żeński obóz. Wyjątkiem była noc, której nie przeplakałam. A potem nagle to się zmieniło. Nadszedł dzień, kiedy sobie uświadomiłam, że już nie cierpię z jego powodu, że nie jestem skazana na to, by nieustannie o nim myśleć. Nie jestem już nawet pewna, czy cieszę się na ten dzień, kiedy się znowu zobaczymy. Kocham go czy może już tylko lubię? Stał się dla mnie kimś nierealnym, kimś, kto niewiele ma wspólnego z moim życiem”.

Matka zdmuchnęła świecę.

– Kładziemy się spać. Tereska tu śpiewa, ale widzę, że duchem jest

nieobecna. – Uśmiechnęła się do córki i pogłaskała ją po twarzy. Wszyscy zaczęli się rozchodzić. Dziewczyna przez chwilę jeszcze siedziała.

„O Gustawie myślę coraz rzadziej, za to o Franku coraz częściej”. Ogarnęło ją poczucie winy, ale jeszcze bardziej martwiła ją inna rzecz. Franek wiedział, że ma chłopaka, a to znaczy, że nigdy nie spróbuje nawiązać z nią bliższych relacji. W stosunkach męsko-damskich był dokładnym przeciwieństwem Gustawa – nie flirtował dla przyjemności. Szukał dziewczyny, która mogłaby zostać jego żoną. Teresce powiedział o tym brat Władek, który od lat przyjaźnił się z Frankiem. Czy domyślał się, że Franek podoba się jego siostrze? Wolą o to nie pytać.

– Dlaczego nie było cię tak długo? Bez powodu obraziłeś się na Martę – powiedziała Anna z wyrzutem, kiedy poczuła rękę męża pod swoją koszulą nocną.

Nie przerwał pieszczot.

– Gdyby to było możliwe, wróciłbym wcześniej.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, którego jednak nie mógł zauważyć w ciemności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Potrzebowałem pomocy.

– Kto?

– Wiesz przecież... Ten, co był już tu parę razy. Szukałem dla niego bandaży w warsztacie. Długo trwało, nim je znalazłem. Apteczka leżała na dnie jednej z szafek, zapomniałem, że ją tam schowałem.

– Przyszedł do nas ranny?! Zostawił gdzieś ślady krwi? – Anna gwałtownie odepchnęła rękę Józefa i usiadła na łóżku. – Nie dość, że nosi buty do naprawy i że dajemy mu jedzenie...

– Uspokój się – powiedział lekceważąco. Był niecierpliwy. Chciał jej. Bardzo długo się nie kochali. Nieustannie albo nie miała nastroju, albo rozmawiali o Eryku czy innych zmartwieniach. – Nie był ranny, nie dla siebie potrzebował tych opatrunków. Zaraz sobie poszedł – wyjaśnił szybko. Zaczął rozpinać guziki jej koszuli. Najpierw leżała bez ruchu, domyślał się, że ciągle zastanawia się nad jego słowami. Potem wreszcie wysunęła ręce i przyciągnęła go do siebie.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy Martę obudził dziwny łoskot i odgłos buchających płomieni. Usiadła na łóżku i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to jej serce tak wali. Wszędzie było ciemno i cicho. Poczowała ulgę, kiedy dotarło do niej, że płomienie to był tylko sen.

„Nie, to nie był sen, to była rzeczywistość – poprawiła się w duchu. – Rzeczywistość, którą mam już, na szczęście, za sobą. Już nie muszę się bać, nie

jestem małą dziewczynką i nie uciekam z płonącego domu”.

Odruchowo dotknęła brzucha.

„Jestem bezpieczna, bezpieczna, bezpieczna...” W kółko powtarzała to słowo, lecz niewiele to pomagało.

Kto dziś tak naprawdę jest bezpieczny? To tylko puste pojęcie. Czy Eryk jest bezpieczny? Ojciec dostosował się do żądań Niemców, zrezygnował z polskiej narodowości i podpisał volkslistę. A jednak jego syn w każdej chwili może zginąć na froncie. Albo, dajmy na to, kuzyn Franek Podstawka. Nie podpisał volkslisty, nie zrezygnował z bycia Polakiem. Mimo wszystko wierzy, że nic mu nie zagraża, ponieważ jako elektryk pracujący na kopalni jest potrzebny Rzeszy. Ale czy to rzeczywiście gwarantuje mu bezpieczeństwo? Tylu Polaków już przecież wywieźli, nie wiadomo, co się z nimi stało...

Marta przyciągnęła pierzynę aż na brodę. Cała dygotała.

„Może kiedyś, przed tym pożarem, mimo wszystko byłam bardziej bezpieczna niż dziś? Wbrew tym wieczorom, kiedy mój rodzony ojciec tak bardzo był pijany, że nie potrafił się ruszyć, sikał pod siebie i myślałam, że zaraz umrze? Albo kiedy był pijany trochę mniej, wobec czego starczyło mu sił, by celować we mnie pustą butelką?”

Nakryła kołdrą głowę, jakby chciała schować się przed całym światem.

„Za kilka dni rozpocznie się nowy rok. Boję się, że to będzie rok śmierci” – pomyślała.

Wtorek, 18 stycznia 1944

Od kilku dni panowała odwilż, pojechali więc na kopalnię na rowerach. Kiedy po południu wyciąg wywiózł ich na powierzchnię, wokół szalała śnieżycą. Porywisty zachodni wiatr wpędzał białe tumany prosto w oczy. Na drodze leżała pokaźna warstwa śniegu. Z trudem pokonali niedługą, bo zaledwie trzykilometrową, trasę z kopalni „Franciszek” do domu Karola i Władka. Franek miał przed sobą kolejne dwa kilometry do Żywocic.

– Wpadnij do nas na herbatę z rumem – zaproponował Karol.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Później już w ogóle nie przebrnę przez las, będzie jeszcze gorzej – wahał się Franek.

– Wygląda na to, że śnieżycą słabnie. Wrócisz. A jak nie, to przenocujesz u nas. Jutro przecież wszyscy trzej pracujemy na rano. Jak będzie tyle śniegu i pójdziemy na piechotę, będziesz przynajmniej miał bliżej.

Franek się uśmiechnął. Była to kusząca propozycja. Gdyby został u kolegów, cały czas miałby na oczach Tereskę.

I co z tego? Przecież ona ma narzeczonego.

– Więc jak, wpadniesz? – niecierpliwił się Karol. Wystarczyło, że przez chwilę stali w miejscu, a już zaczęli przypominać bałwany. Śnieżyca się nasilała. Franek skinął głową.

Tereska wróciła z pracy w cegielni wcześniej niż bracia z kopalni. Teraz już prasowała. Koszulę taty, koszulę Władka, koszulę Karola... „Jak by to ładnie wyglądało, gdyby prasowała moje koszule” – pomyślał Franek. Siedział z jej braćmi na ławie pod piecem. Popijali kawę zbożową z mlekiem.

Dziewczyna sięgnęła po kolejną sztukę bielizny. Druga koszula taty, druga koszula Władka, druga koszula Karola. „Chciałabym prasować jego koszule”. – Nawet nie odważyła się spojrzeć w kierunku mężczyzny, którego miała na myśli. Podniosła wzrok dopiero w momencie, kiedy była pewna, że on patrzy inną stroną. „Jak to dobrze, że schowałam ten list, który leżał przed chwilą na ławie. Od razu by się zorientował, że to od Gustawa”.

Franek pogrążony był teraz w rozmowie z jej braćmi. Na okrągło przerabiali te swoje kopalniane tematy. Tereskę zabolalo, że nie zwraca na nią uwagi. Czują, jak mocno bije jej serce, coraz mocniej. „Jeżeli rzeczywiście zostanie do jutra, jestem stracona. Już teraz za często o nim myślę, a każda minuta w jego obecności coraz bardziej mnie pogrąża” – pomyślała z rozpaczą.

– Teresko, skończ już z tym prasowaniem. Przygotujemy kolację – zarządziła matka, która właśnie wróciła z kurnika. Koszyk był niestety prawie pusty, kury w tej pogodzie słabo niosły.

Tereska podniosła wzrok znad stołu. Franek podniósł wzrok znad pustego kubka. W tym samym momencie dwie pary oczu się spotkały.

„Gdybym poszła do kuchni napić się wody, zobaczyłabym go, jak śpi” – ta myśl nie dawała jej spokoju. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Franek, tak jak od początku się spodziewała, został na noc. Spał na ławie w kuchni, na rezerwowym słomianym materacu. Sama szykowała dla niego prześcieradło, poduszkę i kołdrę. Była to wręcz symboliczna sytuacja. Czy on również dostrzegł jej dwuznaczność?

– Nie, nie pójde po wodę. Boże, strzeż mnie przed pokusą – wyszeptała i zrobiła znak krzyża.

Uświadomiła sobie, że w ogóle nie przejmuje się listem, który otrzymała dziś od Gustawa. Nim bracia wrócili do domu – a razem z nimi niespodziewanie Franek – szybko przeleciała wzrokiem wiadomość, stwierdziła, że Gustaw nie pisze nic nowego, i więcej się nad nim nie zastanawiała. Gdzieś go schowała, tylko gdzie? Nie mogła sobie przypomnieć.

Franek wyteńczył słuch. Wszędzie panowała absolutna cisza. No, może nie absolutna, bo gdzieś u sąsiadów szczekał pies. W każdym razie w domu nic się nie ruszało. Bardzo powoli i ostrożnie, by nie zaskrzypiała podłoga, podniósł się i podszedł do stołu. Zapalił lampę naftową, bo w tym domu nie było jeszcze elektryczności. Sięgnął na półkę w kredensie, na której wcześniej zauważył kopertę ze świeżym stemplem. Koperta była otwarta. Powoli wyciągnął z niej kartkę. „Kochana moja Teresko! – zaczął czytać. – Długo nie pisałem, bo jakoś na nic nie miałem sił...”

Obok w sypialni ktoś z domowników zakasłał. Franek nie czytał dalej, szybko schował list do koperty i z powrotem położył go na półce. Zgasił lampę.

„Jeszcze nigdy nie zrobiłem czegoś takiego, nigdy nie przeczytałem cudzego listu. Ta dziewczyna całkowicie przewróciła mi w głowie. Pora z tym skończyć” – pomyślał zniesmaczony własnym zachowaniem.

Nim wreszcie zasnął, podjął decyzję. Nie da się już namówić na wizytę u Władka i Karola. I nie będzie chodził do kościoła w Suchej.

Rozdział II

Pomocnik

Przyjechałam do Ostrawy w połowie marca. „Nowa wiosna przyniesie nowe wyzwania” – dziarsko przekonywałam samą siebie, pakując przed wyjazdem walizki. W rzeczywistości czułam się niepewnie. Na samą myśl, że przez pół roku będę poza domem, wśród samych obcych ludzi, robiło mi się smutno. Nagle uświadomiłam sobie, że dobrze mi z mrukliwym, w większości pogrążonym we własnych myślach Wiesławem i jego mamą, która częstuje mnie sernikiem i herbatą. W Czechach będzie mi ich brakowało. Dręczyło mnie jeszcze jedno: jak to możliwe, że tak mi smutno przed tym wyjazdem, skoro nasz syn już tyle miesięcy przebywa w Irlandii i najwidoczniej nie tęskni za domem? Raz na miesiąc pogada z nami przez Skype’a i na tym jego kontakt z rodzicami się urywa. Nie jesteśmy mu już wcale potrzebni?

Niewesołe myśli związane z Łukaszem wbiły mnie w jeszcze bardziej ponury nastrój. Gdyby chociaż świeciło słońce – wtedy wszystko od razu wyglądałoby bardziej optymistycznie. Niestety, Ostrawa przywitała mnie mglistą i dżdżystą pogodą oraz smrodem.

– Znów mamy smog. To tutaj norma przez większość zimy. A ta tegoroczna ciągle nie chce się poddać – stwierdziła, witając się ze mną, przedstawicielka agencji specjalizującej się w pomocy polskim firmom rozkręcającym biznes w Czechach. Pani Joanna pochodziła z Katowic, w Ostrawie mieszkała od dziewięciu lat. Była młoda, zgrabna i zaradna. Byłam wdzięczna Wiktorowi, że załatwił mi taką osobę do pomocy. Bez niej nie dałabym rady wyrobić w Ostrawie wszystkich wymaganych zezwoleń i rejestracji ani znaleźć i wynająć odpowiednich lokali na biuro i magazyn. Wszelkie druki i instrukcje, które urzędnicy wkładali mi do rąk, były dla mnie kompletnie niezrozumiałe.

Co drugi dzień zdawałam Wiktorowi relację z rozwoju wydarzeń. Po trzech tygodniach, w czasie jednej z naszych regularnych rozmów telefonicznych, zapytał:

– Słuchaj, Kasiu, poradzisz już sobie chyba bez tej Joanny? Cholernie dużo nas kosztuje.

W jego głosie czułam cień obaw. Wiedział, że będę protestowała.

– Nie wiedziałeś tego, kiedy ją angażowałeś? – zdziwiłam się.

– Pewnie, że wiedziałem! – obruszył się. – Ale od początku zakładałem, że będzie ci pomagała tylko na początku.

– Początek ciągle trwa – próbowałam negocjować. Byłam bardzo zadowolona ze współpracy z Joanną. Potrzebowałam jej.

Nawet przez telefon słyszałam zrezygnowane westchnienie Wiktora.

– No dobra, będę ją opłacał jeszcze przez następne dwa tygodnie.

W międzyczasie znajdziesz sobie sekretarkę władającą zarówno polskim, jak i czeskim – zarządził tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Joanna pomogła mi błyskawicznie zorganizować konkurs na sekretarkę. Napłynęło sporo zgłoszeń, lecz szybko przekonałam się, że choć wszystkie kandydatki deklarowały znajomość języka polskiego, rzeczywistość była nieco inna. W większości posługiwały się popularną w tutejszym przygranicznym regionie gwara, w której polskie wyrazy pomieszane były z czeskimi.

Po dwóch rundach żmudnych przesłuchań, które za każdym razem przeciągały się do wieczora, wybrałam Andreę. Trzydziestopięcioletnia kobieta o bardzo zgrabnej sylwetce i miłej twarzy, której wygląd psuły, niestety, czerwone, łuszczące się plamy (później dowiedziałam się, że to rodzaj egzemy), mówiła w miarę dobrze zarówno po czesku, jak i po polsku, ponadto znała podstawy księgowości oraz korespondencji handlowej.

– Tak się cieszę, że mnie pani wybrała – przyznała zaraz pierwszego dnia pracy w moim biurze. – Byłam już na tylu konkursach i myślę, że jeśli chodzi o kwalifikacje i wiedzę, to niczego nie można mi zarzucić. Ale nikt nigdy mnie nie wybrał. Kto chciałby sekretarkę z taką twarzą?

Zapewniłam ją, że przesadza, bo wcale nie wygląda tak źle, a sylwetki niejedna kobieta z nieskazitelną buzią mogłaby jej pozazdrościć.

– No tak, mój mąż też tak mówi. – Uśmiechnęła się. Jej twarz od razu nabrała uroku. Zaraz jednak na nowo posmutniała. – Niestety, twarz to nie jedyny mój problem – dodała cicho. Spojrzałam na kobietę pytająco, lecz nic więcej już nie powiedziała.

Andrea sumiennie wykonywała wszystkie obowiązki, jakie jej powierzałam, jednak szybko okazało się, że potrzebny jest mi ktoś, kto przetłumaczy całą stertę materiałów prawnych i handlowych. Przyznała, że z tym sobie nie poradzi.

– Rozczarowałam panią, prawda? – spytała zaniepokojona, przygryzając wargę. Najwidoczniej bała się, że pozbędę się jej w okresie próbnym. Wtedy znałam już także jej drugi problem – niemożność zajścia w ciążę. Powiedziała mi o nim pewnego razu, kiedy dzwoniła do mnie Agata i zahaczyłyśmy w rozmowie o temat potomstwa.

– Ależ, pani Andreo, nic takiego w ogóle nie przyszło mi do głowy. Ta praca nie należy do zakresu pani obowiązków – uspokoiłam swoją podwładną. – Tym zajmie się ktoś inny.

Kiedy powiedziałam o tym Wiktorowi, zadecydował:

– Jeśli to ma być współpraca na dłuższą metę, to daj ogłoszenia i sama kogoś poszukaj. Angażowanie tłumacza z agencji będzie w tej sytuacji zbyt drogie. To byłoby to samo, co z tamtą Joanną.

Byłam wściekła. W końcu to nie ja wymyśliłam ostrawską filię, tylko Wiktor, a teraz nieustannie wypomina mi wysokie koszty. Gdzie mam znaleźć kogoś, kto będzie dobrym tłumaczem, a zarazem będzie miał sporo czasu, który mógłby poświęcić wyłącznie naszej firmie? Poleciałam Andrei, by dała ogłoszenia do prasy i na portale internetowe, ale nie spodziewałam się, że przyniesie to jakieś efekty. Tymczasem zaraz następnego dnia sekretarka połączyła mnie z pierwszym (i – jak się okazało – ostatnim) kandydatem. Od razu umówiłam się z nim na spotkanie.

Kiedy Marcin Wojtas wszedł do mojego biura, w pierwszej chwili uderzyło mnie jego podobieństwo do Łukasza. Był z pewnością jego rówieśnikiem, wysoki, szczupły, miał podobne jak mój syn lekko falowane brązowe włosy. Różnili się tylko stylem ubioru. Łukasz nigdy nie włożyłby eleganckiej kremowej koszuli i beżowego zakietu. Nawet na rozmowę kwalifikacyjną. Może dlatego szczytem jego dotychczasowej kariery zawodowej było patroszenie łososi w irlandzkim zakładzie rybnym.

– Ile ma pan czasu? – spytałam.

– Nie mam już dziś żadnych planów. Ile pani potrzebuje. – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie to miałam na myśli. Potrzebny jest mi tłumacz, który przez najbliższych kilka tygodni będzie do dyspozycji naszej firmy dwa, trzy razy w tygodniu – uściśliłam. – Pan studiuje czy może pracuje?

– Studiuję. Historię i zarządzanie. Dwa kierunki.

– Och, w takim razie odpada! – stwierdziłam, nie kryjąc irytacji. Po co w ogóle zgłasza się do pracy, skoro z góry wiadomo, że nie będzie się wyrabiał?! Wstałam, dając gościowi do zrozumienia, że spotkanie dobiega końca.

– Szkoda – powiedział cicho, również podnosząc się z fotela. – Myślałem, że mnie pani przynajmniej wysłucha. Nie powiedziałem wszystkiego.

Nasze oczy się spotkały. Te jego były głębokie i prawie czarne. Gdybym była w wieku Agaty, zakochałabym się w tym chłopaku od pierwszego wejrzenia.

– Dobrze, w takim razie zamieniam się w słuch – powiedziałam powoli, czując, że poddaję się jego urokowi.

Usiedliśmy na powrót, a Marcin wyjaśnił, że studiuje co prawda dwa kierunki, ale obecnie właściwie tylko jeden – zarządzanie – i to zaocznie. Na historii zrobił sobie przerwę, bo nie nadążał ze wszystkim. Gdy obroni licencjat z zarządzania, skupi się ponownie na historii, która dla niego osobiście jest kierunkiem numer jeden.

– Jak więc pani widzi, nie jest tak źle z moim czasem. A co się tyczy tłumaczeń, mam spore doświadczenie, współpracuję od jakiegoś czasu z pewną

agencją i realizowałem już różnego rodzaju zlecenia – zakończył swą autoprezentację.

Patrzył na mnie wyczekująco i uśmiechał się. Był pewien, że go zatrudnię.

– Dobrze, spróbujemy – podjęłam decyzję po minucie wahania, a raczej udawania, że się waham. – Ale bez agencji. Bezpośrednio z panem podpiszę umowę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Wierzę, że to będzie bardzo owocna współpraca – stwierdził Marcin, nie przestając się uśmiechać. Ja też się uśmiechałam, nie przeczuwając, na jakie ścieżki ta współpraca mnie zaprowadzi.

Poniedziałek, 31 stycznia 1944

Bryk ponownie, chyba już trzeci raz tej nocy, zaczął szczekać. Za pierwszym i drugim razem Marta zignorowała psa, naciągnęła kołdrę na uszy i po kilku minutach na nowo zasnęła. Teraz przewracała się z boku na bok, czuła, że musi iść do toalety. Niechętnie wygramoliła się z łóżka, opatuliła się wełnianą chustą, założyła na nogi walonki i wyszła na dwór do wychodka.

W warsztacie ojca zobaczyła światło. Co to ma znaczyć? Czyżby złodzieje? Nogi się pod nią ugięły, lecz potrzeba fizjologiczna była silniejsza. Szybko i w miarę bezszelestnie pobiegła do budki. Gdy po chwili z niej wyszła, światło w warsztacie nadal się paliło.

Potem usłyszała głosy. Przycisnęła się plecami do muru i spoza rogu domu starała się coś zobaczyć. Nie było to łatwe. Nadal padał śnieg, choć silna śnieżycą, która szalała po południu, już się uspokoiła. Gdyby zrobiło się niebezpiecznie, mogła dać susa do sieni. Wychodząc na dwór, drzwi zostawiła uchylone.

Pies ponownie zaszczekał.

– Cicho, Bryk! – To był ojciec. Szedł w kierunku domu, podczas gdy inny cień, należący do wysokiego, smukłego mężczyzny, udał się w przeciwną stronę. Marcie wydawało się, że nieznajomy niesie pod pachą jakiś pakunek.

Kilkoma dużymi skokami pokonała odległość między swym stanowiskiem a drzwiami. Ale nim zdążyła ściągnąć buty, ojciec też już wchodził do środka. Dziewczynę na chwilę oślepiło światło latarki, które skierował prosto w jej twarz.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego nie śpisz?! – spytał surowo.

– Musiałam iść do wychodka – przyznała zgodnie z prawdą. – A ty?

– Ja również wyszedłem za potrzebą, a potem zauważyłem, że w warsztacie pali się światło. Widocznie wieczorem zapomniałem je zgasić – stwierdził niby to obojętnym głosem. I dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Kładź się spać.

Marta nie dała za wygraną.

– A ten obcy, który odchodził z paczką? Ktoś o tej porze odbierał buty? – spytała, patrząc ojcu prosto w oczy.

Choć w sieni panował półmrok, Józef dobrze widział to jej spojrzenie, z którego można było wyczytać, że dziewczyna domyśla się więcej, niż mógł przypuszczać. W jej inteligencję nigdy nie wątpił. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– To, że podpisałem volkslistę, jeszcze nie oznacza, że we wszystkim jestem lojalny wobec Trzeciej Rzeszy. Czy to dostatecznie jasne? – powiedział wreszcie.

Skinęła głową. Wydawało mu się, że spodobała jej się jego odpowiedź.

– Nie muszę chyba powtarzać, że to są rzeczy, o których nikomu się nie mówi – dodał pospiesznie.

– A mama? Czy ona o tym wie? – dopytywała dalej.

– Oczywiście. Przed mamą nie mam tajemnic.

– Kocham cię – powiedziała niespodziewanie i przytuliła się do ojca. Poczul się niezręcznie. Zdjął jej ręce ze swej szyi.

– Idziemy spać, Martusiu – powiedział miękko.

Sam jeszcze pół godziny później nie mógł zasnąć.

„Po co jej o tym mówiłem?”

Nie powie nikomu, za bardzo nas kocha. Całą rodzinę za bardzo kocha. Dlatego tak przeżywa nieobecność Eryka.

Kocha wszystkich, którzy jej nie wyzywają i nie rzucają w nią butelkami.

Jednak gdyby ktoś rzucił, już by tego nie zniosła. Już nie jest bezbronnym dzieckiem.

Co by wtedy zrobiła?”

Józef przypomniał sobie jeden z wieczorów sprzed dwunastu lat. Drobną dziewięcioletnią dziewczynką siedziała przy stole w kuchni i z apetytem pałaszowała ziemniaki okraszone słoniną. Obok jej talerza stał kubek z mlekiem, lecz na razie go nie tknęła. Wiedział dlaczego. Nie chciała mieszać smaku poszczególnych potraw, każdym z nich zamierzała delektować się z osobna. Siedzący naprzeciwko niej o dwa lata od niej młodszy chłopiec zachowywał się zupełnie inaczej. Każdą łyżkę ziemniaków popijał mlekiem. Po chwili jego kubek był pusty.

– Mamo, nalej mi jeszcze! – zawołał, kiedy tylko zobaczył puste dno.

– Z mamą nie rozmawia się w ten sposób, Eryku. Nie słyszałem słowa *proszę* – strofował go Józef automatycznie. W rzeczywistości niewiele w tej chwili interesował się synem, ukradkiem przyglądał się Marcie.

„Mogłaby mieszkać z nami na stałe. Przecież i tak coraz częściej bywa tu na kolacji, a czasem zostaje nawet na noc. To już duża dziewczyna, samodzielna,

mogłaby Annie pomagać. Kiedy urodzi się dziecko, żonie przydałaby się pomoc”.

Anna, z brzuchem wysuniętym do przodu, podeszła do stołu i postawiła na nim dzbanek mleka. Potem usiadła i nabrała ziemniaki na talerz.

– To mleko jest nie tylko dla ciebie, Eryku – zwróciła uwagę synowi. – Również Martusia może sobie dodać, jeżeli będzie miała ochotę.

– Mnie na pewno wystarczy to, co mam – zapewniła pospiesznie dziewczynka. Jej twarz zarumieniła się. „Wstydzi się, że ponownie jest na kolacji u nas”. – Józef w mig zrozumiał powód jej zmieszania. Miał ochotę ją przytulić. W tym momencie tak bardzo była podobna do Emy. Była prawie jego córką. Nie może jej przecież zostawić na pastwę losu.

„Co by powiedziała Anna, gdybym zaproponował, byśmy zabrali Martę do nas na stałe? Lubi ją przecież. Gdy dziewczynka z płaczem przybiegnie w środku nocy, zawsze bez słowa sprzeciwu ją przygarnie”. Spojrzał na żonę, ale ta jadła kolację z głową pochyloną nad talerzem.

„Nonsens – uświadomił sobie. – Nim zacznę na ten temat rozmawiać z Anną, muszę pójść najpierw do ojca dziewczynki. Czy mi się to podoba, czy nie, jego nie da się ominąć”.

Marta po rozmowie z Józefem również nie mogła zasnąć.

Przypomniała sobie ten sam wieczór sprzed dwunastu lat. Siedziała w tym samym domu, w którym teraz ma już swoje łóżko. Przy kuchennym stole zajadała z apetytem ziemniaki ze słoniną. Obok talerza stał kubek z mlekiem. Zostawiła go na później, by delektować się jego smakiem. To był jej pierwszy porządny posiłek od kilku dni. Jej tato gotował mało pożywne zupy z chlebem i czosnkiem, do których ona kroїła pietruszkę i marchewkę. Kawałek mięsa czy wędliny miała w ustach tylko wtedy, gdy dostała go u ciotki Anny.

Tej nocy ponownie została w domu u ciotki i wuja. Tak ich wówczas nazywała. Ciotka przygotowała dla niej posłanie w komorze. Pogłaskała ją przed snem po twarzy, odgarniając jej z czoła włosy. Marta dotknęła jej wypukłego brzucha.

– Będę mogła przychodzić przewijać bobasa, kiedy się urodzi? – spytała nieśmiało.

Anna się uśmiechnęła.

– Na pewno. Przyda mi się pomocniczka.

Marta zasnęła z uśmiechem na ustach. A jednak w środku nocy obudziła się z krzykiem. Nad jej posłaniem pochylał się ojciec. Zalatywało od niego wódką, w rękę trzymał butelkę większą od wszystkich, jakie dotąd widziała. Nie wątpiła, że chce ją uderzyć. Zaczęła krzyczeć:

– Nie!!! Błagam, tato, nie!!!

Chciała uciec, ale nogi zaplątały jej się w kołdrze. Nie mogła się podnieść z łóżka.

– Marto! Martusiu! – Ktoś trząsał nią tak długo, aż wreszcie się obudziła. W komorze nie było ojca, lecz wuj Józef. – Co ci się przyśniło?!

Wstydziła się opowiedzieć mu o ojcu, który chce ją walnąć butelką. Wuj łatwo by się domyślił, że jej sen to obraz rzeczywistości, w której przyszło jej żyć.

– Nic, tato, nic takiego. Taki sobie głupi sen – odpowiedziała wymijająco. I uświadomiła sobie, że zamiast *wuju* powiedziała do niego *tato*. Całe szczęście, że w komorze było ciemno i nie widział rumieńca, który oblał jej twarz.

– Przepraszam, wuju – wyszeptała. – Pomyliłam się...

– Nic nie szkodzi – zapewnił ją szeptem. Ścisnął jej rękę, a potem powoli się wyprostował i wyszedł z komory.

„Zaraz jutro porozmawiam z Rudolfem, a potem z Anną. Ta dziewczyna nie może zostać tam, gdzie jest” – postanowił, gdy wrócił do sypialni i położył się obok Anny, której, o dziwo, krzyk Marty wcale nie obudził.

„Powiedziała do mnie *tato*. Widzisz, Emo? To ja mogłem być ojcem twojej córki, od początku mogło jej być lepiej. Podjęłaś głupią decyzję”. – Ten wyrzut skierował w duchu do kobiety, która od dziewięciu lat już nie żyła.

Rudolf heblował jakąś deskę. Prawdopodobnie chciał z niej zrobić półkę. Odkąd z powodu pijaństwa stracił pracę w fabryce Jäkla, próbował zarabiać na życie, wykonując na zamówienie proste meble. Praca z drewnem zawsze go pociągała, od dawna miał w domu mały warsztat wyposażony w podstawowe narzędzia. Problem w tym, że klientów miał niewielu. Kto chciałby zamawiać coś u stolarza, który nagminnie nie dotrzymuje terminów, a zdarza się nawet, że weźmie zaliczkę, którą później zamiast na materiał wyda na wódkę?

– Masz dla mnie zlecenie? – spytał Rudolf Józefa, nie podnosząc wzroku znad pracy.

Józef próbował spojrzeć na niego bez uprzedzeń – abstrahując od faktu, że przed dziesięciu laty uwiódł jego dziewczynę, nie widząc w nim alkoholika, który nie umie sobie poradzić z życiem i przez to krzywdzi własne dziecko.

Nie potrafił. Nie lubił Rudolfa, odkąd go znał. A poznał go w drugiej klasie szkoły ludowej, kiedy to ośmioletni Rudek razem ze swoją świeżo owdowiałą mamą i starszą siostrą przeprowadził się do dziadków, do Żywocic.

Józef był w dzieciństwie raczej nieśmiałym, wystraszonego chłopcem. Zdziorny, nieustannie szukający zwady Rudolf napawał go lękiem. Wolał go unikać. Przez wiele lat mu się to udawało. Niestety, ich losy w końcu się skrzyżowały. Józef miał wówczas dwadzieścia dwa lata i był zakochany w Emie, koleżance z chóru młodzieżowego. Rudolf, choć niespecjalnie umiał śpiewać, także

zapisał się do chóru. Józef podejrzewał, że zachętą były dla niego ładne i zgrabne chórzystki. Mógł wybierać.

I wybrał Emę, dziewczynę Józefa. A ona wybrała jego.

Po ślubie wyprowadzili się. Józef nie wiedział dokąd. W niedużej chałupie w Żywocicach nie było miejsca na założenie nowej rodziny. Siostra Rudolfa już kilka lat wcześniej wyszła za mąż. Miała troje małych dzieci i spodziewała się narodzin czwartego. Razem z rodziną siostry mieszkała mama.

Józef w tym czasie poznał Annę. Zaraz po kilku pierwszych randkach zorientował się, że jest wspaniałą dziewczyną i będzie bez wątpienia dobrą żoną. Nie musiał żałować, że Ema wybrała Rudolfa. A jednak nie potrafił im tego zapomnieć.

Nie minął nawet rok, a Rudolf pojawił się na powrót w Żywocicach. Bez żony, za to z maleńką córeczką. Okazało się, że Ema zmarła przy porodzie. Sam nie był w stanie opiekować się dzieckiem, dlatego wrócił do siostry i matki. Wszyscy razem gnieździli się w małym domu, po kilka osób w jednej izbie. Mimo to, paradoksalnie, były to dla małej Marty najszczęśliwsze lata. Ojciec już wówczas lubił co prawda zaglądać do kieliszka, ale swój nałóg trzymał w ryzach. Babcia i ciocia zastępowały dziewczynce mamę, której nie poznała, całymi dniami bawiła się z kuzynami i kuzynkami.

A potem, z roku na rok, życie Marty i jej ojca zmieniało się na gorsze. Babcia zmarła, kiedy Martusia miała cztery lata, dwa lata później rodzina ciotki wyprowadziła się do Pragi. Wuj, kolejarz, otrzymał w stolicy intratną posadę. Namawiali Rudolfa, by spakował manatki, zabrał córkę i wyjechał z nimi. W stolicy bez trudu znajdzie pracę, a Marta nadal będzie widywała się z rodziną, z którą tak bardzo się zżyła.

Ale Rudolf był uparty. Nigdzie nie pojedzie. Zostanie tu, na swoim.

Powoli staczał się na dno. W domu brakowało podstawowych rzeczy – jedzenia, opału. Nie miał pieniędzy, by kupić Marcie buty do szkoły, zmuszona była nosić zbyt ciasne sukienki, z których dawno już wyrosła. Czasem udało mu się zarobić jakiś grosz, ale większość zarobku pochłaniał alkohol.

Zzerał się. Kochał córkę i chciał dla niej dobrze. Ale nałóg był silniejszy. Godzinami, z butelką wódki w ręce, rozmawiał ze zmarłą żoną, zarzucając jej, że zostawiła ich na pastwę losu. Dopóki był trzeźwy, toczył swój monolog w myślach, potem szeptem, wreszcie – kiedy był już całkiem pijany – z jego ust wydobywał się niezrozumiały bełkot. Marta schodziła wówczas ojcu z drogi. Wiedziała już, że gdyby przeszkodziła mu w rozpamiętywaniu domniemanych krzywd, cisnąłby w nią butelką. Nieraz tak przecież robił.

– Nie mam żadnego zlecenia – powiedział Józef owego wrześnieowego dnia

1932 roku, stojąc w warsztacie Rudolfa. – Chcę z tobą porozmawiać. O Marcie.

Rudolf nie odłożył hebla. Jego twarz przybrała zawzięty wyraz.

– Wiesz przecież, że często przychodzi do nas. Bywa na kolacji...

– Znów się wywyższasz?! Nie musisz mi przypominać, że jestem nie niewartym bezrobotnym gnojkiem, podczas gdy ty jesteś właścicielem prosperującego warsztatu! – przerwał mu Rudolf. Narzędzie niedbale rzucił w kąt. Wyprostował się i podszedł do Józefa. Ten instynktownie cofnął się o krok.

– Wcale nie mam zamiaru się wywyższać. Uspokój się – powiedział Józef, siląc się na ugodowy ton. – Niczego ci też nie wypominam. To moja żona zaproponowała kiedyś Martusi, że może do nas wpaść, kiedy tylko ma ochotę. I dziewczyna z tego korzysta. Nie o tym chciałem mówić.

– A więc o czym? – Mężczyzna usiadł na drewnianej skrzynce, która w warsztacie zastępowała mu krzesło.

– Chętnie zabrałbym Martę do siebie na stałe.

Rudolf przez chwilę milczał, wpatrując się w przybysza.

– Mówisz zabrałbym. A co Anna? – spytał wreszcie. Tym razem był trzeźwy i myślał logicznie.

– Anny na razie nie pytałem, ale jestem przekonany, że się zgodzi. Chciałem wprawdzie porozmawiać z tobą.

– Dlaczego tak ci zależy, by mieć Martę u siebie? – spytał Rudolf podejrzliwie.

– Dziewczyna w tym wieku potrzebuje matki. Zresztą dla nas jej obecność też byłaby korzystna. Pomagałaby w gospodarstwie... Wkrótce urodzi nam się dziecko i...

– Skoro urodzi ci się dziecko, to nie próbuj mi zabierać mojego! Wiem dobrze, o co ci tak naprawdę chodzi, skurwysynu! Chcesz zabrać córkę Emy, by mi udowodnić, że w końcu Ema jednak do ciebie należy!

Rudolf wpadł w furję. Złapał za dłuto – pierwszą lepszą rzecz, która mu się nawinęła pod rękę – i cisnął nim w gościa. Ten ledwo zdążył uskoczyć w bok.

„Rozmowa z nim nie ma najmniejszego sensu” – pomyślał z rezygnacją Józef. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z mieszczącego się w piwnicy warsztatu. Odchodząc, obrzucił wzrokiem walącą się chałupę, o którą jej właściciel od lat nie dbał. Nie dbał o nic, nawet o siebie.

„To dłuto” – uświadomił sobie Józef w drodze do domu i poczuł, jak nogi się pod nim ugięły. Rudolf był trzeźwy (albo prawie trzeźwy), a jednak odważył się cisnąć ostrym narzędziem w dorosłego mężczyznę, który bez problemu mógł stawić mu czoło. Jakie szanse ma wobec niego dziewięcioletnia dziewczynka, gdy jest pijany i w ogóle nie panuje nad sobą?

„Dlaczego tak łatwo zrezygnowałem? Dlaczego nie próbowałem dalej z nim negocjować?”

Te pytania nie dawały mu spokoju, gdy miesiąc później przyglądał się bezradnie, jak pielęgniarka zmienia dziewczynce opatrunki. Marta płakała z bólu, lecz odwracała twarz, by nie widział jej łez. Wstydziła się tak samo jak wtedy, gdy przez pomyłkę powiedziała do niego *tato*. Albo wtedy, gdy zbyt łąpczywie pałaszowała ziemniaki ze słoniną.

Za kilka lat będzie z niej młoda kobieta. Czy odważy się podkasać spódnicę i pokazać mężczyźnie, którego pokocha, całe swoje ciało? Jej matka była piękną kobietą, mogła przebierać między chłopakami. Marta też będzie piękną kobietą. Ale nie do końca.

Józef otrząsnął się z bolesnych wspomnień. Była już trzecia nad ranem. Niedługo będzie musiał wstać i iść do warsztatu. Czekają na niego mnóstwo butów do naprawy. Sen jednak nadal nie przychodził. Odeszły myśli związane z Martą, przyszły nie mniej dręczące. O Eryku.

„Może jednak nie powinienem był podpisać volkslisty? Chciałem dobrze, chciałem, by Anna, Eryk i Marta mieli co jeść, by nie zabrali nam warsztatu, nie wywieźli do Polenlagru czy na prace przymusowe. Tyle rodzin już musiało opuścić swe domy. Tyle osób jest w więzieniach... Nie można mieć wszystkiego. Nie mogę wciąż sobie zarzucać, że Eryka zabrali do wojska”.

Myśli, jak spłoszone konie, w ogóle nie słuchały już Józefa. Zatoczyły krąg i wróciły do punktu wyjścia – do Marty. „To ona ma mi za złe, że Eryka nie ma w domu. Marta bardzo kocha swego brata”.

„Jak właściwie go kocha?”

Następnego dnia po tamtej rozmowie z Rudolfem Józefa przez cały dzień nie było w domu. Pomagał znajomemu przy świnobiciu w gospodarstwie znajdującym się na drugim końcu wioski. Wracał do domu na rowerze, kiedy już się ściemniało. Eryk wybiegł mu naprzeciw.

– Tato, zabierz mnie na rower! – wołał.

– Co nowego w domu? – spytał Józef, gdy synek usadowił się na ramie.

– A... nic specjalnego.

– Co robi mama?

– Nic.

– Nic? – zdziwił się Józef. Anna nigdy nie próżnowała.

Chłopiec wzruszył ramionami i o mało nie stracił równowagi.

– Mówiła, bym się grzecznie bawił na dworze, że się trochę położy, bo jakoś

niedobrze się czuje... Tato, czy wiesz do domu krupnioki?

– No pewnie – odparł Józef zniecierpliwiony. Zaczął się niepokoić o Annę. Zastał ją w sypialni, na wpół siedzącą, na wpół leżącą.

– Coś nie tak, Anusiu?! – zawołał, kiedy przekroczył próg.

– Bolał mnie brzuch i miałam mdłości, ale już jest lepiej – zapewniła. Zaczęła się podnosić. – Tylko... Muszę iść pilnie do wychodka.

Wyciągnęła rękę po sweter przerzucony przez oparcie kanapy i nagle zmartwiała.

– Cieknie – wyszeptała. Sięgnęła ręką między uda. – To chyba woda... O Boże!

W kuchni panował już mrok. Józef pospiesznie zapalił lampę naftową – wtedy nie mieli elektryczności. W jej świetle zobaczył, że pod Anną robi się kałuża.

– O Boże – powtórzył jak echo. Żona miała rodzić dopiero za dwa i pół miesiąca.

Akuszerka, którą na szczęście szybko sprowadził, bo mieszkała niedaleko, od początku nie ukrywała, że to byłby cud, gdyby dziecko urodziło się żywe. A jeżeli nawet po porodzie miałoby żyć, to nie byłoby szansy, by się uchowało. Annie tego nie powiedziała, tylko Józefowi poszeptała na uboczu. Ale Anna nie była przecież głupia, wiedziała, że rodzi dziecko, które skazane jest na śmierć. Józef nie był pewien, czy ból, który ściągał poszarzałą twarz żony, był bardziej bólem fizycznym, czy też psychicznym cierpieniem.

Po dwóch godzinach wysunęła się główka, a za nią wręcz niewyobrażalnie chudziutkie ciało. Dziewczynka nie wydała głosu, nie była w stanie zaczerpnąć powietrza w nieprzygotowane jeszcze płucka. Zapadła głucha cisza. Słysząc było tylko delikatne pojękiwanie Anny.

Józef przyniósł święconą wodę. Co roku w Białą Sobotę nabierali ją w kościele do małej ceramicznej kropielniczki i przez cały rok trzymali w domu na wszelki wypadek. Teraz się przyda. Pokropił wodą leżącego bezwładnie noworodka.

– Anno, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – powiedział przyduszonym głosem. Tak ustalili – dziewczynka miała otrzymać imię po matce.

Jego żona bardzo pragnęła córki. Wiedział, że jej stratę będzie przeżywała mocniej, niż gdyby urodziła martwego syna.

Kiedy małe ciało spoczęło dwa dni później na cmentarzu, Anna powiedziała do męża tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Musisz ponownie porozmawiać z ojcem Martusi. Weźmiemy ją do siebie.

Będziemy mieli córkę.

Z dnia na dzień odkładał tę wizytę. Nie miał na nią czasu ani nastroju. Minął jeden tydzień, drugi, wreszcie cały miesiąc.

A potem nagle było za późno na negocjowanie z Rudolfem. Pijak powiesił się pewnej nocy na strychu własnego domu. O dziwo, tej nocy był w miarę trzeźwy. Na podłodze postawił świeczkę, by w ciemności umocować pętlę na belce pod sufitem. Włożył ją do wysokiego szklanego słoika. Wiedział, że już jej nie zgasi, zadbał więc o bezpieczeństwo. Na dole spała przecież jego córeczka. Dziewczynka, która zasługiwała na lepsze życie. „To będzie dla niej szok, kiedy mnie tu znajdzie. Ale może tak naprawdę się ucieszy? Na pewno nie zostanie bez rodziców. Józef i Anna zabiorą ją do siebie” – pomyślał z bólem, lecz zarazem z ulgą.

Szorstki sznur ścisnął jego gardło, ciało napięło się i zaczęło dyndać pod sufitem. Lewa noga, nad którą stracił władzę, zahaczyła o górną krawędź słoika. Nie widział już, jak płomień przewróconej świecy zaczyna lizać drewniane deski.

Marta spała na dole. Dobrze jej się spało tej nocy, ponieważ ojciec nie przeklinał, nie rozbijał butelek, nie robił hałasu. Było cicho i spokojnie.

Rozdział III

Synowie

W kwietniu nareszcie nadeszła wiosna i Ostrawa stała się bardziej przyjazna. Kilka razy, kiedy miałam trochę wolnego czasu, wybrałam się na spacer do parku Komeńskiego, który poleciła mi Andrea. To było naprawdę urocze miejsce, a bonusem dla mnie, przyjezdnej znaną z Wisły, był widok biało-czerwonej flagi trzepoczącej się na budynku stojącego w pobliżu polskiego konsulatu.

Innym razem wybrałam się na Rynek Masaryka – główny plac w mieście. Jego wygląd mnie rozczarował. Sporo sklepów pozabijanych deskami, duży dom towarowy, który kiedyś był podobno chlubą miasta, a teraz popadał w ruinę.

– Faktyczne centrum jest dziś gdzie indziej. Ostrawianie zamiast na rynek chodzą do galerii handlowej, którą niedawno wybudowano kilkaset metrów dalej, w miejscu, gdzie kiedyś stała koksownia – wtajemniczyła mnie Andrea.

Nasza filia, prócz mnie, liczyła nadal tylko jednego stałego pracownika – Andree, oraz jednego współpracownika – Marcina. Dopiero w maju lub czerwcu miałam zatrudnić ludzi, którzy zajmą się tworzeniem magazynu towaru. Byłam bardzo zadowolona zarówno z Andrei, jak i z Marcina. Sekretarka umówiła mnie już na szereg spotkań z miejscowymi biznesmenami, naszymi potencjalnymi odbiorcami i pomagała mi w prowadzeniu rozmów. Marcin, nie marnując czasu, tworzył czeską wersję materiałów reklamowych. Przekłady robił w domu, na własnym komputerze, dość często jednak wpadał do biura, by omówić ze mną różne sprawy.

– Nie powinniśmy się ograniczać do zwykłego tłumaczenia gotowych rzeczy. Czeski klient i polski klient to dwa zgoła inne typy. Powinniśmy to uwzględnić, opracowując strategię handlową – przekonywał mnie podczas jednego ze spotkań.

– Zna się pan na tym? – spytałam.

– Trochę tak, w poprzednim semestrze mieliśmy na zarządzaniu marketing. Cały ten kierunek, który wcisnął mi ojciec, niespecjalnie mnie kręci, ale akurat marketing wydaje mi się całkiem interesujący – wyjaśnił.

– Poszedł pan na zarządzanie, bo ojciec panu kazał?

– Właściwie tak. Dla mnie najważniejsza była historia. Interesowałem się nią już w podstawówce, ale ojciec uważa, że po historii żadnej porządnej roboty nie znajdę. On ma firmę. Taką mini, czterech pracowników, ale dla niego biznes to jedyny sensowny sposób na zarabianie pieniędzy. Uważa, że grzebanie w przeszłości to nie jest żadna porządna praca.

„Zupełnie jak ja” – pomyślałam z lekkim poczuciem winy, uświadamiając sobie, że mam dokładnie taki sam lekceważący stosunek do pracy Wiesława. Nie

powiedziałam tego głośno, tylko uśmiechnęłam się z lekkim rozbawieniem.

– Mój mąż jest historykiem – poinformowałam Marcina.

– Naprawdę? – zainteresował się. – Gdzie pracuje?

– Na uniwersytecie.

– Też bym tak chciał – westchnął. – Mam nadzieję, że uda mi się skończyć historię przy tym całym zarządzaniu. Na szczęście wygląda na to, że ojciec zadowolony się licencjatem.

– Zawsze robi pan to, czego życzą sobie rodzice?

Przyjrzał mi się uważnie, jakby nie mając pewności, czy moje pytanie podszyte było życzliwością, czy raczej ironią.

– Nie zawsze, ale staram się, jeśli nie chodzi o coś, co byłoby dla mnie absolutnie nie do przyjęcia... Pani dzieci nie są takie grzeczne jak ja?

To było jak uderzenie w policzek, ale sama byłam sobie winna. Czułam, że się rumienię. Żenada, biorąc pod uwagę mój wiek. Dziś nawet nastolatki się nie rumieniają. Tak przynajmniej twierdzi Agata.

– Mam bardzo udaną córkę – odpowiedziałam powoli. – Dzwoni do mnie prawie codziennie, a poza tym studiuje z dobrymi wynikami andragogikę na Uniwersytecie Warszawskim. No i ogólnie nie stwarza problemów. Naprawdę nie mogę narzekać.

Pokiwał głową, przyjmując do wiadomości moją odpowiedź. Wziął do ręki materiały, nad którymi pracowaliśmy do tej pory. Sądziłam, że wyczerpaliśmy poprzedni temat, ale się myliłam.

– Dlaczego zaraz na początku pani podkreśliła, że córka dzwoni codziennie? Czy jest jeszcze ktoś, kto miałby dzwonić, a nie dzwoni? – spytał nagle, nie podnosząc głowy znad papierów.

Zatkało mnie. Na co sobie ten smarkacz pozwala?

– Psychologię też studiujesz? – spytałam ironicznie. W porywie irytacji zwróciłam się do niego na ty.

– Przepraszam, nie chciałem... Jeśli nie chce pani więcej rozmawiać na ten temat, to oczywiście... – zaczął się wykręcać.

– To ja przepraszam, że przesłam na ty.

Uśmiechnął się rozbijając.

– W porządku. Już dawno chciałem panią o to poprosić.

Nie potrafiłam dłużej gniewać się na tego chłopaka.

– Wszyscy w tym wieku jesteście tacy bezczelni?! – na pół spytałam, na pół stwierdziłam, także się uśmiechając. – Wierz mi, mogę porównywać. Prócz córki mam też syna.

Pokiwał głową. Założyłabym się, że na język nasuwało mu się pytanie, czy to ten, który nie dzwoni.

Poniedziałek, 14 lutego 1944

– Czy Frankowi coś się stało? Zachorował? – Tereska obrzuciła starszego ze swych braci pytającym spojrzeniem.

Władek wzruszył ramionami.

– Frankowi Podstawce? – upewnił się. – Niby dlaczego?

– Długo nie było go u nas w kościele.

– Mówił, że ostatnio chodzi na msze do Błędowic – odpowiedział Władek zgodnie z prawdą. Musiał mocno się starać, by stłumić śmiech cisnący mu się na usta. Doskonale się domyślał, dlaczego siostra pyta o Franciszka. Tak samo jak wiedział, dlaczego Franek ostatnio jej unika.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? Bo przecież do Suchej ma bliżej? – wypytywała dalej dziewczyna, nie patrząc już na brata. Spiesznie zajęła się sprzątaniami ze stołu naczyń po kolacji.

– Jeśli chciałabyś znać konkretny powód, musiałabyś sama go zapytać. – Brat nie ułatwiał jej sytuacji.

Tereska wzruszyła ramionami. Była mocno rozczarowana. Co niedziela wypatrywała Franka przed kościołem. Chciała go przynajmniej zobaczyć. Ale tydzień w tydzień spotykał ją zawód. Od tego styczniowego dnia, kiedy Franciszek przenocował w ich domu, całkowicie zginął z jej pola widzenia. Czy to przypadek, czy też celowo jej unikał? Była już gotowa wprost spytać Władka, co o tym sądzi, lecz w tym momencie do kuchni weszła mama.

Zrezygnowała.

Józef miał mnóstwo pracy. Zresztą zimą zawsze tak było. Latem ludzie na wsi nie przejmowali się specjalnie stanem swojego obuwia – lekko odstająca podeszwa czy mała dziurka nie były wystarczającym powodem, by wydawać pieniądze na szewca. Teraz, kiedy termometr nawet w południe pokazywał dobrych kilka kresek poniżej zera, a raz po raz szalała śnieżycy, ludzie – chcąc nie chcąc – musieli zadbać o buty.

– *Guten Tag!* – pozdrowił po niemiecku wójt Heinrich Mokrosz. „Mogło być gorzej – pomyślał Józef. – Nie zdziwiłbym się, gdyby tu wszedł ze słowami *Heil Hitler*”.

– *Guten Tag* – zamruczał w odpowiedzi.

Heinrich przed wojną był Henrykiem. Aktywnie udzielał się w polskich organizacjach, był członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej. Co więcej, Józef miał osobiste powody, by darzyć go wdzięcznością. Doskonale pamiętał, że Henio Mokrosz przed dwunastoma laty pomagał ratować Martę. Jednak przed Heinrichem

wolał mieć się na baczności. Nieraz słyszał we wsi, że ma „kolegów” w cieszyńskim gestapo.

– Ale mamy straszną pogodę, *nicht wahr?* – zagadnął wójt, używając dziwacznej mieszanki językowej.

– Jak zima, to zima – odparł neutralnie szewc. Informację o tym, że taka pogoda przekłada się na ożywienie w szewskim interesie, zostawił dla siebie.

Mokrosz zresztą domyślił się tego.

– Widzę, że masz dużo butów do naprawy – zauważył, wodząc wzrokiem po warsztacie. Wojskowych butów, które wczoraj pod osłoną nocy ponownie przyniósł partyzant, nie mógł na szczęście zauważyć. Józef przezornie wcisnął je za inne obuwie do przepastnej szafy. Mimo wszystko poczuł się trochę nieswojo.

– Butów dużo, a widzę, że ty przyniosłeś kolejne pary – roześmiał się, maskując zmieszanie. „Dlaczego Mokrosz osobiście pofatygował się do mojego warsztatu, zamiast jak zwykle wysłać służącą?”

– Masz wiadomości o synu? – spytał tymczasem wójt. Józef odetchnął. Jakkolwiek ten temat był dla niego bolesny, nie był – przynajmniej w tej chwili – niebezpieczny.

– Czasem pisze, choć niezbyt często – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– A Marta?

– Skończyła szkołę i pracuje w niemieckim przedszkolu w Szumbarku.

– *Na schön!* – Wójt uśmiechnął się na pozór przyjaźnie. – Zapewniłeś dziewczynie piękne życie. A pomyśleć, jak tragicznie mogły potoczyć się jej losy...

– No tak... Masz rację – bąknął szewc nieco speszony.

– Słusznie postąpiłeś, podpisując volkslistę. Myślę, że każdy rozsądny człowiek, który dba o dobro swej rodziny, powinien był to zrobić – dodał gość.

Spojrzeli sobie prosto w oczy. „Rozmawia ze mną jak ze starym znajomym czy też stara się mnie sprowokować? Ale do czego?” – zastanawiał się Józef gorączkowo.

Mokrosz zgarnął pustą torbę z lady.

– Kiedy można będzie odebrać buty?

– Już wypisuję kwit z datą – odpowiedział Józef, ciesząc się, że rozmowa wróciła na bezpieczny, neutralny grunt. Podał klientowi karteczkę.

– Przyślę potem kogoś. *Auf Wiedersehen.* – Wójt szykował się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze. – O mało bym zapomniał..... Czy nie sądzisz, że rzeźnik Pawlas pakuje się w kłopoty?

– Jakiego rodzaju? Nie robię zakupów, mięso kupuje Anna albo Marta – odpowiedział Józef.

„Więc jednak to nie przypadek, że Heinrich osobiście pofatygował się z butami” – pomyślał.

– No tak, rozumiem. Myślałem... Może żona lub córka o czymś napomknęły...

– W związku z rzeźnikiem? Na pewno nie – zapewnił szewc.

– Nieważne. – Wójt machnął ręką. – Tylko... Szkoda by go było, gdyby sprawy wymknęły mu się z rąk. W końcu to równy chłop...

Józef nic na to nie powiedział. Dotarły do niego co prawda pogłoski, że do rzeźnika zarówno jeżdżą po mięso gestapowcy z Cieszyna, jak i pod płaszczkiem nocy przychodzą partyzanci. Ale po pierwsze, nie wiedział, na ile te historie są prawdziwe, a po drugie, nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z Mokroszem jakimikolwiek spostrzeżeniami.

– Rozumiem, nie interesujesz się plotkami. – Wójt wysilił się na uśmiech. – No i słusznie. Lecę. *Auf Wiedersehen*.

– *Auf Wiedersehen*.

Józef cały dzień spędził w warsztacie. Naprawiał jedną parę butów za drugą, w myślach wciąż na nowo odtwarzając rozmowę z Mokroszem. Próbował rozstrzygnąć, czy Heinrich faktycznie chciał zasięgnąć informacji o rzeźniku, czy też ta historia miała być ostrzeżeniem dla niego.

Kiedy wieczorem odłożył wreszcie narzędzia, wezwany przez Annę na kolację, musiał przyznać, że nadal nie ma pojęcia, o co chodziło wójtowi.

W Żywocicach od 1923 roku działała Ochotnicza Straż Pożarna. Jej członkiem był prawie każdy szanujący się obywatel. Szewc również był strażakiem. Do jego zadań należała obsługa sikawki.

Owej wrześnie nocy 1932 roku Józef wiedział, że sikawkę zostawi któremuś z kolegów. On miał inne, ważniejsze zadanie. Jechali do domu, w którym mieszkała Marta ze swoim ojcem – pijakiem. Wałęca się chałupa stała w płomieniach.

– Henio, dzisiaj ty zajmiesz się sikawką. Ja biegnę po Martę! – zawołał do Mokrosza. Ten nie protestował. W końcu zyskał na tej wymianie.

Odetchnął, kiedy zobaczył, że dziewczynka wybiegła już przed dom. Nie miałyby szansy dostać się do środka, żywioł opanował już cały budynek. Marta była boso, włosy miała potargane, zgięta w pół trzymała się za brzuch i głośno płakała. Objął ją i odciągnął jak najdalej od płonącego domu.

– Ojciec jest w środku? – zapytał szybko.

– Nie wiem – odpowiedziała, łkając. – Nie wiem, gdzie jest tato. Uratujecie go?

– Spróbujemy, ale najpierw musimy zapanować nad ogniem!

Prąd wody z sikawki celował już w płomień. Marta nadal trzymała się za brzuch i płakała, a właściwie krzyczała z bólu. Józef odsunął jej rękę.

– Pokaż, Martusiu. Jesteś na pewno ranna!

Nocna koszula na brzuchu dziecka w jednym miejscu była zwęglona i przykleiła się do skóry. Strażak, który pełnił obowiązki sanitariusza, podbiegł do dziewczynki. Położył ją na trawie, we dwójkę z szewcem zaczęli opatrywać jej rany. Kiedy oddzielali tkaninę od skóry dziecka, Józef czuł się tak, jakby sam przeżywał katusze. Marta na szczęście zemdląła z bólu.

Później Józef dowiedział się, że dziewczynka, starając się wybiec z palącego się domu, pośliznęła się w sieni na gładkiej posadzce i upadła na plecy. W tym momencie z komody, którą trawił już ogień, obluzowała się pęknięta na pół deska i jedna jej część osunęła się na brzuch dziewczynki. Marta zdążyła zrzucić z siebie gorejącą szczapę i, pokonując ból, wydostała się na zewnątrz.

Niedziela, 20 lutego 1944

Franek powoli zapinał koszulę. Czuł się kiepsko. Bolały go plecy, drapało w gardle. Mimo to nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby to być nadchodząca grypa. Zaliczał sam siebie do ludzi z *zasady zdrowych*, niepoddających się byle wirusowi. Przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle iść na mszę, ale szybko odegnał wątpliwości.

„Pójdę tym razem do Suchej, bądź co bądź mam bliżej” – postanowił. Od kilku tygodni unikał suskiego kościoła, wolał nadkładać drogi i chodzić na nabożeństwa do Błędowic, by nie spotykać Tereski. Szybko mu to się jednak znudziło. Dzisiejsze samopoczucie tylko przyspieszyło jego decyzję, że nie będzie przecież się chował przed dziewczyną.

– Wczoraj moja siostra pytała o ciebie. Martwiła się, czy aby nie zachorowałeś – powiedział w piątek Wladek, kiedy wracali z pracy. – Czy to nie trochę dziecinne zmieniać kościół z powodu dziewczyny? – dodał, dziwnie się przy tym uśmiechając.

– Masz rację. To jest dziecinne – przyznał Franek, nie rozwijając tematu.

Na kobietę, której zamierzał unikać, natknął się, ledwo przebrnął przez las i znalazł się w Suchej. Wychodziła z domu dokładnie w tym samym momencie, w którym on przechodził koło niego. Sama, nikt jej nie towarzyszył.

– Witaj, Teresko – pozdrowił, siląc się na naturalny ton.

– Och, Franek... – wyrwało się jej. – Witaj...

Chcąc nie chcąc, dalej szli razem. Przez półtora kilometra skazani byli nawzajem na swoje towarzystwo.

– Do kościoła? – spytał retorycznie.

– Tak. A ty? Długo cię u nas nie było...

– U was w domu czy u was w kościele?

– Tak w ogóle...

Nie wyjawiał jej przyczyny. Zmienił temat.

– Zawsze chodźcie całą rodziną. Dlaczego dziś jesteś sama? – zagadnął, wciąż jeszcze niezdecydowany, czy to nagłe zrządzenie losu powinien uznać za korzystne, czy wręcz przeciwnie.

– Wszyscy chorują. To znaczy przede wszystkim mama. Z braćmi nie jest tak źle, ale woleli wypocząć, by móc jutro pójść do pracy. A tato jest na szychcie... Ty, jak widzę, się trzymasz?

– Nie mam zwyczaju chorować – powiedział Franek dziarsko. W rzeczywistości coraz bardziej bolało go gardło.

Dziewczyna się roześmiała. Spojrzał na nią uważnie – na zarumienioną od zimnego wiatru twarz, na nieposłuszne ciemne kosmyki włosów wylazące spod czapki. Serce zabiło mu mocniej. Bał się ponownie otworzyć usta, niepewny, czy głos nie będzie mu drżał z podniecenia.

Szli jakiś czas w milczeniu. Na otwartej przestrzeni wśród pól, gdzie nie było zabudowań, wiatr dał zresztą na tyle mocno, że niełatwo było prowadzić rozmowę.

– Ale zimno... Chyba powinnam była jeszcze jakiś sweter włożyć pod ten płaszcz – odezwała się wreszcie Tereska. Odruchowo objął ją ramieniem.

– Ciepłej?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego odwróciła twarz w jego kierunku i wtuliła ją w jego kurtkę. Zatrzymali się.

– Zmarzniemy tu, jak będziemy tak stać – wykrztusił. Obejrzał się za siebie. Zbliżała się do nich grupka osób podobnie jak oni zmierzających do kościoła.

Zdjął rękę z jej ramienia. Ruszyli.

– A co słyhać u was w domu? Jak mama się czuje? – spytała po chwili dziewczyna.

– Mama ciągle tak samo. Gdyby nie te żyłaki, przez które okropnie bolą ją nogi, byłoby nie najgorzej.

Tereska zastanawiała się, o kogo jeszcze zapytać. Dzięki opowiadaniom braci była nieźle poinformowana o sytuacji rodzinnej Franka. Wiedziała, że jego ojciec chorował na serce i zmarł jeszcze przed wojną. Orientowała się również w losach jego rodzeństwa. Franciszek był najmłodszym z czworga dzieci. Dwie siostry były zamężne. Jedna, żona hutnika, mieszkała w Trzyńcu. Druga została w Żywocicach na gospodarstwie. Jej mąż był ewangelikiem i ona przyjęła jego wiarę. Dlatego też nigdy nie towarzyszyła Frankowi w drodze do kościoła.

Franek miał ponadto brata Jerzego. Został zesłany na roboty przymusowe do Rzeszy. O niego nie chciała pytać. Obawiała się, że to sprowokuje Franciszka do pytań o Gustawa. Milczała więc, czekając, czy Franek sam nie podejmie jakiegoś tematu. Podjął. Właśnie ten, którego starała się uniknąć.

– W piątek po długim czasie nadszedł list od Jurka. Miał wypadek przy pracy. Jakaś metalowa szczapa odskoczyła od tokarki i wbiła mu się w ramię. Pisze co prawda, że jako tako to się goi, ale niepokoimy się o niego. Kto wie, czy napisał całą prawdę...

– Och... To przykre... – zauważyła Tereska.

– Tak. Ale mogło być gorzej. A jak tam twój Gustaw? – odważył się wejść na cienki lód.

– Gustaw... – Tereska nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tym bardziej że Franek – tak jej się przynajmniej zdawało – zbyt mocno zaakcentował słowo *twój*.

– Nie chcę o nim rozmawiać – wyszeptała wreszcie. – Przepraszam...

– To ja przepraszam – zapewnił Franek pospiesznie. – Rozumiem, że to dla ciebie bolesny temat.

„Nic nie rozumie” – pomyślała z rozpaczą Tereska. Poczula się okropnie. Kiedy wychodząc z domu, zupełnie niespodziewanie natknęła się na Franka, poczuła się tak, jakby wygrała w loterii. Tymczasem wystarczyło piętnaście minut, a wszystko potoczyło się zupełnie nie po jej myśli. Do oczu napłynęły jej łzy. Celowo nie próbowała ich otrzeć. Była przekonana, że w ten sposób tylko ściągnęłaby niepotrzebnie uwagę Franka. Niech lepiej patrzy prosto przed siebie.

Wtorek, 22 lutego 1944

Tego dnia Tereska wróciła do domu wyjątkowo zmarznięta. Znowu od rana sypał śnieg. Kiedy to się skończy? Ojciec, sapiąc z wysiłku, usuwał łopatą śnieg ze ścieżki prowadzącej do furtki.

– Dzień dobry, tato. – Dziewczyna uśmiechnęła się z wysiłkiem. Twarz miała zdrętwiałą od lodowatego wiatru.

– Niespecjalnie dobry, co? – mruknął ojciec.

– Tak, niespecjalnie – przyznała.

„Nie tylko ze względu na pogodę – pomyślała. – Majster był dziś wyjątkowo wredny. Wciąż mu się wydawało, że wszyscy pracują za wolno. Uff! Całe szczęście, że jutro mam służbę u Hermannów”.

Szybko weszła do domu. Zrzuciła tylko płaszcz i czapkę i od razu podeszła do buchającego żarem kuchennego pieca, by ogrzać zgrabiące ręce. Mama postawiła na blasze garnek z resztą zupy fasolowej.

– Jedną kromkę czy dwie? – spytała, krojąc chleb dla córki.

– Dwie, jestem strasznie głodna. Ile mogę zjeść zupy?

– To już wszystko dla ciebie. – Matka się uśmiechnęła.

Dziewczyna jadła w milczeniu, pograżona w myślach. Od wczoraj, od tej niefortunnej niedzieli, kiedy spotkała Franka, nie potrafiła myśleć o niczym

i o nikim innym. Wciąż uparcie tkwił w jej głowie. Może majster miał nawet trochę racji – faktycznie niemrawo dziś pracowała. Nie potrafiła się skupić.

– Aha, jest list dla ciebie – powiedziała nagle mama. Sięgnęła na piec i podała córce kopertę. Wystarczyło spojrzeć na pieczętkę i adres napisany dobrze znanym Teresce pismem, by wszystko było jasne.

– Gustaw jakoś częściej teraz pisze. Tęskni pewnie, biedak – westchnęła mama.

Teresce serce zabiło mocniej. Przecież ostatnio... No tak... Na ten ostatni list, który otrzymała w dniu, kiedy w ich domu przenocował Franek, w ogóle nie odpowiedziała. Przymierzała się do tego, wiedziała, że powinna odpisać, a jednak nie zrobiła tego. Czy Gustaw upomina się o odpowiedź?

– Często pisze, to fakt – przyznała ze ściśniętym gardłem. Mama patrzyła wyczekująco.

– Może coś mu się stało? Choruje?... Nie otworzysz tego listu?

– Pewnie, że otworzę – zachnęła się Tereska. Rozerwała niecierpliwie kopertę. „Będzie mi robił wyrzuty?” – zastanawiała się, rozprostowując złożoną na czworo kartkę.

„Kochana Teresko! Nie otrzymałem jeszcze od Ciebie odpowiedzi na mój poprzedni list. Pewnie gdzieś się zawieruszył. Co chwila tu ktoś się skarży, że jakiś list przepadł. Co u Was nowego? Czy rodzice i bracia zdrowi? Ja ciągle haruję, czasem jestem tak zmęczony, że mam wrażenie, jakbym postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Ale Ty pewnie w tej cegielni też nie masz lekko? Czy u Was też jest taka sroga zima jak tutaj? Zwykle zasypiam od razu, ledwo przytknę głowę do poduszki, choć w tym baraku ciągle ktoś hałasuje i gdyby nie to potworne zmęczenie, pewnie nie zmrużyłbym oka. Nie miewam żadnych snów. Ale wczoraj, jeszcze zanim zasnąłem, oczyma wyobraźni zobaczyłem Ciebie, jak wczesnym rankiem przedzieras się przez śnieg, idąc do pracy”.

Dziewczyna odwróciła kartkę i... zamarła. Zakończenie listu napisane było dużymi literami: „KOCHAM CIĘ, MOJA MAŁA, ZAGUBIONA W ŚNIEGU KRUSZYŃKO. BARDZO CIĘ KOCHAM! PRZEPRASZAM, ŻE TAK DŁUGO CI TEGO NIE NAPISAŁEM”.

Nic więcej. Pod tym nietypowym dla Gustawa wyznaniem widniał już tylko jego zamaszty podpis.

Tereska siedziała bez ruchu, wpatrując się w trzy ostatnie zdania. Takiej wylewności się nie spodziewała. Musiała wyglądać okropnie, bo mama pochyliła się nad nią, próbując ukradkiem zajrzeć do listu, i spytała zatroskanym głosem:

– Czy coś się stało, Teresko?

Dziewczyna szybko zakryła kartkę dłonią. Nie była w stanie odpowiedzieć. Gardło miała ściśnięte, a do oczu napływały jej łzy. „Boże, dlaczego akurat teraz? Dlaczego teraz to pisze? A może sam Pan Bóg tak chciał, bym uświadomiła sobie,

że nie powinnam myśleć o Franku? Przecież kiedy Gustaw wyjechał na te przymusowe prace, tak bardzo mi go brakowało. Już tego nie pamiętam? *Moja mała, zagubiona w śniegu kruszynko...* To tak, jakby był tu przy mnie, jakby mnie dziś obserwował, kiedy szłam rano do pracy”.

Tereska powoli podeszła do pieca. Z listem w ręku. Otworzyła drzwiczki. Buchający z wnętrza żar uderzył ją w twarz. Łzy w oczach jeszcze bardziej zapiekły. List, który powinna była schować jak skarb na pamiątkę, zaczęła szarpać na małe kawałki i wrzucać do ognia.

– Dziewczyno! Opamiętaj się! – zdenerwowała się mama. Przyskoczyła do niej i energicznym ruchem zamknęła drzwiczki. Córka ponownie je otworzyła. W tej chwili do kuchni wszedł zmarznięty ojciec, który właśnie skończył pracę na dworze, a wraz z nim Władek i Karol, wracający z kopalni.

– Ale ziąb! – jęknął Karol i podobnie jak pół godziny temu Tereska, teraz on ruszył prosto w stronę pieca, by ogrzać ręce. – Siostra, odsuń się. Bawisz się ogniem?

– Skończyłam – wykrztusiła i wrzuciła w płomień ostatni kawałek listu, po czym zatrzasnęła drzwiczki. – Zostawcie mnie, proszę, teraz w spokoju – poprosiła drżącym głosem.

Bracia i ojciec spoglądali pytająco to na nią, to na matkę. Tereska wybiegła z kuchni i zamknęła się w swojej izdebce, gdzie prócz łóżka, małej komody i wiszącego nad nią obrazu Matki Boskiej nic więcej się nie mieściło.

– Otrzymała list od Gustawa. Napisał coś, co nią wstrząsnęło. Chyba dlatego go spaliła – wytłumaczyła matka szeptem, kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi.

„Napisał, że ją rzuca? Może i dobrze, przecież widzę, że w głowie ma tylko Franka – pomyślał Władek. – Uspokoi się i dojdzie do wniosku, że tak będzie jej lepiej”.

– Porozmawiam z nią później – obiecał. Matka skinęła głową. Wiedziała, że Władkowi dziewczyna najchętniej się zwierza.

– Otwórz, Teresko, słyszysz?! Otwórz!

Najpierw myślała, że to sen. Przecież przed chwilą śniło jej się, że Gustaw przedziera się przez zasy i brnie do jej domu. Już dotarł?

– Teresko! Nie wygłupiaj się!

Dziewczyna oprzytomniała. Ach tak, to wcale nie Gustaw. No pewnie, skąd by tu się wziął?

Podniosła się i przekręciła klucz w zamku. Brat wszedł do środka.

– Dlaczego nie otwierałaś?

– Po prostu zasnęłam – powiedziała zgodnie z prawdą. Otarła zaspane oczy.

I natychmiast przypomniała sobie o liście, który spaliła.

Władek usiadł obok niej na łóżku.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Mama cię przysłała?

– Daj spokój! Pytam, bo się martwię o ciebie...

„Kocham cię, moja mała, zagubiona w śniegu kruszynko”.

Pokręciła głową.

– Nie. Nic nie jest w porządku – przyznała łamiącym się głosem. – Właśnie teraz... Nie spodziewałam się, że napisze coś takiego... Absolutnie się nie spodziewałam. – Do oczu znów napłynęły jej łzy. Władek otoczył ją ramieniem.

– Rozumiem, że... zerwał z tobą? – raczej stwierdził, niż zapytał. Tereskę zatkało. A więc Władek w ten sposób to zinterpretował? Chciała zaprzeczyć, lecz zbyt długo szukała słów, którymi wyjaśniłaby, dlaczego rozpacza, skoro jej ukochany wyznał jej miłość. Brat w międzyczasie inaczej wyłożył sobie jej milczenie. – Nie musisz nic mówić. – Poglaskał siostrę po policzku. – Rozumiem, że jest ci ciężko. Nie miej mu tego za złe. Jest tak daleko. Już tak długo...

Wstał, zbierając się do wyjścia.

– Muszę narąbać drewna. A ty weź się w garść, Teresko. Może tak będzie dla ciebie lepiej? Przecież wiem, że masz na oku kogoś innego. I że ty też nie jesteś mu obojętna. – Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Tereska nie zdobyła się na żadną odpowiedź. Kotłowały się w niej sprzeczne uczucia. Poczucie winy wobec Gustawa i nagle, wywołane przez jego list wspomnienie ich dawnej miłości walczyły z kiełkującą nadzieją, że może jej się przydarzyć nowa miłość. Była przecież na wyciągnięcie ręki.

Franek. Teraz mogłaby go mieć. Już wyobrażała sobie jego rozmowę z jej bratem. „A jak tam siostra? Zdrowa?” – spyta Franciszek. „Zdrowa, ale chodzi ostatnio jak bez ducha. Ten jej Gustaw napisał, że z nią zrywa”.

I wtedy Franek... Być może...

Pragnienie nowej miłości, tej, o której marzyła od tygodni, zaczęła powoli wygrywać z poczuciem żalu i winy. Jeszcze dzień czy dwa i ta rosnąca nadzieja przydusi również głos sumienia, które wypomina jej perfidne kłamstwo.

Zaraz... Jakie kłamstwo? Przecież to nie ona powiedziała, że Gustaw ją rzucił. Ani słowem o czymś takim nie wspomniała.

Środa, 23 lutego 1944

Służba w domu Hermanna, dyrektora zakładu, była o niebo przyjemniejsza od monotonnej, stresującej, z powodu wyśrubowanych norm, pracy w cegielni. *Frau* Hermann miała do pomocy służącą oraz nianię do dzieci, lecz co najmniej raz

na dwa tygodnie prosiła męża, by „pożyczył” jej Tereskę. Czasem powodem była choroba służącej, innym razem sprzątanie po remoncie czy przygotowanie przyjęcia dla gości. I choć praca w rozległym dyrektorskim domu kończyła się zwykle dopiero wieczorem, Tereska nie narzekała. U pani Elsy zawsze było ciepło i przytulnie, a pani domu, choć Niemka, odnosiła się do niej życzliwie. Dziewczyna nigdy też nie wracała do domu z pustymi rękami – zawsze otrzymywała kawałek sera, wędliny czy ćwiartkę masła.

Tym razem czekał ją stos bielizny do wyprasowania. Tereska zdziwiła się trochę, bo prasowanie należało do codziennych obowiązków siedemnastoletniej Frani, zatrudnionej u Hermannów w charakterze służącej.

– *Franzi ist krank?* – spytała Tereska, domyślając się, że Frania zachorowała.

Pani Elsa pokręciła głową. Tereska nie była pewna, czy tylko tak jej się zdawało, czy kobieta naprawdę posmutniała.

– Nie choruje, po prostu nie mogła przyjść – odpowiedziała. – Nie zadawaj pytań, tylko zabieraj się do prasowania! – dodała po chwili ostrzejszym tonem i poszła do swoich spraw.

Tereska w milczeniu wzięła się do pracy. Co to znaczy, że Frania nie mogła przyjść? Coś zdarzyło się w jej rodzinie? Ktoś umarł?

Szybko jednak zapomniała o dziewczynie, którą zdążyła już poznać podczas swych dyżurów w tym domu. Jej myśli poszybowały w kierunku wczorajszego listu od Gustawa, z którego został już tylko popiół. A potem w kierunku Franka. I znów Gustawa. I ponownie Franka.

– Oszaleję chyba! – powiedziała głośno, starannie składając wyprasowane prześcieradła. Pani Elsa była co prawda dla niej miła, ale tylko wtedy, kiedy zlecona przez nią praca została solidnie wykonana.

Kiedy skończyło się prasowanie, pani domu przydzieliła Teresce kolejne obowiązki, należące do codziennych zajęć zatrudnionej tu na stałe Frani. Wieczorem, gdy dziewczyna zbierała się do wyjścia, *Frau Hermann* zaprosiła ją na rozmowę do salonu.

– Poznałam się na tobie. Wiem, że zawsze starannie wykonujesz powierzone ci zadania. Dlatego chciałabym, abys odtąd pracowała u mnie jako pomoc domowa. Zamiast Franzi.

– Zamiast Franzi? – powtórzyła Tereska jak echo.

– Tak. Ona nie będzie już do nas przychodziła.

Tereska skinęła głową. Nie miała odwagi zapytać, dlaczego Frania, która była spokojną, miłą i pracowitą dziewczyną, straciła tę posadę.

A może jej nie straciła? Może sama z niej zrezygnowała? Nonsens! Nie mogła zrezygnować – podobnie jak Tereska, została tu skierowana przez urząd pracy.

– Z mężem załatwiłam już twoje przeniesienie, a on z kolei załatwi wszystko w Arbeitsamcie. Jutro z rana pójdziesz tylko do biura cegielni dopełnić formalności – ciągnęła żona dyrektora. Podczas całej rozmowy jej twarz była poważna. Teraz kobieta lekko się uśmiechnęła. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z tej zmiany?

– Oczywiście! – zapewniła szybko Tereska i uśmiechnęła się dużo szerzej niż jej nowa pracodawczyni.

– Wyjątkowo długo zabawiłaś dzisiaj u Hermannów. Niepokoiliam się już o ciebie. Zrobiło się zupełnie ciemno – przywitała dziewczynę matka, kiedy Tereska wreszcie dotarła do domu.

– Teraz ciągle będę wracała o tej porze – oznajmiła, zdejmując płaszcz. – Za to rano będę mogła trochę dłużej pospać.

– Tak? – Matka, wrzucająca właśnie węgiel do pieca, wyprostowała się i z zainteresowaniem przyjrzała dziewczynie. – *Frau Hermann* przez dłuższy czas będzie cię potrzebowała?

Tereska podeszła do matki i objęła ją.

– Powiedziała, że na stałe. Nawet nie wiesz, jak się cieszę!

– A co się stało z tą służącą, co u nich pracowała? – zainteresował się Władek podczas kolacji, kiedy reszta rodziny wysłuchała opowieści Tereski o jej nowej posadzie.

Dziewczyna spoważniała.

– Tego właśnie nie wiem. To jakieś dziwne. Pani Elsa powiedziała tylko, że nie będzie już u nich pracowała.

– Uważasz, że była z niej niezadowolona? – dopytywał ojciec.

Pokręciła głową.

– Wątpię. Słyszałam nawet parę razy, jak *Frau Hermann* chwaliła Franię. W tym musi być coś innego.

Najchętniej poszłaby do domu dziewczyny i sama ją o to spytała. Ale Frania nie mieszkała w Suchej, tylko w sąsiednich Olbrachcicach. Tereska nie wiedziała gdzie dokładnie.

Rozdział IV

Zetknięcie z przeszłością

– Szósteo *srpna*, znaczy szósteo sierpnia? Jak to *srpna* w ogóle się wymawia? Czy tam przypadkiem nie brakuje jakiejś samogłoski? – dopytywałam, kiedy na ogrodzeniu jednego z domów, koło wijącej się zakrętami drogi zauważyłam tabliczkę z nazwą ulicy.

Marcin się roześmiał.

– Zapewniam panią, że nie brakuje. Ale sens pani zgadła, *srpen* to faktycznie sierpień. Nietrudno zresztą się domyślić, prawda?

Skinęłam głową.

– Spróbujmy może inny miesiąc, powiedzmy *duben*? – zaproponował, uśmiechając się filuternie.

– O nie, to za trudne! – zaprotestowałam.

– Nawet pani nie spróbuje?

– Nie!

– *Duben* to kwiecień. Czesi też mają co prawda *květen*, ale to z kolei polski maj.

Westchnęłam tylko. Nie nauczę się tak szybko tego języka.

Mijając kolejne rozdroże, ponownie zwróciłam uwagę na nazwę ulicy, która ciągnęła się przez całą niemal wieś.

– Co się wydarzyło szósteo sierpnia? Ta data kojarzy mi się chyba z rocznicą Hiroszimy – wróciłam do tematu. Nie jestem co prawda pasjonatką historii, ale też nie całkowitą ignorantką.

– W 1944 roku Niemcy w sąsiednich Żywocicach rozstrzelali trzydziestu sześciu mężczyzn. To była taka tutejsza krwawa niedziela.

– Ojej! – wyrwało mi się.

– Wczesnym rankiem wyciągali ich z domów, tych, co wracali po nocnej zmianie z kopalni, zatrzymywali na drodze. Parę osób zastrzelili także tutaj, w Suchej, sądząc, że są jeszcze w Żywocicach. Także najmłodszą ofiarę, szesnastoletniego Zenona Kozusznika. Zwłoki wieziono potem wozami przez Suchą na cmentarz do Orłowej. To takie nieduże miasto leżące niedaleko stąd. Tam pogrzebali zabitych we wspólnym grobie. Moja prababcia zawsze to wspominała – kontynuował Marcin.

– A dlaczego mordowali akurat mieszkańców Żywocic? Było tam jakieś ognisko ruchu oporu?

– Dobrze pytanie – pochwalił mnie chłopak. – W całej okolicy operował oddział Armii Krajowej Józefa Kamińskiego. Jego partyzanci napadli w Żywocicach na gospodę, w której hulali gestapowcy, i kilku z nich zabili.

Dlatego zemsta nazistów spadła na tę wioskę.

– Armii Krajowej? – nie rozumiałam. – Armia Krajowa to byli przecież Polacy. Co robili na czeskich terenach?

Marcin uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Te tereny nie były tak całkiem czeskie, choć należały do Czechosłowacji. Żyło tu bardzo dużo Polaków. Zamordowani szóstego sierpnia to w zdecydowanej większości byli Polacy.

Jadąc w pogodny majowy wieczór wśród ładnie utrzymanych domów i zadbanych ogródków, w których kwitły rózaneczniki, azalie i bzy, trudno było sobie wyobrazić, że pewnej sierpniowej niedzieli konie ciągnęły tędy wozy drabiniaste załadowane trupami. Tym bardziej że tamta niedziela też podobno była pogodna i słoneczna.

– Ale historia! – Pokręciłam głową. – A swoją drogą moja teściowa też straciła swojego chłopaka, lub może nawet narzeczonego, w sierpniu 1944 roku. Jego również zabili Niemcy. Nie lubi wspominać tych rzeczy, chyba tylko raz albo najwyżej dwa słyszałam, jak powiedziała, że Niemcy „strzelali do naszych” i wtedy zginął ktoś, kogo kochała. Nigdy nie ujawniała szczegółów.

– Zginął w powstaniu warszawskim? – zainteresował się Marcin. Skojarzył, że skoro mieszkamy w centralnej Polsce, to widocznie ukochany mojej teściowej miał coś wspólnego z powstaniem.

– O nie! – zaprzeczyłam stanowczo. – Mama męża pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego. Wątpię, że znała jakiegoś warszawiaka.

– A gdzie dokładnie mieszkała w czasie wojny? Orientuję się mniej więcej w historii represji nazistowskich na Śląsku Cieszyńskim. Wie pani, druga wojna światowa to moja ulubiona epoka historyczna... A pani mąż w czym się specjalizuje? – zmienił nagle temat, przypominając sobie, że mam małżonka historyka.

– W średniowieczu – odparłam z taką dozą dezaprobaty w głosie, że Marcin się roześmiał.

– Nie podziela pani jego zainteresowań?

– W najmniejszym stopniu – przyznałam. – A wracając do teściowej: nie wiem, gdzie mieszkała w czasie wojny, wiem tylko, że po wojnie pracowała w Skoczowie. Może cały czas tam mieszkała? Albo gdzieś indziej na Śląsku Cieszyńskim? Musiałabym zapytać męża, pewnie będzie wiedział coś więcej.

– Tu też jest Śląsk Cieszyński.

– Naprawdę? – Byłam autentycznie zdziwiona. Poczułam się trochę głupio przy tym chłopaku, który był w wieku moich dzieci, a tymczasem nieustannie czegoś mnie uczył.

– Oczywiście – zapewnił skwapliwie. – Po pierwszej wojnie światowej, w 1920 roku, Śląsk Cieszyński został podzielony pomiędzy Polskę

i Czechosłowację. Ale to ten sam region. I dlatego mieszka tu tyle osób, które mówią po polsku lub przynajmniej mają polskie korzenie. Jak będzie pani kiedyś miała trochę czasu, proszę się przejść po którymś z cmentarzy w okolicy. Zobacz pani, jakie nazwiska widnieją na starszych grobach... A teraz proszę się zatrzymać. Dziękuję za podwiezienie!

Marcin wyskoczył z auta przed piętrowym domem z płaskim dachem, otynkowanym na jasnozielony kolor. Pomachał mi na pożegnanie. Zawracając samochód, kątem oka zauważyłam, że w ogrodzie wita się z kobietą mniej więcej w moim wieku – pewnie mamą. Uświadomiłam sobie, że jej zazdrosczę. Wstydziłam się tego uczucia, szybko więc upchnęłam je gdzieś na dnie świadomości, wracając w myślach do historii, którą opowiedział mi Marcin.

Rozebrałam się, by wziąć prysznic, kiedy w pokoju zaczęła wydzierać się komórka. To był Wiesław.

– Kasiu, gdzie cię zastałem? – interesował się.

– Co za pytanie?! Na pewno nie na imprezie – obruszyłam się. – Haruję jak koń od rana do wieczora. Siedzieliśmy dzisiaj z tłumaczem do późna nad reklamą, odwiozłam go więc do domu, bo musiałby długo czekać na pociąg, i dopiero co wróciłam – uniosłam się.

– A aktualnie co robisz?

– No... Teraz akurat nie haruję. Stoję nago w pokoju, bo chciałam wziąć prysznic. Na razie nie zdążyłam, bo zadzwonił telefon – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i parsknęłam śmiechem. Nie rozumiałam, dokąd zmierzają pytania mojego małżonka, w każdym razie to przesłuchanie mnie rozśmieszyło.

– To zostań tak, jak jesteś, i podejdź do drzwi. Aha, jaki jest numer twojego pokoju?

– Co?! – wykrztusiłam, nic nie rozumiejąc.

– Pytam, pod jakim numerem mieszkasz. Zaraz będę u ciebie.

– Dwieście cztery. Drugie piętro, w lewo od windy – odpowiedziałam posłusznie.

Wiesław się rozłączył. Nie byłam pewna, czy żartuje, czy naprawdę zaraz pojawi się pod moimi drzwiami. Mimo wszystko na wszelki wypadek okryłam się szlafrokiem.

Za chwilę rozległo się pukanie.

– Wiesiu, to ty? – spytałam ostrożnie.

– Oczywiście. Przecież się zapowiedziałem!

Uchyliłam drzwi. Mąż stał za nimi uśmiechnięty od ucha do ucha (kiedy po raz ostatni tak się do mnie uśmiechał?). Bez żadnego bagażu.

– Miałaś być nago – zauważył, jedną ręką zamykając drzwi, drugą

rozchylając mój szlafrok.

– Może najpierw weźmiesz prysznic? – zaproponowałam. – Ja zresztą też, bo na razie nie zdążyłam.

Po latach we dwoje zsiłszy pod prysznic, a potem wylądowaliśmy razem na moim hotelowym pojedynczym łóżku. Akurat skończyliśmy się kochać, kiedy mój telefon ponownie zadzwonił.

– Jesteś z kimś jeszcze umówiona? – spytał zadziornie mąż.

– To nasza córeczka – oznajmiłam, zerkając na wyświetlacz.

– Mamo, przepraszam, że tak długo nie dzwoniłam. Kompletnie się nie wyrabiałam. Nie gniewasz się, prawda? – szczebiotała Agata.

– Absolutnie. Ja też zresztą mogłam do ciebie zadzwonić. Ale też się nie wyrabiałam.

– I jak tam, mamusiu? Nie smutno ci? Sama jesteś?

– Nie, Agatko. Mam właśnie faceta w łóżku – oznajmiłam, siląc się na poważny ton. Wiesław zaczął szarpać mnie za rękę i pokazywać na migi, że nie wypada tak rozmawiać z córką. Czyżby zapomniał, że Agatka ma dwadzieścia jeden lat?

– Ha, ha, ha! Bardzo dowcipne! – zauważyła tymczasem ironicznie nasza córka.

– To nie dowcip, tylko szczerą prawdą. Nie wierzysz? Możesz z nim zaraz porozmawiać.

Wiesław nie wytrzymał i sam wyrwał mi komórkę z ręki.

– Agatko, mogę cię zapewnić, że nic nieprzyzwoitego nie dzieje się w pokoju hotelowym twojej mamy. To tylko twój tatuś przyjechał odwiedzić mamusię.

Usłyszałam śmiech po tamtej stronie. Mój mążonek też się śmiał. Rozczochrany, z nagim torsem wyglądał pociągająco. I nawet całkiem jeszcze młodo. Z lekkim poczuciem winy uświadomiłam sobie, że długo już nie myślałam o nim w ten sposób. Wstyd przyznać, lecz ostatnio nie wywoływał we mnie żadnych emocji, a jeżeli już, to negatywne.

Słuchałam, jak razem rozmawiają, jak Wiesław pyta Agatę o kolokwia, do których właśnie się przygotowuje, a potem, przysłuchując się ich rozmowie, wreszcie dowiedziałam się, czemu zawdzięczam jego niezapowiedzianą wizytę. Okazało się, że jechał na konferencję do Bielska, a stamtąd to już w sumie niedaleko do Ostrawy. Dlatego postanowił mi zrobić niespodziankę.

– Jeszcze dziś wieczorem wracasz do Bielska? – spytałam, kiedy skończył rozmowę.

Skinął głową.

– Chyba jednak nie wyspalibyśmy się porządnie na tym twoim wąskim łóżku. Zresztą o dziewiątej rano mam wykład.

– O czym?

Spojrzał na mnie niedowierzająco.

– Pytasz o czym?

– Tak. Pytam o czym – powtórzyłam.

– Naprawdę cię to interesuje? Takie rzeczy o Księstwie Cieszyńskim w czternastym wieku, kiedy było częścią ziem korony czeskiej.

– Marcin mówił, że Śląsk Cieszyński dopiero po pierwszej wojnie światowej został podzielony między Polskę i Czechosłowację. – W moim głosie pojawiła się wątpliwość.

Wyraz twarzy męża świadczył o tym, że nic nie rozumie.

– Jaki Marcin?

– Student historii, który jest moim tłumaczem – wyjaśniłam. – Pomylił się?

– Nie pomylił. Później region ten przeszedł pod wpływy austriackie, a Czechy straciły niepodległość. To się skończyło po pierwszej wojnie światowej, kiedy to powstały samodzielne państwa – Polska i Czechosłowacja. A więc ten twój Marcin miał rację.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem. Wiesław nie przestawał podejrzliwie mi się przyglądać.

– Skąd to nagle zainteresowanie? Oczarował cię młody student i zaraził smyką do historii? Udało mu się to, co ja bez skutku usiłowałam przez lata?

– Też coś! – obruszyłam się. – Przecież on jest w wieku Agaty!

– To nie znaczy, że nie mógł cię oczarować.

– Ojej! Zupełnie nie o to chodzi. Tylko zaczęłam się zastanawiać nad twoją mamą. Ona przecież pochodziła ze Śląska. Czy wiesz, z jakiej miejscowości?

– Oczywiście, że wiem. Ze Skoczowa.

– Skoczów zawsze był w Polsce?

– Jeśli pod „zawsze” masz na myśli okres od ustalenia granic po pierwszej wojnie światowej do wybuchu drugiej, kiedy to został wcielony do Rzeszy, a następnie czasy powojenne, to zawsze. Losy tego miasta były podobne do losów całego Księstwa Cieszyńskiego. A dlaczego pytasz o mamę?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak sobie. Po prostu zaczęłam się zastanawiać, czy w rzeczywistości nie pochodziła ona z Czech.

Wiesław pokręcił głową.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać.

Kompletnie już ubrany objął mnie na pożegnanie. Ja nadal byłam naga. Chciałam, by jeszcze został, ale wybiła dziesiąta, a Wiesław miał przed sobą półtorej godziny drogi.

Zostałam sama i po raz pierwszy od dwóch miesięcy spędzonych w Ostrawie naprawdę poczułam się samotna. Przez chwilę chodziłam tam i z powrotem po pokoju, niezdecydowana, czy włączyć telewizor, czy może raczej położyć się do łóżka. W końcu wybrałam trzecią opcję. Otworzyłam laptop i zalogowałam się do Facebooka. Długo mnie tam nie było. Najpierw bezmyślnie przejrzałam zdjęcia z wycieczki rowerowej po Bieszczadach, które dwa dni temu umieściła tam niejaka Ola Stefańczuk (nie jestem pewna, dlaczego zaakceptowałam jej zaproszenie do grona znajomych, skoro łączy nas tylko to, że nasze córki razem chodziły do liceum), po chwili, szybko przeleciawszy oczyma inne – w większości nieciekawe lub wręcz niemądre – wpisy, zatrzymałam wzrok na albumie z mało oryginalnym, a jednak obiecującym tytułem „Polak potrafi!”. Jego autorem był mój syn. Przez następnych pięć minut z coraz mniejszym zachwytem oglądałam dziesiątki zdjęć z jakiejś imprezy w irlandzkim pubie, której sens, o ile zdążyłam się zorientować, polegał na tym, że należało jak najmocniej się schlać i z jak najgłupszym grymasem zapozować przed obiektywem. Łukasz był jednym z bohaterów tej rywalizacji. Trudno powiedzieć, czy zwycięzcą został chłopak na ostatnim zdjęciu (na szczęście nie mój synalek), którego utrwalono w momencie, kiedy przed gospodą wyrzucił na chodnik zawartość swojego żołądka.

Komentarzy pod zdjęciami wolałam nie czytać. Ani polskich, ani angielskich. Zniesmaczona, chciałam od razu się wylogować, lecz w tym momencie zauważyłam, że Łukasz jest właśnie na czacie. „Dobry wieczór, syneczku! – zaczęłam pisać. – Ale super fotki dałeś na fejsa. Naprawdę, gratuluję! Jesteśmy z tatą z ciebie dumni, jak świetnie sobie radzisz w wielkim świecie!”

Myślałam, że nawet nie odpowie na taki sarkazm. Nie doceniłam swego syna.

„Kochana Mamusiu! Ja również jestem z ciebie dumny, że radzisz sobie u naszych braci Czechów. Niestety, w odróżnieniu ode mnie nie dzielisz się swoimi przeżyciami, więc mogę się tylko domyślać, że prawdopodobnie są mocniejsze od moich!”

Mimo woli uśmiechnęłam się. „Jeden zero dla ciebie. Jesteś okropny, ale i tak cię kocham” – odpowiedziałam pojednawczo.

Czekałam na jego reakcję. Minutę, dwie, dziesięć. Nie nadchodziła. Zaczęłam sprawdzać pocztę i czytać wiadomości ze świata, byle dłużej zostać on-line. W końcu skapitulowałam. Łukasz nadal był na czacie, ale do mnie już nie napisał. Wyłączyłam komputer i z ciężkim sercem położyłam się spać.

Wtorek, 29 lutego 1944

Nie minął jeszcze tydzień, a zachwyty Tereski nad nową posadą powoli

opadał. Do domu wracała o wiele później niż z cegielni. Na dworze panowały już zwykle całkowite ciemności. Przekonywała samą siebie, że nie ma się czego bać, lecz za każdym razem, gdy żegnała się ze swą chlebobawczynią obowiązkowo uprzejmym *Gute Nacht, Frau Hermann*, czuła się nieswojo. Świadomość, że będzie musiała sama pokonać w ciemności prawie trzy kilometry, powodowała, że jej serce mocniej zaczynało bić, a zmysły się wyostrzały. Rejestrowała każdy szmer i każdy majaczący w ciemności obraz. Choć po całym dniu pracy była zmęczona, szła bardzo szybko, niemal biegła.

– Zima za chwilę się skończy, dzień będzie się wydłużał. Będzie lepiej – mamrotała sama do siebie, dodając sobie odwagi.

Tym razem już po paru krokach uświadomiła sobie, że coś jest nie tak. Ktoś idzie za nią – tego była pewna. „Przystanę, by mnie wyprzedził. Wolę go mieć przed sobą” – zdecydowała szybko. Zatrzymała się i schyliła, udając, że poprawia sznurówkę.

Kroki z tyłu ucichły. Ten ktoś też się zatrzymał.

„O Boże!” – pomyślała w panice. Błyskawicznie wyprostowała się i odwróciła. Raz kozie śmierć! Lepiej spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy.

Kilka metrów dzieliło ją od wysokiego mężczyzny. W pierwszej chwili go nie rozpoznała. Postawiony kołnierz chroniący przed wiatrem i czapka wsadzona głęboko na czoło w połączeniu z panującą ciemnością zapewniały mu bycie incognito.

– Dlaczego pan mnie śledzi? – spytała, starając się z całych sił, by jej głos brzmiał energicznie i śmiało.

– Dlatego że... – zaczął intruz.

Znała ten głos. Tereska nie była pewna, czy jej serce zaczęło walić jeszcze mocniej ze strachu, czy też z powodu przecucia, że właśnie jest o krok od spełnienia swoich marzeń. Milczała, niezdolna wykrztusić słowa.

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Dlatego że nie mogę przestać myśleć o tobie. Śledziłem cię już od domu Hermanna. Najpierw od razu chciałem podejść, ale jakoś zabrakło mi odwagi...

Podszedł zupełnie blisko. Dziewczyna nie cofnęła się. Po jej twarzy popłynęły łzy ulgi. Szybko otarła je ręką.

– O Boże, Franek, tak bardzo mnie wystraszyłeś! – Pokręciła głową z wyrzutem. W rzeczywistości ogarnęło ją uczucie, że to jest chwila, na którą tak długo czekała.

– Przepraszam – wyszeptał ze skrucą, biorąc jej ręce w swoje. Dwie pary rąk w rękawiczkach splotły się nieporadnie. Potem bez słowa przytulił ją do siebie. Przez chwilę bał się, że dziewczyna mu się wyrwie, lecz ona przylgnęła do niego mocniej, niż mógł się spodziewać. – Teresko, ja... – szukał słów. – Nie wiem, od czego zacząć... Podobasz mi się, od dawna... Chciałbym być z tobą, chciałbym cię

kochać. Ale... wiedziałem, że masz narzeczonego.

Tereska tylko pokręciła głową. Franek nie był pewien, co ten gest ma oznaczać, lecz kontynuował:

– Ale teraz... Twój brat wspomniał, że... Wiesz, o czym mówię?

„Mój kochany Władek! Jednak to dobrze mieć brata!” – Tereska promieniała w duchu. Tak, nie myliła się. Właśnie teraz nadeszła jej wielka chwila.

– Powiedział ci o Gustawie – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Zażenowany, tylko skinął głową.

– Przykro mi... – wydukał.

Tereska spojrzała mu prosto w oczy.

– Wcale ci nie jest przykro, prawda? – spytała prowokacyjnie.

Przez chwilę mierzyli się uważnie wzrokiem. Potem dziewczyna się uśmiechnęła. Franek, z poczuciem ulgi, również się uśmiechnął.

– Masz rację, wcale nie jest mi przykro z powodu Gustawa. Chciałbym, byś była moją dziewczyną.

– Mnie też nie jest przykro. Już dawno chciałam się z nim rozstać. Tylko... wydawało mi się, że nie wypada, kiedy jest tak daleko... Nie z własnej woli.

– Jesteś szlachetna. Wiedziałem, że jesteś dziewczyną, o jakiej marzę – powiedział Franek pełnym ciepła tonem, muskając ją ręką po twarzy. Jego rękawiczka była chropowata, lecz Tereska nie protestowała. „Szlachetna? Oj, Franku, gdybyś znał prawdę!” – pomyślała z poczuciem winy. Pieszczoty mężczyzny, o którym marzyła od miesięcy, szybko jednak odsunęły na bok to przykre uczucie.

– Będiesz moją dziewczyną?

Zamiast odpowiedzi pocałowała go w usta. Odwzajemnił się. Długo stali i całowali się, oboje nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę się wydarzyło.

Czwartek, 6 kwietnia 1944

– Jest list od Eryka – powiedziała ożywionym głosem Anna, witając Martę wracającą z przedszkola. – Dzięki Bogu jest cały i zdrowy.

Dziewczynie serce żywiej zabiło.

– Pokaż, mammo!

Właściwie to nie był list, tylko propagandowa pocztówka niemieckiej armii. Eryk skreślił na odwrocie zaledwie kilka zdań. Dość ogólnych. Korespondencja żołnierzy była cenzurowana. Nie mogli szczegółowo opisywać swojej sytuacji.

Marta spodziewała się czegoś więcej, nie tylko kilku zdawkowych zdań i zapewnienia, że jest zdrowy. Nawet „serdeczne uściski dla całej rodziny” nie zagrzały jej przy sercu. Czuła niedosyt, tęskniła do Eryka i było jej smutno. Chciała

mieć przy sobie swojego braciszka.

– Myślałam, że coś więcej napisze. – Nie ukrywała rozczarowania.

Anna wzięła pocztówkę z jej ręki i jeszcze raz przeleciała wzrokiem tekst.

– Marteczko, najważniejsze, że żyje i że nie jest ranny – podkreśliła. Jej twarz promieniała. To był pierwszy list syna od ponad miesiąca. Kamień spadł jej z serca, kiedy przeczytała, że jest w porządku.

Marta wiedziała, że matka ma rację. Eryk od ponad pół roku był przecież na froncie. W każdej chwili mógł stracić życie.

– Będziesz na mnie czekała? – spytał Eryk. Był szósty września 1943 roku. Następnego dnia miał jechać na wojnę. Wracał z Helą, swoją dziewczyną, z wieczornego spaceru leśną aleją. Co chwila zatrzymywali się i długo całowali. Teraz doszli już na sam skraj lasu.

– Nie.

Wydawało mu się, że się przesłyszał.

– Powiedziałaś nie? – spytał z niedowierzaniem.

Helą wysunęła się z jego objęć. Nie patrzyła mu w oczy.

– Właśnie tak powiedziałam.

– Co to ma znaczyć?! – spytał zdenerwowany. – Wiesz przecież, że cię kocham!

– Chyba tak – zgodziła się niepewnie dziewczyna. – Tylko... Kto wie, jak długo będziesz na tej wojnie. Nie chcę chodzić z chłopakiem, którego tu nie ma.

To był dla niego szok. Absolutnie się tego nie spodziewał. Inaczej wyobrażał sobie ten wieczór. Przekonany był, że przyrzekną sobie dożgonną miłość, a wtedy Helą zgodzi się, by ją przypieczętowali odpowiednim aktem.

Ten „akt” może jeszcze uda się uratować. Zmienił taktykę.

– Rozumiem, Helenko. Nie musisz mi niczego obiecywać – zapewnił ją pospiesznie. Na nowo przytulił dziewczynę do siebie. Zaczął jej rozpinąć bluzkę.

– Ktoś może tędy przechodzić. – Próbowwała mu się wyślizgnąć.

– To znajdziemy sobie jakieś zaciszne miejsce. Chodź, pójdziemy bardziej w głąb lasu – powiedział przyduszonym głosem.

– Nie, nic z tego. – Wyrwała mu się na dobre i szybko zaczęła zapinać guziki. – Lepiej sobie pójdę, Eryku. Będę się za ciebie modliła, by nic złego ci się nie stało.

Może mu się tylko zdawało, a może rzeczywiście miała łzy w oczach. W każdym razie zostawiła go samego i pobiegła w stronę swojego domu. Mieszkała niedaleko.

Przez chwilę siedział na pniu i bezmyślnie przyglądał się koronom drzew, które ani drgnęły. Było bezwietrznie i ciepło, nawet za bardzo jak na wrzesień.

Pogoda w sam raz, by kochać się z dziewczyną pod gołym niebem.

„Kto wie, czy w ogóle kiedyś będę się kochał z dziewczyną. Jutro mam się meldować w Wehrmachcie, a jak będę miał pecha, to na froncie trafi mnie kula i już nigdy nie wrócę”.

Wstał i powlókł się do domu. Rodzice już z pewnością czekali. Mama będzie chciała udzielić mu tysiąc rad, ojciec z przesadnym optymizmem będzie go zapewniał, że wszystko dobrze się ułoży. Marta...

Marta będzie płakała. A on przytuli ją i powie: „Nie płacz, siostrzyczko, będę do ciebie pisał”.

„Kiedy byłem młodszy, to ona, o dwa lata ode mnie starsza, zawsze mnie pocieszała. Marta rozumie mnie lepiej niż którakolwiek inna dziewczyna. Co właściwie wie o mnie Hela, z którą spotykałem się zaledwie przez kilka tygodni? W gruncie rzeczy ma rację – dlaczego miałyby na mnie czekać?”

Przyspieszył kroku.

„Marta zna mnie na wylot. Ja ją też. Znam historię jej ojca, przez którego o mało nie umarła. Znam jej brzydką bliznę, która została jej po tamtej dramatycznej nocy. Wiem nawet to, że mój ojciec był kiedyś zakochany w jej matce. Mogła być moją rodzoną siostrą.

Ale nie jest. Jest ładną dziewczyną, która zrzędzeniem losu mieszka w tym samym domu, co ja”.

Podszedł do niej z tyłu, kiedy na podwórzu przy studni myła nogi. Widocznie właśnie wróciła z pracy w polu. On był tego dnia zwolniony z domowych obowiązków.

– Marto – powiedział cicho.

Odwróciła się i smutno się do niego uśmiechnęła.

– Byłeś się pożegnać z Helą? – spytała.

– Zerwałem z nią.

– Dlaczego? – Nie był pewien, czy mu się tylko zdawało, czy faktycznie się rozpromieniła.

– Od początku nie miałem pewności, czy to dziewczyna, na której naprawdę mi zależy. Nie chciałem jej niczego obiecywać. Szczerze mówiąc, nie chcę sobie zaprzętać nią głowy.

– Rozumiem – przytaknęła Marta. – Lepiej ci będzie, jeżeli przed wyjazdem na wojnę nie będziesz się z nikim wiązał.

Podniosła wiadro i wodą, w której umyła stopy, podlała róże.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Eryk. – Tylko... Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę zależy mi na kimś zupełnie innym.

Spojrzała na niego pytająco.

– Na kim, braciszku? – Podeszła bliżej i po siostrzanemu objęła jego szyję.

– Nie mów do mnie *braciszku*. Nie jestem twoim bratem. W nocy przyjdę ci

powiedzieć, kim jest ta dziewczyna.

Rozdział V

Kamienna matka

Przez pół soboty odrabiałam biurowe zaległości (Wiktor był ostatnio niezbyt zadowolony z tempa, w jakim rozwijała się nasza ostrawska filia), a po południu wybrałam się do galerii handlowej i kupiłam sobie dwie letnie sukienki. Kiedy w niedzielę rano obudziło mnie ostre słońce, bez skrupułów wdzierające się do pokoju przez zasłony uszyte z cienkiego materiału, wiedziałam jedno: tę ładniejszą, w trzech różnych odcieniach błękitu, na pewno dziś włożę. Tylko dokąd mam się w niej wybrać?

Pierwszym miejscem był kościół w samym centrum miasta. U nas na niedzielną mszę o atrakcyjnej godzinie dziesiątej ludzi przyszloby pełno, tu było luźno, a zdecydowaną większość obecnych stanowiły starsze osoby. Ale do tego zdążyłam się już przyzwyczać podczas moich poprzednich wizyt w ostrawskich kościołach. Na początku zaskoczyło mnie, że jest ich tak mało, potem, że tak niewiele w nich ludzi.

„Po południu wybiorę się na małą wycieczkę” – postanowiłam, wsiadając po mszy do samochodu. Byłam z siebie zadowolona. „Ojcze nasz” znałam już po czesku na pamięć. Z „Wierzę” było gorzej, ale nie wątpiłam, że to tylko kwestia czasu, kiedy również tę modlitwę opanuję w czeskiej wersji. Czytania i Ewangelia, słyszane już wiele razy w życiu, również nie stanowiły problemu, ponieważ czego nie zrozumiałam, tego się domyśliłam. Gorzej było jedynie z kazaniem. I choć uczestnictwo we mszy to coś zupełnie innego niż prowadzenie rozmów handlowych, zaczęło do mnie docierać, że coraz mniej będę potrzebowała Marcina.

Na samą myśl o tym zrobiło mi się smutno. Tak, musiałam to wreszcie przyznać: ten miły, inteligentny chłopak o głębokich oczach i ujmującym uśmiechu stał się dla mnie kimś ważnym. „Oczarował cię ten student” – powiedział niedawno Wiesław. Miał rację?

Miał, oczywiście. Zakochałam się w chłopaku, ale inaczej, nie tak, jak zwykle zakochuje się kobieta w mężczyźnie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Marcin mógłby zostać moim kochankiem. To było wręcz absurdalne. Za to bez trudu umiałam go sobie wyobrazić w roli przybranego syna lub – powiedzmy – zięcia.

– Agatko, mam dla ciebie męża – oznajmiłam entuzjastycznie, gdy zjadłszy w hotelowej restauracji pstrąga w sosie cytrynowym, zadzwoniłam do córki.

Agata nie widziała mojej rozpromienionej twarzy, za to usłyszana wiadomość spowodowała, że na dłuższą chwilę zaniemówiła.

– Mamo, nie oczekuję od ciebie, że będziesz szukała dla mnie męża za granicą. To, że chwilowo jestem sama, nie znaczy, że nie poradzę z tym sobie –

powiedziała wreszcie niepewnym głosem.

Roześmiałam się.

– Nie chcę ci nikogo wciskać, ale Marcin jest naprawdę super. Przystojny, mądry, miły, uprzejmy, nawet dla pań w moim wieku... Cieszyłabym się, gdybyście kiedyś się poznali – zachwalałam mojego kandydata.

– OK, mam, nie mam nic przeciwko temu. Może faktycznie nadarzy się okazja. Ale... À propos, rozmawiałam z Łukaszem.

– Tak? – zainteresowałam się. – Na Skypie? Czy może dzwonił do ciebie?

– Nie dzwonił. Znasz go przecież, mam. Ja do niego zadzwoniłam. Pozdrawia ciebie i tatę.

Przejrzałam w internecie propozycje wycieczek po Ostrawie i okolicy, lecz nie zdecydowałam się na żadną z nich. W zamku Śląskoostrawskim już byłam, świat w miniaturze widziałam niejednokrotnie w różnych miejscach w Polsce i za granicą, a zwiedzanie zabytków industrialnych to nie dla mnie.

Postanowiłam pojechać do Żywocic. Do miejscowości, o której opowiadał Marcin. Czy teoretycznie jest możliwe, że właśnie tam zginął mężczyzna, którego kochała mama?

„Proszę się przejść po którymś z cmentarzy w okolicy” – radził Marcin. Tak, to niezły pomysł. Zatrzymałam samochód przed małym cmentarzykiem z kapliczką, znajdującym się tuż przy głównej drodze ciągnącej się przez wioskę.

„Folwarczny Jan, żona Emilia, syn Józef, córka Wanda Stoszkowa” – przeczytałam na pierwszym nagrobku, stojącym tuż przy furtce. Nazwisko Folwarczny powtarzało się na kilku innych grobach.

Szłam dalej. Jerzy Sikora i Ewa Sikorowa, Karol Chodura i jego żona Jadwiga, Karol Mrózek i żona Helena, rodzina Szczerbowa, rodzina Nierostków, Lasków... Na własne oczy widziałam to, o czym mówił Marcin. Polskich napisów było sporo, chyba większość. Przy grobie jednej z polskich rodzin stała, pogrążona w modlitwie, starsza kobieta. Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem, przerywając na chwilę skupienie.

Kiedy wychodziłam z cmentarza, mój wzrok padł na nagrobek w drugim rzędzie, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi. Na tablicy wypisane były imiona zmarłych członków rodziny Klimoszków. U góry figurował Karol (odszedł na wieczność w 1968 roku), pod nim jego żona Helena (bez daty śmierci, z dopiskiem „Zginęła w Ravensbrück”), jeszcze niżej syn Karol („Zginął w Gross-Rosen”) oraz syn Józef („Zginął bez wieści”). Patrząc na pięknie wykonaną tablicę, bez wątplenia niedawno odnowioną, doznałam uczucia, że wojenna historia tej wioski jest czymś realnym, uchwytnym, czymś, co wszyscy tu znają. Może nawet ktoś pamięta – chociażby z opowieści przodków – mamę Wiesława? Może faktycznie

miała tu narzeczonego?

„Nonsens” – prychnęłam w duchu. No bo na jakiej, u licha, podstawie wywnioskowałam, że teściowa ma coś wspólnego z tą miejscowością? To, że spędziła młodość na Śląsku Cieszyńskim i że jej ukochany zginął – zastrzelony – w sierpniu 1944 roku, to o wiele za mało, by tak sądzić.

Naprzeciwko cmentarza, po drugiej stronie drogi, stał duży pomnik z przylegającym do niego muzeum. Jego widok zaskoczył mnie, bo podjeżdżając do cmentarza, w ogóle go nie zauważyłam – tak byłam zaabsorbowana obranym przez siebie celem. Podeszłam bliżej. Na krzyżu stojącym tuż przy dużej marmurowej płycie (czyżby to był wspólny grób ofiar? Marcin mówił, że wieźli ich do Orłowej, ale może po wojnie ich zwłoki sprowadzono do Żywocic?) przeczytałam datę: 6 VIII 1944. „To była tutejsza krwawa niedziela” – mówił chłopak. Nieco dalej wspinała się ku niebu kamienna postać matki z niemowlęciem na rękę, z zaciśniętą bezsilnie pięścią i bólem wypisanym na twarzy. U jej stóp leżał martwy mężczyzna.

– To moja mama – usłyszałam z tyłu. Drgnęłam. Za mną stała kobieta, którą spotkałam na cmentarzu.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się niepewnie. Na mojej twarzy niewątpliwie malowało się zdziwienie.

– Dzień dobry. Nie chcę się narzucać, ale pomyślałam, że szuka pani czegoś lub kogoś i że mogłabym pomóc. Z Polski pani przyjechała?

Kobieta mówiła po polsku, lecz akcent zdradzał, że jest miejscowa.

– Z Polski – przytaknęłam. – Z Piotrkowa Trybunalskiego.

No tak, zdradziła mnie tablica rejestracyjna na samochodzie.

– Szuka pani kogoś z rodziny? – ciągnęła nieznajoma.

– Niezupełnie... Chociaż... Mama mojego męża mieszkała kiedyś prawdopodobnie w tej okolicy i coś wspominała o sierpniu 1944...

– Gdzie w okolicy?

– Niestety, nie wiem dokładnie – odparłam speszona. – Właściwie wpadłam tu przypadkowo. Pracuję teraz w Ostrawie i postanowiłam odwiedzić to miejsce, opowiadał mi o nim kolega z pracy.

– Dobrze pani zrobiła – pochwaliła mnie starsza pani. – Bo w głębi Polski nikt chyba nie wie, że tutaj ludzie też ginęli za polskość. A teraz, w czasach, gdy nikomu nic już nie zagraża, Niestety coraz mniej miejscowych przyznaje się do polskich korzeni. Polskiej szkoły dawno nie ma w Żywocicach, przedszkola też nie. – Westchnęła.

Zahaczyłam wzrokiem o kamienną rzeźbę.

– Mówiła pani, że ta postać to... pani matka?

– Tak, to ją twórca pomnika, Franciszek Świder, obrał sobie na model. Dziecko na rękę to mój braciszek, miał cztery miesiące, kiedy zastrzelili ojca...

A ja – cztery lata. Pamiętam tylko, że znaleźliśmy go w lesie, niedaleko domu. Obok leżał rower, na którym wracał po nocnej zmianie na kopalni. W dętce była dziura od pocisku.

Twarz kobiety posmutniała, jej głos drżał. Ile lat minęło od tamtych wydarzeń? Dokładnie siedemdziesiąt. A jednak wspomnienia wciąż bolą. Może dlatego mama Wiesława nie chce wracać do swoich wojennych przeżyć?

– To straszne – powiedziałam powoli, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. – Teściowa też tu kogoś znała, jakiegoś młodego mężczyznę, był chyba kimś ważnym w jej życiu... – zagrałam *va banque*.

– Nie wie pani, jak się nazywał?

Pokręciłam głową. Na dużej tablicy za plecami kamiennej żywocickiej matki wykute były imiona i nazwiska zabitych. Bez dat urodzenia, bez informacji o wieku. Jak tu się zorientować, kto z tych trzydziestu sześciu mężczyzn mógł ewentualnie być ukochanym mamy?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Ale chyba był młody, bo mama miała wtedy... zaraz policzę... dwadzieścia jeden lat.

– Większość z nich to byli młodzi ludzie – stwierdziła kobieta. – A może nazwisko pani teściowej będzie mi znane?

Podaliśmy imię i nazwisko panięńskie mamy.

– Bazylicz? – Moja rozmówczyni zmarszczyła brwi. – Nie, absolutnie nie kojarzę. Nie było chyba w Żywocicach żadnych Bazyliczów, przynajmniej jak ja sięgam pamięcią. Na cmentarzu też nie ma takiej rodziny.

– Nie ma – zgodziłam się. Obeszłam przecież wszystkie groby. – Może mieszkała w którejś z sąsiednich wsi? Na przykład w Suchej? – podsunęłam jedyną znaną mi w bliskim sąsiedztwie miejscowość.

Starsza pani zgodziła się z tą ewentualnością, lecz bez większego przekonania.

– Możliwe. Ale szczerze mówiąc, wątpię. Bazylicz to w tych okolicach niespotykane nazwisko. W życiu takiego nie słyszałam.

Czwartek, 18 maja 1944

Była już piąta po południu, ale słońce mocno jeszcze grzało. Nawet za mocno jak na tę porę roku. Tereska wróciła tego dnia wcześniej ze służby u Hermannów i razem z mamą okopywała ziemniaki. Ładnie w tym roku powschodziły. Była taka piękna pogoda, wiosenna zieleń wydawała się taka syta w promieniach słońca powoli chylącego się ku zachodowi, a wszędzie panował taki spokój, że aż trudno było uwierzyć, iż ciągle trwa wojna.

I że coraz mocniej daje się we znaki.

Tereska dopiero dziś dowiedziała się, co stało się z Franią, dziewczyną, która dawniej była służącą w domu *Frau* Elsy. Zupełnie przypadkowo, od sąsiada Zenona. Specjalnie przyszedł opowiedzieć Teresce o losach Frani.

– Całą jej rodzinę z dnia na dzień zabrali do Polenlagru we Frysztacji. Dzisiaj byli u mnie koledzy z Olbrachcic. Dzielili się nowinkami i przy okazji wspomnieli o dziewczynie, którą znali ze szkoły. Szybko połapałem się, że to ta Frania, zamiast której teraz pracujesz u Hermannów – wyrzucił z siebie Zenon.

Okazało się, że Niemcy znaleźli u ojca dziewczyny ukrytą broń. Nie wiadomo, z kim utrzymywał kontakty, czy tylko przechowywał broń, czy też miał ją komuś przekazać. W każdym razie gestapowcy natychmiast go aresztowali, a w kilka dni później odwieźli do Auschwitz. Jego żonę wraz z czworgiem dzieci (Frانيا była najstarsza) umieścili w Polenlagrze – obozie dla polskich rodzin we Frysztacji.

– Jeden z moich kolegów, który był ich bliskim sąsiadem, pojechał po paru tygodniach do Frysztatu odwiedzić Franię i jej rodzinę. Miał dla nich paczkę z żywnością. Ale nie zastał Frani, odwieziono ją nie wiadomo dokąd – zakończył Zenon smutną opowieść.

Tereska i jej matka przysłuchiwały się tej historii bez słowa. Przerwały pracę, oparły się o nasady motyk. Grzejące słońce jakby na chwilę straciło swą moc. Po plecach Tereski przebiegł dreszcz.

– To straszne – wyszeptła matka, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– I nie wiadomo, co jeszcze może się wydarzyć – dodał Zenon.

Tereska mimo woli się uśmiechnęła.

– Zenek, ty przecież zawsze byłeś takim optymistą! Już nie jesteś?

– Jestem – zgodził się i odwzajemnił uśmiech sąsiadki. – Gdybym nie był, nie wierzyłbym, że wojna kiedyś się skończy, że będę mógł iść do gimnazjum, a potem na politechnikę. Chcę być przecież inżynierem i konstruować maszyny. A ty, Tereska? Co ty będziesz robiła po wojnie, kiedy *Frau* Elsa – ściszył głos – i w ogóle wszyscy Niemcy pójda do diabła?

– Wyjdę za mąż – stwierdziła dziewczyna. – Gdybyś nie domyślał się za kogo, to ci zdradzę: za Franka Podstawkę.

– Wiem. – Machnął ręką, śmiejąc się. – Przecież co chwila widzę go tu kręcącego się koło waszego domu.

Po całodniowej harówce – najpierw w domu dyrektora cegielni, potem na polu – Tereska padała z nóg. Ale do jednej czynności zmusiła się jeszcze przed snem: napisała do Gustawa.

Paradoksalnie od tamtego dnia, kiedy spaliła jego list w piecu, pisywała do Gustawa w miarę regularnie. Nie wyznawała mu miłości, nie przesadzała

z poufałością, niemniej dbała o to, by jej słowa wyrażały tęsknotę i przywiązanie. Zadbała także, by listonosz nie przynosił listów Gustawa do domu. Poinformowała urząd pocztowy na odpowiednim druku, że będzie osobiście odbierała wszelkie zaadresowane do niej przesyłki. I tak właśnie robiła. Nie sprawiało jej to kłopotu, gdyż, tak czy inaczej, regularnie chodziła na pocztę z przesyłkami swoich pracodawców. Nikt z rodziny, a tym bardziej Franek, nie mógł dowiedzieć się, że nadal prowadzi korespondencję z Gustawem.

Dlaczego postępowała w ten sposób? Co by się stało, gdyby Gustaw dostał przepustkę i przyjechał do domu? Mieszkał niedaleko, w Karwinie, pewnie więc od razu, bez zapowiedzi, przyjechałby odwiedzić Tereskę.

Wiedziała, że ryzykuje. Wiedziała, że oszukuje nie tylko Gustawa, ale także Franka, na którym tak bardzo jej zależało. Wiedziała, że przez swoje tchórzostwo może stracić jego miłość. Ale jak miała napisać Gustawowi, że już go nie kocha, że nie będzie na niego czekała? Dawniej był pewnym siebie mężczyzną, świadomym swojego wdzięku i powodzenia u kobiet, trochę nawet lekkomyślnie podchodzącym do życia. Lata spędzone w obozie pracy, z dala od bliskich i od świata, który znał i w którym dobrze się czuł, zrobiły swoje. Tereska z rosnącym niepokojem obserwowała, że jego listy są coraz bardziej nostalgiczne, coraz bardziej pokorne, coraz częściej przyznawał się, że tęskni. Czy w tej sytuacji miała prawo napisać, że już go nie kocha, że ma kogoś innego?

„Będę musiała to zrobić. Zaraz w następnym liście. Tylko muszę dokładnie to przemyśleć, trzeba postawić sprawę jasno, ale z wyczuciem” – obiecywała sobie za każdym razem, kiedy wkładała kolejny list do koperty. Nigdy nie dotrzymała swojego postanowienia.

To nie mogło trwać w nieskończoność.

Wtorek, 27 czerwca 1944

– Słyszałeś już o Vorbachu? – szepnął Ludwik, kolega Franka.

Mieli przerwę w pracy. Siedzieli we dwójkę z dala od innych i jedli drugie śniadanie.

– A kto to niby ma być? – spytał Franek również szeptem. Nie kojarzył, o co ani o kogo chodzi, lecz domyślił się, że informacja jest poufna.

Kolega przysunął się bliżej i jeszcze bardziej ściszył głos.

– Niemiec z Bukowiny. Dostał dom krawca Mrózka, którego wywieźli do Polenlagru. To nasz dalszy sąsiad.

– I co się z tym Vorbachem stało?

– Odwiedzili go partyzanci. Postrzelili go.

– Żyje? – spytał Franek tak cicho, że Ludwik raczej domyślił się pytania.

– Wczoraj zmarł.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Żeby tylko nie było jakiejś draki, Niemcy lubią się mścić. – Franek pokiwał głową. – Choć nie sędzę, by złapali tych bandytów.

– Jak ich nie złapią, to znajdą sobie kogoś innego, na kim się zemszczą. W Nawsiu w lutym za podobny napad na niemieckiego przesiedleńca powiesili pięciu Polaków, których przywieźli z więzienia w Cieszynie.

Ludwik przerwał i ponownie się rozejrzył.

– Mam w Nawsiu kuzyna. Mówił mi później, że zostawili ich na szubienicy od rana aż do popołudnia, by robotnicy wracający z porannej zmiany na hucie mieli okazję zobaczyć wisielców.

Skończyli jeść. Franek sięgnął po narzędzia.

– Chcesz przez to powiedzieć, że u nas też kogoś powieszają? I my będziemy się temu przyglądali? – spytał. Po plecach przebiegł mu dreszcz.

Ludwik wzruszył ramionami.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby tak było...

Wtorek, 18 lipca 1944

– Mówiłem... Mówiłem, że tak będzie.

Ludwik lewą rękę zaciskał na kierownicy roweru, prawą pocierał brodę. Zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany.

– To brzmi, jakbyś odczuwał satysfakcję – zauważył uszczypliwie Franek. On z kolei w nerwowym geście wicherzył sobie włosy. Najchętniej wyciągnąłby z kieszeni papierosa, ale chyba nie wypadło.

Na pewno nie wypadło. Zaraz będą tu umierali ludzie. Jeszcze ich tu nie ma, ale przecież nie bez powodu stoi ta szubienica. Bez wątpienia na kogoś czeka.

Wszyscy ci ludzie, których zatrzymali żandarmi, podobnie jak Franka i Ludwika, czekają na czyjąś śmierć. Wcale nie mają ochoty jej się przyglądać, ale nikt nie pyta ich o zdanie. Widocznie to ma być „spektakl wychowawczy”. Tak to sobie wymyślili Niemcy.

Nadjechała ciężarówka. Wysypało się z niej pięciu więźniów z eskortą. Franek dobrze widział, że mają na mundurach żółte gwiazdy Dawida. Byli wychudli. Tępo spoglądali w ziemię. Ale to nie dla nich zbudowano szubienicę. Żydzi mieli być wykonawcami wyroku. Franek zrozumiał to w momencie, kiedy nadjechała druga ciężarówka. Przywiozła kolejnych pięciu więźniów. Ręce mieli związane z tyłu. Padł rozkaz, by weszli po schodkach pod szubienicę.

„Co czuje człowiek, gdy wie, że za chwilę pozbawią go życia? Czy można w takim momencie zachować spokój? Tych pięciu nie panikuje przecież. Nie

krzyczą, nie szarpią się. Widocznie po tym, co przeżyli w obozie, wszystko jest im obojętne. Czy nam zazdroszczą, że za chwilę pójdziemy sobie do domu? Czy zazdrościliby mi, gdyby wiedzieli, że dziś wieczorem będę ze swoją dziewczyną?” – rozmyślał Franek, z trwogą przyglądając się makabrycznemu przedstawieniu.

„Głupstwo – skarcił się zaraz. – W obliczu śmierci te rzeczy nie mają znaczenia. Być może umieranie wcale nie jest takie straszne. Ksiądz w kościele ciągle przecież powtarza, że dopiero tam czeka nas prawdziwe życie. Na co dzień nie bardzo umiemy to sobie wyobrazić. Ale może właśnie tuż przed śmiercią jesteśmy w stanie to pojąć?”

Ponownie zwichrzył sobie włosy.

– Boże, bądź im miłościw. Boże, bądź mi miłościw, gdybym znalazł się w podobnej sytuacji.

– Co tam mamrociesz pod nosem? Modlisz się? – spytał cicho Ludwik.

– Są chwile, kiedy tylko modlitwa ma sens.

– Ojej, ty zawsze byłeś taki bogobojny!

Zamilkli. Jakiś gestapowiec zaczął czytać wyrok – najpierw po niemiecku, potem po polsku. Było tam coś o pomocy bandytom, ale Franek nie potrafił skupić się na tym, co słyszał. Nazwiska skazanych nic mu nie mówiły. To nie byli tutejsi. Tylko Lasota pochodził z niedalekiej Ligotki Kameralnej.

Gestapowcy kazali Żydom nasadzić skazanym pętle na szyje. Więźniowie z gwiazdą Dawida poruszali się jak automaty. Widzieli już pewnie tylu umierających, że stało się to dla nich chlebem powszednim. Wnioskując po tym, jak kościste były ich ręce i nogi, można było nawet sądzić, że śmierć mieli w oczach częściej niż w ręku chleb powszedni.

Na miejscu kaźni było cicho jak makiem zasiał. Franek miał ochotę zamknąć oczy, by nie widzieć egzekucji, lecz śmierć ma w sobie coś, co przyciąga. Nie zamknął oczu – szeroko je otworzył.

Pięciu skazanych zawisło. Za plecami Franek usłyszał stłumione jęki przejętych grozą dziewczyn, które zatrzymali policjanci, kiedy te wracały z pracy w cegielni. One też musiały się przyglądać temu makabrycznemu przedstawieniu – jak każdy, kto przechodził tędy, a nie miał volkslisty.

– Do jutra – powiedział Ludwik. Był błydy jak ściana. – Następnym razem będę jechał inną drogą, nie przez to przeklęte targowisko.

Już nie miał uszczypliwych uwag, już nie powtarzał „Mówiłem, że tak będzie”. Wsiadł na rower i nie oglądając się, ruszył przed siebie. Franek rzucił okiem w kierunku grupki dziewczyn. Jednej z nich łzy spływały po twarzy.

„Dobrze, że tu nie ma Tereski, że później wraca od Hermannów” – pomyślał.

Siedzieli na trawie w sadzie pod jabłonią, naprzeciwko siebie. Dziewczyna

obiema rękami wicherzyła mu włosy.

– To dziwne. – Uśmiechnął się. – Ja sam je sobie wicherzę w nerwowym geście. Kiedy ty to robisz, to mnie to uspokaja...

Ich twarze centymetr po centymetrze zbliżały się do siebie. Wsunął język między jej zęby. Długo się całowali.

– Czy to normalne, że całuję się z dziewczyną kilka godzin po tym, gdy widziałem, jak wieszają ludzi? – spytał cicho, kiedy chwilę później siedzieli przytuleni do siebie. On opierał się plecami o pień drzewa, ona o jego pierś.

– Masz wyrzuty sumienia? Przecież nie z własnej woli tam stałeś i przyglądałeś się. Zmusili cię. – Ponownie odwróciła się twarzą do Franka i zaczęła go na nowo całować. Opowieść o egzekucji wstrząsnęła nią, ale nie do tego stopnia, by przestała się cieszyć obecnością ukochanego. Od dnia, w którym wreszcie spełniło się jej marzenie i została dziewczyną Franka, każda minuta z nim była dla Tereski czymś wyjątkowym. Nic nie mogło być ważniejsze. „Nawet śmierć” – pomyślała.

Franek odsunął ją delikatnie i podniósł się z trawy. Otrzeptał spodnie, przytrzymał ręką gałąź jabłoni, by wydostać się spod drzewa. Przez kilka sekund przyglądał się zielonym jeszcze i twardym owocom.

– Te jabłka bywają najśłodsze. W tym roku sam się przekonasz. – Tereska się uśmiechnęła. – Ale będziesz musiał poczekać do września.

– Tak długo!? – jęknął teatralnie. – Nie doczekam do września!

Oboje się roześmiali. Tereska znów była przy nim, ręce zarzuciła mu na szyję.

– Muszę jechać – powiedział. – Obiecałem mamie, że wstąpię jeszcze do wuja Józka i odbiorę buty, które dla niej naprawiał.

– A ja muszę iść pomóc mamie obracać siano. – Dziewczyna się skrzywiła.

Wzrokiem odprowadziła Franka odjeżdżającego na rowerze i poszła do stodoły po grabie. Na podwórzu stał ojciec i pykał z fajki.

– Franek już pojechał? – spytał.

– Pojechał.

– Coraz gorsze rzeczy się dzieją. – Ojciec pokręcił głową. – Nie dość, że powiesili tych pięciu, których widocznie specjalnie tu przywieźli, to na kopalni wszyscy mówią, że po tym napadzie na Vorbacha sporo ludzi aresztowali w Suchej.

– Uważasz, tato, że nam też coś zagraża? – spytała Tereska. Słowa ojca spowodowały, że szybko wyrwała się ze stanu błogiego rozmarzenia, w który zawsze wpadała po randce z Franciszkiem.

– Nie sądzę. Nikogo przecież nie ukrywamy, nie mamy podejrzanych kontaktów. I ja, i twoi bracia jesteśmy górnikami. No i twój Franek też. Niemcy potrzebują takich ludzi. Mam nadzieję, że jakoś przetrzymamy do końca wojny –

odparł ojciec uspokajająco.

Tereska poszła z grabiami na łąkę. Mama już pracowała. Bez słowa do niej dołączyła. Praca z sianem była nawet przyjemna. Lubiła ten zapach, w dodatku przy tym zajęciu mogła spokojnie rozmyślać o Franku. Albo o Gustawie. Nie może dłużej zwlekać, musi wreszcie wyłożyć kawę na ławę. Zaraz w najbliższym liście.

Franek zrozumiał, że coś jest nie tak, już w momencie, kiedy przy furtce zeskoczył z roweru. Na podwórzu nikogo nie było, tylko kury przechadzały się tu i tam, za to z wnętrza domu, przez otwarte okna dochodził głośny szloch. I to co najmniej podwójny.

 Nie, potrójny.

 Jeżeli również Józef głośno płacze, to powód może być tylko jeden. Eryk zginął na froncie.

 Franek oparł rower o płot. Przeżegnał się.

 – Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci – zmówił modlitwę za duszę kuzyna.

Rozdział VI

Nowy trop

– Posłuchałam twojej sugestii i wczoraj wybrałam się na cmentarz. W Żywocicach – zakomunikowałam, kiedy we wtorek Marcin pojawił się w firmie. – Przekonałam się na własne oczy, że masz rację. Na nagrobkach było mnóstwo polskich nazwisk.

Uśmiechnął się. Był zadowolony, że zainteresowałam się opowiedzianą przez niego historią.

– Spotkałam też przypadkowo kobietę, która powiedziała mi, że pierwowzorem matki z pomnika była jej mama. Myślałam, że mogłaby mi pomóc w ewentualnym odszukaniu śladów narzeczonego mojej teściowej. Jeżeli faktycznie istnieje prawdopodobieństwo, że mama miała coś wspólnego z Żywocicami – ciągnęłam.

– Tak? – Marcin zamienił się w słuch. Mechanicznie mieszał bez przerwy herbatę, choć mała kostka cukru, którą wrzucił do filiżanki, dawno się rozpuściła. – I co było dalej?

Wzruszyłam ramionami.

– Nic. A właściwie zdobyłam stosunkowo cenną informację. Bazylicz, nazwisko panięńskie teściowej, podobno w ogóle nie występowało w tej okolicy.

– Tak powiedziała ta pani?

– Tak powiedziała – przytaknęłam.

Chłopak wreszcie odłożył łyżeczkę.

– Zdaje sobie pani sprawę, że z tego nic nie wynika? Mogła się mylić. Kto powiedział, że musi mieć rację?

– Nie musi, pewnie, że nie – zgodziłam się. – Ale powiedzmy sobie szczerze: to byłby chyba zbyt duży przypadek, gdybym od razu trafiła na miejsce związane z młodością mamy. Śląsk Cieszyński jest stosunkowo duży, nie?

– Nie aż tak bardzo. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, wspominała pani, że teściowa mówiła o sierpniu 1944 i o strzelaniu. Zgadza się?

– Zgadza.

– Na pewno to był sierpień?

– Jestem przekonana, że tak.

Marcin podniósł filiżankę do ust, ale zaraz odstawił ją z powrotem, bo herbata była jeszcze zbyt gorąca.

– Niech pani spróbuje przypomnieć sobie wszystko, co teściowa mówiła na ten temat – zażądał rzeczowym tonem policjanta przesłuchującego świadka zbrodni.

Uśmiechnęłam się pod wpływem tego skojarzenia i spróbowałam się skupić.

Ale niczego więcej nie udało mi się wyłowić z pamięci.

– Myślę, że nigdy nie słyszałam od mamy żadnych dalszych szczegółów.

– A o strzelaniu na pewno była mowa? Nie na przykład o szubienicy? – upewnił się Marcin.

– Nie, na pewno o strzelaniu.

– Pamięta pani, jak dokładnie staruszka opisała to wydarzenie?

Zmarszczyłam czoło, usiłując jeszcze bardziej się skupić. Ale nie przypomniałam sobie niczego ponad to, o czym powiedziałam już Marcinowi.

– Mówiła o rozstrzelanych. Nic więcej. A przynajmniej niczego więcej nie pamiętam.

Chłopak uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To zdanie musi oznaczać, że zginął nie tylko jej narzeczony... kochanek... czy kimkolwiek on był dla niej. Ofiar było więcej. I dlatego uważam za bardzo prawdopodobne, że chodziło właśnie o Żywocice. W sierpniu 1944 roku nie było na Śląsku Cieszyńskim innych podobnych wydarzeń. Owszem, doszło później do podobnej tragedii w Ustroniu. Niemcy rozstrzelali tam trzydzieści cztery osoby. Ale to było w listopadzie. W czasie całego 1944 roku odbywały się ponadto masowe egzekucje w różnych miejscowościach, ale wtedy skazanych nie rozstrzeliwano, tylko wieszano.

– Uważasz, że jedynym miejscem, gdzie w sierpniu tamtego roku zastrzelono więcej osób, były Żywocice? – Jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

– Może nie jedynym – zgodził się Marcin. – Były mniejsze incydenty. Ale najbardziej mi ta historia pasuje do Żywocic.

Byłam pod wrażeniem. Ten młody chłopak tak dobrze zna te wszystkie szczegóły? No tak – zreflektowałam się – mówił przecież, że druga wojna światowa to jego ulubiony rozdział historii...

– Coś pani przyniosłem. – Wstał i wyciągnął rękę po plecak, który przedtem rzucił w kąt. Wydobył z niego książkę. – *Na příkaz gestapa* – przeczytał czeski tytuł. – Rozumie pani znaczenie?

– Z rozkazu gestapo? – próbowałam się domyślić.

– Znakomicie – pochwalił mnie. – Autorem jest profesor Borák. To historyk, który bardzo dokładnie opisał historię ruchu oporu oraz zbrodnie hitlerowskie na Śląsku Cieszyńskim. Czytałem to już kiedyś, a teraz ponownie pożyczyłem w bibliotece i wróciłem do interesujących mnie rozdziałów. Z powodu pani – podkreślił i wbił we mnie te swoje czarne oczy, które z pewnością u niejednej dziewczyny powodowały przyspieszone bicie serca.

– Dziękuję, Marcin, ale... Obarczam cię wieloma obowiązkami. Nie mogę żądać, byś jeszcze w wolnym czasie pomagał mi w rozwiązywaniu rodzinnej zagadki. Byłoby mi przykro, gdybyś przeze mnie zaniedbywał studia – zaczęłam go przekonywać.

– Mnie samego to interesuje! To dla mnie pierwsza okazja, by w praktyce przekonać się, jak znajomość historii może przydać się w życiu – zapewnił mnie gorąco. – Poza tym – dodał po chwili, nie patrząc na mnie – mam teraz wolne wieczory. Odpadły randki, bo moja dziewczyna mnie rzuciła.

„Ciebie? Takiego wspaniałego i zabójczo przystojnego chłopaka?” Na głos tego, oczywiście, nie powiedziałam. Milczałam, popijając herbatę.

Marcin, choć o nic go nie pytałam, ciągnął dalej:

– Podobno jestem nudny. No cóż, pewnie miała rację. Nie podzielałem jej infantylnych upodobań, byłem przeciwny zamieszczaniu na Facebooku zdjęć z każdej naszej wycieczki i z każdego spacerku, a to jej zdaniem świadczyło o tym, że wstydzilem się naszego związku. Głupie, prawda?

Kiwnęłam tylko głową, bo w gruncie rzeczy nie miałam wyrobionego zdania na ten temat. W czasach, kiedy spotykałam się z Wiesławem, tego typu dylematów nie było. W dodatku przypomniały mi się zdjęcia, które prezentuje w sieci mój synalek.

Przez następne półtorej godziny pracowaliśmy nad projektem kampanii reklamowej. Kiedy skończyliśmy, Marcin zapytał ostrożnie:

– Pani Kasiu, czy jest szansa, że jeszcze przez jakiś czas będę mógł tutaj pracować? Kasa zawsze się przyda, a poza tym dla mnie to świetna praktyka.

Mówił o tym, o czym ja myślałam od dłuższego czasu. Tłumaczeń było coraz mniej, ale nie chciałam, by Marcin musiał odejść.

– Napisałam do szefa, sugerując mu, że jesteś niezłym marketingowcem i dlatego chciałabym współpracować z tobą nie tylko w zakresie tłumaczeń. Czekam na jego stanowisko – odpowiedziałam.

– Dziękuję pani. – Jego ton zdradzał, że przyjemnie go zaskoczyłam.

– Na razie nie ma za co. Aha, i mam prośbę. Mów do mnie także po imieniu. Teraz, kiedy nasza współpraca się zacieśnia, tak będzie prościej.

Przez chwilę obawiałam się, czy nie odmówi, z uzasadnieniem, że ze względu na różnicę wieku mu nie wypada, lecz Marcin z zadowoleniem przyjął moją propozycję. Pocałowaliśmy się w usta, pieczętując brudersaft.

Wieczorem otrzymałam mail od Wiktora. „Zgadza się” – napisał krótko. Odetchnęłam z ulgą. Od razu sięgnęłam po komórkę, by na gorąco przekazać Marciniowi pomyślną wiadomość. Na chwilę zawahałam się, ustaliwszy, że dochodzi dziesiąta. Ale potem przypominałam sobie słowa chłopaka „Teraz mam wolne wieczory” i wybrałam jego numer.

– Stało się coś? – zapytał zdziwiony, że dzwonię o tej porze.

– Szef się zgadza, byś pracował dla nas w marketingu.

– Super! Cieszę się i jeszcze raz dziękuję. Aha, ja też mam dla pani... dla

ciebie niezłą nowinkę.

– Mianowicie?

– Przypomniałem sobie, że moja ciocia, która pracuje w regionalnej gazecie „Głos Naszej Ziemi” – to takie wydawnictwo dla Polaków w Czechach – interesuje się tematem Żywocic. Skontaktowałem się z nią i wiesz, co się okazało? Jakieś piętnaście lat temu pisała o dziewczynach, którym w sierpniu 1944 roku Niemcy zabili narzeczonych. Obiecała, że odszuka w archiwum ten artykuł i skontaktuje się z tobą.

Chciałam zaprotestować, kategorycznie zabronić Marcinowi rozmawiania z obcymi o mojej rodzinie, ale nie zrobiłam tego. Sprawa zaczęła mnie coraz bardziej wciągać.

Krystyna Bielan zadzwoniła do mnie następnego dnia. Nie miałam akurat czasu z nią rozmawiać, bo w moim biurze siedział dyrektor dużej ostrawskiej firmy handlującej wykładzinami. Wiele sobie obiecywałam po tym spotkaniu. Wiedziałam, że po prostu muszę ubić interes z tym facetem. Spółka Tepp miała w regionie, a także poza nim, kilka dużych sklepów – i to w strategicznych miejscach, w dużych galeriach handlowych. Powiedziałam więc dziennikarce, że oddzwonię wieczorem.

Po spotkaniu z przedsiębiorcą zupełnie o niej zapomniałam, zresztą siedziałam w biurze do późna, odrabiając papierkowe zaległości. Kiedy wreszcie dotarłam do hotelu, zamiast do ciotki Marcina zadzwoniłam do Wiktora.

– Stało się coś? – przywitał mnie niezbyt uprzejmie. W tle słyszałam jakieś rozmowy i chichoty. Wyglądało na to, że szef jest na przyjęciu. Rzuciłam okiem na zegarek – cholera, nie zauważyłam, że to już dziewiąta!

– Przeszkadzam, prawda? – domyśliłam się. – Ale to bardzo ważne! Po prostu muszę od razu się pochwalić. Właśnie podpisałam umowę ze strategicznym odbiorcą. Wreszcie ruszymy z miejsca!

– Dawno nie słyszałem w twoim głosie takiego entuzjazmu – zauważył Wiktor. Wiadomość, którą właśnie mu przekazałam, zaintrygowała go. – Czekaj, opowiesz mi szczegóły, tylko wyjdę gdzieś na korytarz, bo tu się nie da rozmawiać – stwierdził, a wrzawa w tle, jakby na potwierdzenie jego słów, jeszcze się spotęgowała.

Kiedy znalazł się już we w miarę spokojnym miejscu, opowiedziałam mu o spotkaniu z dyrektorem Halasem, podkreślając, że zainteresował go nie tylko nasz asortyment, ale też pieczołowicie przygotowane po czesku materiały promocyjne. Na tę ostatnią informację położyłam szczególny nacisk, by uświadomić szefowi, że wynagrodzenie, które płacimy Marcinowi, to z całą pewnością nie są pieniądze wyrzucone w błoto.

– A więc wszystko wskazuje na to, że nasz biznes w Czechach wreszcie się rozkręci? – upewnił się Wiktor. – Bo, szczerze mówiąc, wczoraj wahałem się, czy wyrazić zgodę na dalszą współpracę z tym Wojtasem...

– Wierzę, że się rozkręci. Emil Halas sprawiał solidne wrażenie, mam nadzieję, że nie będzie gołosłowny i że jego firma faktycznie będzie kupowała od nas takie ilości towarów, o jakich mówił. Nasze rabaty uzależnione od wielkości zamówień określił jako bardzo interesujące.

– Znasz ich wyniki finansowe? Jak ta firma radzi sobie na rynku? – wypytywał szef.

Mogłam być z siebie dumna, bo miałam pod ręką gotową odpowiedź.

– Sam z własnej woli przedstawił mi sprawozdania za ostatnie trzy lata. Podkreślał, że ma czym się pochwalić. Oni handlują naprawdę na wielką skalę. Wszystkie dane wyślę ci mailem, włącznie z kopią umowy.

– Cieszę się, Kasiu. Tym bardziej że... – Szef nie dokończył zdania. – Nieważne. Fajnie, że zadzwoniłaś. Będę czekał na szczegóły. No to na razie. Do jutra.

Domyślałam się, co chciał powiedzieć przez to niedokończone zdanie „Tym bardziej że...”. Ostatnio zaczynał wątpić, czy filia w Ostrawie to był dobry pomysł. Nie mówił tego wprost, ale czytałam te wątpliwości między wierszami w jego mailach i słyszałam w tonie jego głosu, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Całe szczęście, że udało mi się umówić z dyrektorem Teppu i że to spotkanie zakończyło się sukcesem.

Rozmowa z Halasem była zresztą bardzo przyjemna – nie tylko dlatego, że był przystojnym, elegancko ubranym i sympatycznym trzydziestopięcioletkiem. Myślałam, że będę musiała skorzystać z pomocy Marcina albo przynajmniej Andrei, ale okazało się, że facet mówi po polsku. Jego matka jest Polką, a on chodził do polskiej szkoły w oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów Czeskim Cieszynie.

– Nie wiem, czy pani słyszała, że na Zaolziu działają polskie szkoły. Ludzie z Polski na ogół nie mają o tym pojęcia – zauważył, kiedy spotkaliśmy się w moim biurze i rozpoczęliśmy negocjacje od towarzyskiej konwersacji. Zapewniłam gościa, że dzięki swojemu tłumaczowi jestem zorientowana w realiach regionu.

Tego wieczora rozsadzała mnie euforia. Miałam ochotę gdzieś pójść, z kimś się spotkać, wypić lampkę wina... Ale z kim? Byłam sama w obcym mieście, gdzie z innymi osobami łączyły mnie tylko służbowe stosunki. No... z wyjątkiem Marcina. Z nim łączyły mnie wspólne poszukiwania przeszłości mojej teściowej. Czy można to nazwać osobistymi relacjami?

„No właśnie, Marcin! Miałam dzwonić do jego ciotki!” – uświadomiłam

sobie nagle. Sięgnęłam ponownie po telefon, ale zaraz go odłożyłam. Byłam na tyle przejęta sprawami firmowymi, że szperanie w historii sprzed kilkudziesięciu lat wydawało mi się w tej chwili sprawą z innego świata. Czymś, z czym najlepiej byłoby dać sobie spokój.

Tymczasem dziennikarka nie zapomniała o mnie. Zadzwoiła przed dziesiątą.

– Przepraszam, że niepokoję panią o tej porze. Ale skoro pani nie dzwoniła... Gdyby to pani odpowiadało, mogłabym jutro przyjechać do Ostrawy – próbowała od razu się umówić.

– Myślałam, że to ja będę musiała przyjechać do waszej redakcji – odparłam zaskoczona. – Nie chcę pani fatygować...

– Och, to dla mnie żadna fatyga – zapewniła mnie rozmówczyni. – Tak czy inaczej, jeżdżę w teren. Niech pani tylko poda godzinę.

Spotkałyśmy się nazajutrz w moim biurze. Umówiłam się z Krystyną Bielan na godzinę siedemnastą, lecz w końcu musiała dwadzieścia minut czekać, ponieważ omawialiśmy z Wiktorem na Skypie szczegóły podpisanej poprzedniego dnia umowy. Czułam się głupio wobec dziennikarki, lecz ona nie pozwoliła się przeproszać.

– Rozumiem, że ma pani wiele spraw na głowie... A swoją drogą to naprawdę fascynujące, co Marcin o pani opowiadał. Takie isticie detektywistyczne poszukiwania po latach! Będzie mi bardzo miło, jeżeli będę w stanie w jakiś sposób pani pomóc – zapewniała mnie, przez cały czas szeroko się uśmiechając. Była pulchną kobietą o szerokim karku, okrągłej twarzy i gęstych, lśniących kasztanowych włosach spływających na ramiona. O ile jej sylwetka niekoniecznie zasługiwała na podziw, o tyle włosy każdego musiały zachwycić.

– Pani siostrzeniec wspominał, że jakiś czas temu pisała pani reportaż o narzeczonych mężczyzn, których rozstrzelano w Żywocicach. Chyba powiedział pani, że to właśnie ten tekst mógłby być dla mnie skarbnicą pożytecznych informacji...

– Oczywiście. – Kobieta sięgnęła do torebki i położyła przede mną kopię artykułu, który zajmował całą kolumnę w gazecie. „Byli młodzi i zakochani” – zachęcał tytuł do czytania. U góry widniała data: 6 sierpnia 1999 roku.

– To już piętnaście lat – zauważyłam.

– Tak. – Dziennikarka skinęła głową. – Pisałam to z okazji pięćdziesiątej piątej rocznicy żywocickiej tragedii. Wtedy, przed kilkunastu laty, jeszcze łatwiej można było dotrzeć do świadków tych wydarzeń. Ci, którzy w 1944 roku mieli dwadzieścia lat, w 1999 byli siedemdziesięciopięciolatkami. Teraz, o ile żyją, mają około dziewięćdziesiątki... Pani teściowa żyje?

– Tak, niedawno obchodziła dziewięćdziesiąte pierwsze urodziny. Jest jeszcze w stosunkowo dobrej formie jak na swój wiek.

Kobieta przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– To ona prosiła panią o odszukanie śladów jej ukochanego?

Zmieszana pokręciłam głową.

– Nie... Nie ona... Ta sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Mama męża nigdy nie zdradzała żadnych szczegółów na temat swej młodości. I to jest właśnie intrygujące. A ja mam powody, by sądzić, że to ma związek z Żywocicami.

– Niesamowite – wyszeptała Krystyna, a jej oczy płonęły. Zaraz miałam się dowiedzieć dlaczego. – Pani Katarzyno, to jest niezwykle interesująca historia! Zgodzi się pani, by ją opisać w gazecie? – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– W gazecie? – spytałam zaskoczona. O czymś takim w ogóle nie pomyślałam.

Kobieta wpatrywała się we mnie wyczekująco. No tak, mogłam się tego domyślić. Zapaliła się do sprawy, nie było jej trudno od razu do mnie przyjechać, bo weszła temat. Po raz pierwszy poczułam niechęć do Marcina. Po co mi podsunął tę swoją ciotkę?

– Nie, to nie wchodzi w rachubę – zaprzeczyłam stanowczo. – To prywatna, rodzinna sprawa...

– Artykuł mógłby pani pomóc. Jesteśmy małą, regionalną gazetą, ale bądź co bądź tę historię przeczyta kilka tysięcy osób. I może znajdzie się wśród nich ktoś, niekoniecznie z Żywocic, kto dostarczy pani cennych informacji. Zdarzały się już podobne przypadki, gdy opisywaliśmy inne historie wojenne.

Jej argumenty brzmiały logicznie, lecz nie mogłam się na to zgodzić. O Boże, gdyby teściowa dowiedziała się, że snuję jakieś domysły na jej temat i jeszcze je na dodatek publikuję w prasie...! Albo, co gorsza, gdyby dowiedział się o tym Wiesław!

Podzieliłam się z redaktorką swoimi wątpliwościami. Odpowiedziała, że „Głos Naszej Ziemi” nie dociera przecież do Piotrkowa, sprzedaje się praktycznie tylko na Zaolziu, ewentualnie prenumerują go niektóre osoby i instytucje w polskiej części Śląska.

– No właśnie! – podchwyciłam. – Mąż jest naukowcem i jeździ na Śląsk na różne sympozja i konferencje. Niedawno był na przykład w Bielsku. A nuż przypadek sprawi, że ktoś podsunie mu tę gazetę?

W końcu, acz niechętnie, przyznała mi rację. I obiecała, że spróbuje mi pomóc, nawet jeśli nie zgodzę się na artykuł (myślę, że w głębi duszy liczyła na to, że jeżeli nie od razu, to później mnie do tego przekona).

Pochyliłyśmy się nad kopią reportażu sprzed piętnastu lat.

Wtorek, 1 sierpnia 1944

Siedziała na ławce pod gruszą i przeglądała gazetę. Nie tyle przeglądała, co wpatrywała się w poszczególne litery. „Powycinam je, nakleję na papier i wyślę anonimowy donos. A potem niech się dzieje wola Boża...”

Bryk spał skulony przy jej nogach, koło jej głowy krążyła natrętna osa. Nie próbowała jej przepędzić. „Jest tak spokojnie, jakby wszyscy już umarli, nie tylko Eryk” – pomyślała. Ojciec pracował w swoim warsztacie, matka poszła do sklepu. Marcie poleciła, by obrała ziemniaki na kolację.

Zamiast tego trzymała w ręku gazetę. Czowała w sobie dziwny chłód, jakby połknęła bryłę lodu. A przecież była pełnia lata.

„Mój wewnętrzny termometr pokazuje mróz. Wszystko jest we mnie zamrożone. Eryka zabili, spełniło się to, czego od początku tak bardzo się bałam. On, jedyny chłopak, który wiedział o mnie wszystko, który rozbierając mnie po raz pierwszy – i ostatni – po ciemku, wiedział, gdzie pod nocną koszulą natrafi na bliznę. Celowo jej dotykał. Mówił, że jestem jedyną dziewczyną, na której naprawdę mu zależy”.

Całowali się bez opamiętania. Zaskoczyło ją, jak błyskawicznie przestała go traktować jak brata i dostrzegła w nim kochanka. Przez pół godziny trochę nieporadnie się szamotali. Nie musiała go pytać, od razu wiedziała, że nie tylko on jest jej pierwszym mężczyzną, ale również ona jego pierwszą kobietą. Kiedy po cichu wymknął się z jej pokoju, przez dwie godziny nie mogła zasnąć. Kręciło jej się w głowie.

Wczesnym rankiem mama zastała ją na dworze płuczącą w balii prześcieradło.

– Dostałam trochę niespodziewanie okres – wymamrotała Marta, nie podnosząc głowy.

Matka nic na to nie powiedziała.

To było tego dnia, kiedy Eryk odjeżdżał na wojnę.

Marta rzuciła gazetę na ławkę. Musiała wreszcie pójść do piwnicy po ziemniaki. W tym momencie zaskrzypiała furтка. Franek oparł rower o parkan.

– Witaj, Martusiu. – Uśmiechnął się trochę kurczowo i badawczo jej się przyjrzał. – Zastałem rodziców?

– Mama poszła po sprawunki, a ojciec jest w warsztacie. Polecił, by mu nie przeszkadzać, bo ma pilne zamówienie. Przez ostatnie dni... zaniedbywał pracę. – Głos jej się załamał.

Franek podszedł bliżej i objął ją. Zamknęła oczy. Przez chwilę poddała się złudzeniu, że to Eryk. Gdy je otworzyła i spojrzała mu w twarz, serce zabiło jej

mocniej. „Dlaczego nigdy nie zauważyłam, że jest taki podobny do Eryka? Wygląda jak jego starszy brat”.

– Byłeś dziś u Tereski? – spytała.

– Nie, jeszcze nie wróciła z pracy. Ale wpadnę do niej wieczorem. – Rozjaśnił się. Nie musiała pytać, czy kocha tę dziewczynę spoza lasu. Chłód w jej wnętrzu stał się jeszcze bardziej lodowaty. Nie mogła znieść myśli, że jej kuzyn jest szczęśliwie zakochany, podczas gdy ona została sama.

– Usiądziesz? – spytała. – Muszę obrać ziemniaki na kolację.

Rozmowa się nie kleiła. Częściej kolejny ziemniak plusnął w wodę, niż padło jakieś zdanie. Józef wyszedł na chwilę z warsztatu, zamienił z Frankiem kilka zdawkowych słów, po czym powiedział, że ma jeszcze dużo pracy, i znów się oddalił. W międzyczasie Anna wróciła ze sklepu. Postawiła na stole na ganku siatkę z chlebem. Na jej twarzy malowało się zdenerwowanie.

– Spotkałam w piekarni Helę, tę dziewczynę, z którą Eryk spotykał się przez jakiś czas – powiedziała drżącym głosem.

Marta milczała.

– Wiedziała, że Eryk nie żyje – dodała matka.

Franek poczuł się nieswojo.

– Może wołałybyście, gdybym sobie poszedł? – zapytał. Żadna z kobiet nie odpowiedziała.

Kiedy oddalał się od stołu, usłyszał:

– Wyobraź sobie, Marto, co mi ta Hela powiedziała: „Przykro mi bardzo, że Eryk nie żyje. Bałam się, że tak może się skończyć. Dlatego nie obiecywałam mu, że na niego poczekam”.

Franek wsiadł na rower i odjechał. Głupio było podsłuchiwać. Anna usiadła na ławce i objęła Martę ramieniem.

– Dziwne... Pytałam Eryka tamtego ranka, czy Hela przyjdzie się z nim pożegnać. Powiedział, że z nią zerwał. Okazuje się, że to ona z nim zerwała... Musiało mu być ciężko...

Marta spojrzała ukradkiem na matkę. Po jej policzkach płynęły łzy. Dziewczyna też chciała się rozplakać, ale nie potrafiła. „Ten dziwny lód zamroził mi łzy. I serce. Tak bardzo ich wszystkich kochałam. Dlaczego to się zmieniło?”

Marta zdjęła matczyną rękę ze swoich pleców. Wzięła garnek i poszła do kuchni.

Wieczorem, kiedy w milczeniu jedli placki ziemniaczane, dziewczyna nagle spytała:

– Mamo, czy pamiętasz ten ranek, kiedy Eryk odjeżdżał na wojnę?

– Oczywiście – odpowiedziała Anna zaskoczona pytaniem.

– Prałam wtedy prześcieradło w balii...

– Możliwe, już nie pamiętam.

– To nie dlatego, że dostałam okres...

Ani Józef, ani Anna nic na to nie powiedzieli. Marta nie była pewna, czy przynajmniej matka zrozumiała jej aluzję.

Józef był przerażony. Nawet nie tym, co przybrana córka powiedziała między wierszami, a czego zresztą od dłuższego czasu się domyślał, lecz faktem, że ta zwykle nieśmiała, wstydliva dziewczyna mówi przy nim o takich rzeczach.

To oznacza, że śmierć Eryka ją zmieniła.

Przypomniał sobie tę noc, kiedy Marta była świadkiem odwiedzin partyzanta. Jak echo wróciły myśli, które wtedy nie dały mu spać: „Nie powie nikomu, za bardzo nas kocha. Kocha wszystkich, którzy jej nie wyzywają i nie rzucają w nią butelkami. Jednak gdyby ktoś rzucił, już by tego nie zniosła. Co by wtedy zrobiła?”.

Marta kończyła jeść. Nie patrzyła na rodziców.

Nie powiedzieli ani słowa, zignorowali jej wyznanie. Ich syn już nie żyje, widocznie jest im obojętne, co przeżywa przybrana córka.

Każdemu jest to obojętne. Wzrokiem poszukała gazety, leżącej teraz na komodzie. Podjęła decyzję, że nazajutrz, gdy tylko nadarzy się okazja, zacznie wycinać litery.

Wieczorem nie mogła zasnąć. Przed północą przypomniała sobie dzisiejszą wizytę Franka. Zawsze był jej ulubionym starszym kuzynem, był dla niej miły, wymyślał dla niej i Eryka zabawy. „Podejmę jeszcze jedną próbę” – postanowiła.

Środa, 2 sierpnia 1944

Franek zaniepokoił się, gdy przed bramą kopalni zobaczył Martę. Stała oparta o rower i szukała go wzrokiem wśród tłumu opuszczających zakład górników. On pierwszy ją zauważył.

– Marto, co się stało?! – Podbiegł do dziewczyny.

– Dlaczego miało się coś stać? – spytała cicho.

– Przecież nie bez powodu przyjechałaś!

Spojrzała mu w oczy.

– W zasadzie nic się nie stało. Na razie. Ale... – Poczowała się niezręcznie.

Zauważyła, że nieopodal stoją jacyś mężczyźni i przyglądają się im. – Kim oni są?

– Skierowała wzrok w ich stronę.

Franek się odwrócił.

– To bracia Tereski. Powiem im, że nie pojedę dziś z nimi.

Przez chwilę czuła triumf. Słyszała, jak Franek mówi swym przyszłym szwagrom, że musi załatwić „jakieś sprawy” u krewnych.

Odebrał swój rower z przechowalni i pojechali w stronę niedalekiego

zagajnika. Ciągłe nie rozumiał, o co chodzi, dlaczego Marta nalega, by porozmawiać gdzieś w spokojnym miejscu w cztery oczy.

– Coś ci pokażę – oznajmiła dziewczyna, kiedy oparli rowery o drzewa. Bez słowa zakasała sukienkę. Zobaczył bliznę na jej brzuchu. Na twarzy mężczyzny mimo woli pojawił się wyraz obrzydzenia.

– Dlaczego teraz mi to pokazujesz? – spytał zażenowany. – Wiem od dawna, że masz bliznę po pożarze...

– Ale nigdy jej nie widziałeś.

– Nie widziałem.

– Byłbyś w stanie dotknąć tej blizny? Dotknąć mojego ciała? – Wzięła jego rękę i przycisnęła ją do swojego brzucha, a potem zaczęła przesuwając wyżej, ku piersiom.

Wyrwał dłoń z jej uścisku.

– Marto, o co tu chodzi?!

– Brzydzisz się mną, prawda? Każdy mężczyzna będzie się mną brzydził.

– Co ty wygadujesz?! – W nerwowym geście zwichrzył sobie włosy. Wyglądał przy tym tak pociągająco, że Marcie mocniej zabiło serce. – Dla tego, kto będzie cię kochał, ta blizna nie będzie miała znaczenia – zapewnił dziewczynę.

Pokręciła głową i ciężko usiadła na pniu.

– Józef za późno zabrał mnie od mojego rzeczywistego ojca. Nie musiałam przeżywać tego pożaru, nie musiałam cierpieć, nie musiałam mieć tych ohydnych poparzeń... Dlaczego wcześniej nic nie zrobił? – wybuchnęła.

– Marto, jesteś niesprawiedliwa. Wuj w gruncie rzeczy wcale nie miał obowiązku opiekować się tobą. A jednak to zrobił. Nie mógł wcześniej, bo z twoim ojcem nie można było się dogadać.

– Gdyby bardziej się starał, na pewno by sobie poradził – nie ustępowała. – Tylko że on... Nie chce z nikim zadzierać. Dlatego też podpisał volkslistę. To w jego stylu.

Franek usiadł na trawie naprzeciwko dziewczyny.

– Marto, rozumiem, że cierpisz z powodu śmierci Eryka. Dla mnie to też cios, nie myśl, że jest mi to obojętne. Ale nie możesz pozwolić na to, by ten ból przesłonił ci wszystko. Nie obwiniaj ojca o śmierć brata. Chciał dobrze dla rodziny, a tym samym również dla ciebie.

Przez chwilę milczeli.

– Nim Eryk odjechał, kochaliśmy się. Tej ostatniej nocy. – Marta powiedziała to tak cicho, że Franek nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Powiedziałaś, że...? Nie mogę w to uwierzyć.

Dziewczyna zadziornie spojrzała na kuzyna.

– Wiem, wiem... Znam twoje zasady, wiem, że jesteś bardzo bogobojny i nie tknąłbyś dziewczyny przed ślubem. Ale Eryk odjeżdżał na front, rozumiesz!? To

wyjatkowa sytuacja!

– Marto, byliście przecież rodzeństwem...

W oczach dziewczyny pojawiły się gniewne błyski.

– Nie byliśmy, czyżbyś nie pamiętał?! Nie jestem córką szanowanego we wsi szewca, ale pijaka, który podpalił własny dom, a zaraz potem się powiesił!

Płakała. Tak głośno, że choć byli na odludziu, Franek zaczął się obawiać, że ktoś ich usłyszy. Przytulił ją, zaczął głaskać po włosach. Jej łzy wsiąkały w jego koszulę.

– Marto, wiem, że miałaś okropne dzieciństwo. Ale teraz masz dom, ojca i matkę, którzy bardzo cię kochają. To nie wuj winien jest śmierci Eryka, ale Niemcy!

Marta nagle przestała szlochać.

– Eryk kochał się ze mną ostatniego wieczoru przed wyjazdem – powtórzyła.

– A wiesz, dlaczego ze mną? Bo dziewczyna, z którą wtedy chodził, dała mu kosza. Za to ja byłam pod ręką.

Franek milczał. Nie wiedział, co na to powiedzieć. Chciał jak najprędzej wsiąść na rower i po prostu odjechać. Ale miał świadomość, że nie może zostawić Marty w takim stanie.

– Chodź, pojedziemy do nas – zaproponował. – Wypijemy po kubku zsiadłego mleka, spokojnie porozmawiamy...

Marta sprawiała wrażenie, że nie słyszy, co kuzyn do niej mówi.

– Wiesz, co zrobię? – spytała z tak dziwnym półuśmiechem, że Franka zmroziło. – Napiszę donos. Na ojca. Bo – żebyś wiedział – on pomaga partyzantom. Pewnie dlatego, by nie wywoływać podejrzeń, podpisał volkslistę. I poświęcił życie syna.

– Marto! – Franek był zszokowany. Nic nie wiedział o kontaktach wuja z partyzantami, nie potrafił ocenić, czy dziewczyna mówi prawdę, czy tylko snuje domysły, albo – co gorsza – celowo zmyśla. To zresztą nie było w tym momencie najważniejsze. – Opamiętaj się! – Potrząsnął nią. – Co ty wygadujesz za brednie!

– Mówię prawdę. Ojciec naprawia im buty, a jak trzeba, to daje też leki i jedzenie.

– Więc widzisz. Mogłabyś być z niego dumna – powiedział Franek.

– Ale podpisał volkslistę i poświęcił życie syna – powtórzyła z uporem.

– A ty chcesz zrobić coś o wiele gorszego. Dlaczego?! Mam nadzieję, że to był tylko rozpaczliwy żart.

– Napiszę donos – powtórzyła.

– To będzie miało tragiczne następstwa. Prawdopodobnie nie tylko dla ojca, ale też dla matki i dla ciebie!

– Wiem.

– I?

– Wszystko mi jedno. Już mi się nie chce żyć...

Franek patrzył na nią z przerażeniem. Bardzo chciał zapanować jakoś nad sytuacją, ale nie wiedział jak.

– Chodź, Marto, pojedziemy do nas – ponowił swą propozycję. – Mówisz rzeczy, które dyktuje ci rozpacz. Kiedy się uspokoisz, wierzę, że zaniechasz tego desperackiego zamiaru.

Wziął ją za rękę, pomógł podnieść się z trawy, przyciągnął do siebie. Kurczowo objęła go za szyję.

– Dlaczego nie zakochałam się w tobie? Dawno przed tym, nim poznałeś tamtą dziewczynę? – spytała przytłumionym głosem. – Ty nie zginąłbyś na froncie i nie okłamałbyś mnie tak jak Eryk.

Sytuacja robiła się coraz trudniejsza. Czuł, że wciągany jest w sidła, z których trudno będzie się uwolnić. „Jeżeli ja się uwolnię, wydostanie się również ona. I wtedy zrealizuje swój szaleńczy plan”.

By zyskać na czasie, pozwolił jej się całować, pozwolił, by wsunęła język między jego wargi, a po kilku minutach coraz bardziej namiętych pocałunków sam lekko podkasał jej zwiewną sukienkę i głaskał ją tam, gdzie była blizna.

– Nie wymyśliłam sobie tych partyzantów. Jeden z nich pojawił się u nas kilka dni temu. Byłam sama w ogrodzie i właśnie myłam się przy studni po pracy na grządkach, byłam tylko w bieliźnie – nawiązała Marta do przerwane go tematu, kiedy na rowerach jechali przez las do Żywocic. – Nie zauważyłam go, a on podszedł do mnie z tyłu i... zaczął sobie pozwalać.

– Chciał cię zgwałcić?

– Zachowywał się brutalnie, zatkał mi usta dłonią, bym nie mogła krzyczeć. Był silny, nie miałam szans. Raz-dwa zerwał ze mnie wszystko...

– Martusiu, tak mi przykro – odezwał się Franek.

– ...ale w końcu zaniechał tego.

– Coś go spłoszyło?

– Mój odrażający brzuch. Kiedy zobaczył bliznę, nagle przestał się ze mną szamotać. „Ubieraj się” – rzucił tylko i poszedł sobie. Nawet nie spytał o ojca.

– Dobrze, że tak się skończyło – powiedział Franek, byle coś powiedzieć. Błyskawicznie zrozumiał, jaki przekaz miała mieć ta historia. Czuł, że sidła się zaciskają.

Rozdział VII

Świadek

Zaparkowałyśmy samochody przed nowoczesnym kilkupiętrowym domem seniora. Elewacja miała jasno- czy może nawet jaskrawozielony kolor, a jej monotonię rozbijały rzędy niedużych balkonów z balustradami wykonanymi w modnej ostatnio kombinacji jasnego drewna i aluminium. Krystyna Bielan powiadomiła recepcjonistkę pracującą za półokrągłą ladą w dużym holu, że udajemy się z wizytą do pani Magdaleny Donatovej.

– Trzecie piętro, pokój trzysta szesnaście – poinformowała kobieta i poprosiła nas, byśmy wpisały się do księgi gości.

– Domy dla starców zawsze wyobrażałam sobie jako szare, ciasne i ogólnie nieprzyjemne budynki – zauważyłam, gdy nowoczesna winda bezszelestnie wywoziła nas na górę. We wnętrzu kabiny wisiały dwa obrazki wykonane na szkle, najwidoczniej prace pensjonariuszek.

Dziennikarka się roześmiała.

– To już nie te czasy. Choć zdarzają się także bardziej posępne budynki, ale to raczej rzadkość.

– Bywa pani w tego typu placówkach?

– Owszem. – Skinęła głową. – Stosunkowo często piszę o opiece społecznej.

Korytarz na trzecim piętrze, choć węższy od holu na parterze, sprawiał równie optymistyczne wrażenie. Na pomalowanych na pomarańczowy kolor ścianach wisiały kolejne obrazki na szkle, podłoga była pokryta jasną wykładziną imitującą drewno. „Ładniej tu niż w tym moim hotelu” – pomyślałam, przypominając sobie ciemnogrnatowe dywany na hotelowych korytarzach, bez wątplenia pamiętające czasy mojej wczesnej młodości. A swoją drogą – dlaczego jeszcze nie zaoferowałam kierownictwu hotelu dywanów sprzedawanych przez naszą firmę?

– Czy ta pani będzie sama? Bo może niezręcznie byłoby, gdyby rozmowie przysłuchiwał się ktoś obcy – szepnęłam do swojej towarzyszki, kiedy stuknęłyśmy już do drzwi pokoju wskazanego przez recepcjonistkę.

– Oczywiście. To pojedyncze pokoje. Tylko małżeństwa mają podwójne, a pani Donatová jest wdową – uspokoiła mnie Krystyna.

Otworzyła nam niewysoka kobieta z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, opierająca się o kule. Miała na sobie sukienkę, która bez wątpienia była strojem na lepsze okazje. Dekolt spinała u góry ciekawa broszka w kształcie harfy, wykonana z drobnych szklanych perełek. Domyśliłam się, że wizyta dziennikarek była dla niej nie lada wydarzeniem w monotonnym życiu mieszkańca domu opieki.

– Niech panie wejdą i usiądą. Ja będę siedziała na łóżku – zarządziła

staruszka, wskazując jedną z kul dwa krzesła stojące przy niedużym stoliku. – Może zaparzyć paniom *čaj*?

– Niech sobie pani nie robi kłopotu. – Krystyna machnęła ręką.

– To żaden kłopot – odparła tamta, nalewając wodę do elektrycznego czajnika. Dziennikarka po cichu tłumaczyła mi, że *čaj* to herbata. Uspokoiliam ją, że przynajmniej podstawowych słów zdążyłam już się nauczyć podczas mojej bytności w Czechach.

– Ja nie mówię za dobrze po polsku – wyjaśniła Donatová, jakby nawiązując do naszej cichej konwersacji. – Kiedyś mówiłam lepiej, ale *manžel* był Czechem i dzieci też chodziły do czeskiej szkoły. W domu posługiwaliśmy się właściwie tylko czeskim, czasem mówiło się trochę po naszemu.

– Niech się pani nie przejmuję. Gdyby pani Katarzyna czegoś nie rozumiała, przetłumaczę – uspokoiła ją Krystyna i poderwała się z miejsca, by pomóc staruszce w nakryciu stołu.

– No i czego ode mnie oczekujecie? – spytała pani Magdalena, usadowiwszy się na brzegu starannie usłanego łóżka.

Spojrzałam na Krystynę z nadzieją, że to ona poprowadzi rozmowę. Uśmiechnęła się, dając mi do zrozumienia, że mogę na nią liczyć.

– Nie wiem, czy pani pamięta to spotkanie... To było dokładnie piętnaście lat temu. Wtedy mieszkała pani jeszcze w Żywocicach...

– Zgadza się, w *starobincu* jestem dopiero od trzech lat. Trafiłam tu po skończeniu osiemdziesiątki – przerwała jej pani Magdalena.

– No więc pojechałam wówczas do Żywocic, bo pisałam taki artykuł o rozstrzelanych w 1944 roku. O ich narzeczonych, żonach... I wtedy ktoś poradził mi, by spotkać się z panią, że pani też pewnie coś będzie pamiętała...

– Tak, tak, przypominam sobie. Ale pani nie chciała w końcu tej historii, którą miałam do opowiedzenia.

– Ma pani rację. Wówczas jej nie chciałam, bo mój artykuł był o narzeczonych i żonach, a pani miała, zdaje się, jakąś historię z tajną kochanką jednego z nich. Pamięta pani, o czym mówię?

– Pewnie, że pamiętam. Takich wydarzeń się nie zapomina – obruszyła się staruszka. – Pamiętam, jak nam zastrzelili parobka i w ogóle... A potem, to mogło być kilka dni po tej niedzieli, przyszła do nas Marta. To była nasza sąsiadka.

Marta! Na dźwięk imienia mojej teściowej serce zabiło mi mocniej. Oczywiście, to mógł być tylko przypadek, zbieżność imion, ale bądź co bądź zawsze to jakaś poszlaka.

– A teraz to panią interesuje? Z jakiego powodu? – spytała Donatová, lustrując Krystynę wzrokiem.

– Mnie to interesuje – powiedziałam.

Kobieta, do tej pory rozmawiająca wyłącznie z dziennikarką, teraz przeniosła

wzrok na mnie.

– Moja praca będzie obszerniejsza, interesują mnie różne życiowe historie. Najróżniejsze – przedstawiłam wersję, którą wcześniej uzgodniłyśmy z redaktorką.

Starsza pani przez chwilę milczała.

– No tak, rozumiem. Ale nie wiem, czy można to tak po prostu opisać, z imionami i nazwiskami. To smutna i bądź co bądź *choulostiva* historia – powiedziała po chwili zastanowienia.

– *Choulostiva*? – Spojrzałam pytająco na Krystynę.

– Delikatna – wyjaśniła i natychmiast zaczęła zapewniać Donatową, że imiona i nazwiska – choć będziemy się cieszyły, gdy je poda, bo zawsze to wygląda wiarygodniej – ostatecznie nie pojawią się w artykule. – Mam rację, pani Katarzyno?

– Jak najbardziej. Nie zamieszczę nazwisk w tekście – obiecałam, ciesząc się w duchu, że będę mogła dotrzymać słowa. Nie będzie przecież żadnego artykułu.

– W takim razie zgoda. – Staruszka skinęła głową na znak, że wierzy naszym zapewnieniom. – A więc... Ta Marta przyszła do nas... Nie, nie... Może zacznę inaczej...

– Najlepiej byłoby, gdyby pani najpierw wyjaśniła nam, kogo z tych zastrzelonych pani знаła, a potem przeszła do tego, jakie on miał powiązania z tą dziewczyną – zaproponowała Krystyna.

– Z widzenia znałam ich kilku. Niektórzy byli naszymi sąsiadami lub znajomymi mojego ojca. Ale najbliżej, oczywiście, znałam naszego parobka, o którym już wspominałam. Biedny chłopak, był taki miły i zawsze wesoły. Nieraz razem żartowaliśmy. Byłam wtedy trzynastoletnią smarkulą, więc imponowało mi, kiedy starszy ode mnie chłopak zwracał na mnie uwagę...

Ukradkiem przyjrzałam się kobiecie. Uśmiechała się na wspomnienie lat, kiedy była nastolatką, nawet jeśli były to smutne czasy wojenne. Pomyślałam, że nie tak szybko wyciągniemy z niej interesujące mnie informacje, ale chyba niegrzecznie byłoby przerywać starszej pani tok wspomnień?

Krystyna, widocznie nauczona praktyką dziennikarską, była innego zdania.

– Rozumiem, szkoda było chłopaka – powiedziała cicho, a potem, odczekawszy zaledwie kilka sekund, spytała rzeczowo: – A jak dobrze znała pani tego młodzieńca, o którym ma zamiar nam pani opowiedzieć?

– Tylko z widzenia. Ten Franciszek mieszkał dość daleko od naszego domu, ale często widywałam go u sąsiadów, rodziców tej Marty. Oni byli chyba dość blisko spokrewnieni...

Spokrewnieni! Zaczęłam się czuć coraz bardziej nieswojo, lecz z drugiej strony umierałam z ciekawości.

– Więc może dlatego się spotykali? Dlaczego pani sądzi, że byli kochankami? – spytałam nieco podejrzliwie.

Donatová roześmiała się tak, jak śmieje się ten, kto wie swoje.

– Oczywiście, mogło tak być. Ale pewnego dnia – to było zaledwie parę dni przed tą niedzielą szóstego sierpnia – wybrałam się do lasu na borówki. Wtedy dużo ich rosło w żywocickim lesie, nie to co teraz. – Machnęła ręką. – No więc zbierałam do bańki te borówki i nagle wydawało mi się, że w pobliżu słyszę rozmowę, a potem takie odgłosy... rozumieją panie... charakterystyczne dla... obcowania we dwoje. – Kobieta mrugnęła do nas porozumiewawczo, a ja w tej chwili bez trudu potrafiłam ją sobie wyobrazić jako pałającą ciekawością trzynastolatkę.

– I widziała ich pani? Jest pani pewna, że to byli oni? – spytała Krystyna.

– Widziałam. Mówiłam już, że byłam smarkulą, więc te odgłosy mnie oczywiście zaintrygowały. Po cichu posuwałam się bliżej i przycupnęłam za większymi krzakami, by widzieć tamtą parę, a sama być niewidoczna. Muszę przyznać, że to był dla mnie szok, kiedy zobaczyłam Martę i jej kuzyna. Marta rozpiniała sobie bluzkę. Ciekawa byłam, co dalej zobaczę – byłam wtedy zielona, jeśli chodzi o te rzeczy – ale skończyło się na pieszczotach. Przy tym jestem przekonana, że ten chłopak miał jakąś oficjalną narzeczoną.

Czułam, że oblewam się rumieńcem. Od razu zbeształam się za to w duchu, bo przecież – jeśli nawet owa Marta to moja teściowa, co było mało prawdopodobne – nie ja jestem odpowiedzialna za jej zachowanie.

Nie uszedł uwagi staruszki kolor mojej twarzy. Na szczęście wytłumaczyła to sobie w prozaiczny sposób.

– Gorąco pani? – spytała, bacznie mi się przyglądając.

– Gorąco. Mogę szerzej otworzyć okno? – podchwyciłam i zerwałam się z miejsca, by wpuścić do pokoju więcej powietrza.

– Znała pani tę oficjalną narzeczoną Franciszka? – spytała tymczasem Krystyna.

Donatová pokręciła głową.

– Nie znałam, zdaje się, że mieszkała w którejś z sąsiednich wiosek – w Suchej albo może w Cierlicku? Nie wiem, tak mi się tylko wydaje...

– W Suchej Górnej – przytaknęła dziennikarka. – Miała na imię Teresa. Piętnaście lat temu, kiedy pisałam tamten reportaż, jeszcze żyła. Opowiedziała mi wówczas o swoim narzeczonym. Kiedy teraz na nowo zainteresowałam się tematem, dowiedziałam się od jej syna, że parę lat temu umarła.

– Czy Marta mocno przeżywała śmierć Franciszka? A co stało się z jej ojcem? Jego też zastrzelono? – wróciłam do bohaterki, która najbardziej mnie interesowała.

– Trudno powiedzieć, jak bardzo przeżywała śmierć Franciszka. Jej ojciec był szewcem i wziął volkslistę, tak samo jak mój. Dzięki temu uszedł z życiem tamtej niedzieli szóstego sierpnia. Ale i tak nieszczęśliwie się to wszystko

skończyło dla tej rodziny...

– Nieszczęśliwie?

– Niestety. Po pierwsze, ich syn, nie pamiętam już, jak miał na imię, musiał walczyć w Wehrmachcie i zginął na froncie. A po drugie, oboje Wiechów, tego szewca i jego żonę, aresztowali wtedy w sierpniu. I wówczas Marta...

– Wiechów? – przerwałam kobiecie, upewniając się, czy dobrze dosłyszałam nazwisko. – Oni nazywali się Wiechowcie?

– Tak, ale obiecała pani, że nie będzie nazwisk w tym artykule, prawda? – Staruszkę zaniepokoiła moja ciekawość. – Bo, jak pani zaraz usłyszysz, to bardziej tragiczna historia, niż się wydaje.

– Nie będzie, oczywiście – przytaknęłam skwapliwie. Biły się we mnie sprzeczne uczucia: rozczarowanie, że ponownie trafiłam w swoich poszukiwaniach w ślepy zaułek – przecież teściowa nosiła panieńskie nazwisko Bazylicz – z poczuciem ulgi, że jednak to nie ona jest bohaterką tej historii. W miarę jak Donatová kontynuowała swą opowieść, ulga brała górę nad rozczarowaniem.

– Dobrze pamiętam, jak ich aresztowali. Najpierw pod dom podjechał samochód gestapo. Właśnie jadłyśmy z mamą kolację – na ganku, bo był pogodny wieczór. Ojca nie było w domu. „Czego u nich szukają?”, zastanawiała się moja mama. Ledwo skończyłyśmy jeść i sprzątnęłyśmy naczynia ze stołu, przyszła do nas Marta. Widzę ją jak żywo, nigdy nie zapomnę tej sceny. Była trupio blada i patrzyła takim... jak by to najlepiej określić... obłąkanym wzrokiem. Zaczęła opowiadać, że aresztowali jej rodziców, bo coś tam znaleźli w warsztacie ojca, jakieś dowody na to, że pomaga partyzantom.

– To straszne – powiedziała cicho Krystyna.

– Będzie jeszcze gorzej. Bo ta Marta... Wie pani, ja też nie mogłam w to uwierzyć, przyznała się, że to ona napisała donos na ojca. Oboje jej rodzice zginęli potem w obozie.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Źle ją traktowali? – spytałam niewyraźnie, bo wyszło mi w gardle.

– Raczej wręcz przeciwnie. Przygarnęli ją, kiedy zmarł jej ojciec. Bo ona nie była ich własną córką. O ile wiem, jej matka zmarła młodo, a ojciec był alkoholikiem i zdaje się, że się powiesił. Tak to przynajmniej opowiadała moja mama. Ja byłam za mała, by to pamiętać.

A więc tak to wygląda. Zrozumiałam, że na nowo otworzyła się możliwość, iż owa Marta jest moją teściową. Prawdopodobnie nosiła przecież nazwisko biologicznego ojca. Próbowałam się dowiedzieć, jak nazywał się ów nieszczęsny alkoholik, lecz Donatová nie miała zielonego pojęcia.

– Mówiłam przecież, że byłam małym brzdącem, kiedy to się wydarzyło. W ogóle nie znałam tego nieszczęśnika – podkreśliła.

Czułam się jak oszołomiona po pożegnaniu z emerytką. Z ulgą opuściłam mury domu seniora, który przed godziną wydawał mi się całkiem przyjaznym miejscem. Miałam irracjonalną nadzieję, że za jego progiem zostawię również tragiczną historię z przeszłości.

– A więc sprawa nadal jest otwarta – podsumowała Krystyna Bielan, nim rozstałyśmy się na parkingu. – Ale przynajmniej ma pani nowy trop: Wiechów. Może ktoś w Żywocicach będzie ich jeszcze pamiętał, a poza tym losy ofiar są udokumentowane. Ja niestety przez najbliższe tygodnie nie będę w stanie pani pomagać w poszukiwaniach, bo mam masę innej pracy, a potem wyjeżdżam na urlop, ale myślę, że Marcin...

– Nie będę prowadziła dalszych poszukiwań – przerwałam jej. – Nie jestem pewna, czy zależy mi na tym, by upewnić się, że to naprawdę moja teściowa była wyrodną córką, która posłała swoich opiekunów na śmierć – przyznałam bez ogródek.

Czułam się znużona tym wszystkim. Myślę, że dziennikarka wyczytała to w mojej twarzy, bo przyjrzała mi się uważnie, po czym ze zrozumieniem pokiwała głową. Byłam jej wdzięczna, że nie próbuje mnie na nowo przekonać do opisanie tej historii w gazecie.

Czwartek, 3 sierpnia 1944

Józef był nieco zdziwiony, kiedy do jego warsztatu wczesnym popołudniem zapukał Franek. Nie tyle jego obecnością, ile celem wizyty.

– Wuju, czy mógłbym zabrać Martę na spacer do lasu? Na borówki? – spytał siostrzeniec, ocierając pot z czoła. Po kilku chłodniejszych, deszczowych dniach zrobiło się gorąco.

– W zasadzie nie mam nic przeciwko temu, o ile Anna jej nie potrzebuje. Ale... – Józef pytająco spojrział na krewnego.

– Ale?

– Nic, tylko... Trochę mnie dziwi, że masz czas na spacerki z kuzynką. No bo w domu też ci pewnie nie brakuje pracy, w dodatku masz przecież w Suchej dziewczynę?

Franek poczuł się nieswojo. „Próbuję ci ratować kark, więc nie utrudniaj mi tego. Gdybyś wiedział to, co wiem ja, od razu byś się zgodził”.

– Marta trochę mi się zwierza – powiedział eufemistycznie. – Wiem, że bardzo cierpi po śmierci Eryka. Chciałem ją po prostu trochę rozerwać.

Józef pokiwał głową. Usta mu zadrżały. Franek robił sobie wyrzuty, że znów przypomniał wujowi o śmierci syna.

– Dziękuję – powiedział Józef cicho.

Franek wyszedł z warsztatu na podwórze. Marta stała przed drzwiami szopy. Czyżby podsłuchiwała?

– Idziemy na borówki. Zabierz bańkę. – Franciszek uśmiechnął się do niej. Dziewczyna spojrzała na niego tak, jak... patrzy Tereska.

– Bardzo się cieszę. – Zarzuciła mu ręce na szyję. Mężczyzna mimo woli przypomniał sobie pętle, które niedawno zakładano w Suchej skazańcom.

Im głębiej zapuszczali się w las, tym bardziej niezręcznie się czuli. Natrętnie wracało pytanie, czy zrealizowała już swoje pogroźki. Nie chciał wprost o to pytać, by nie domyśliła się, że to jedyny powód, dla którego spędza z nią czas. Marta chwyciła go za rękę. Zachowywała się tak, jakby naprawdę był jej chłopakiem. Franek nie posiadał się ze zdumienia. Dawniej była skromną, raczej nieśmiałą dziewczyną. Ostatnio jej nie poznawał.

Gdyby nie adrenalina towarzysząca tej dziwacznej randce, Franek zasnąłby na stojąco. W nocy prawie w ogóle nie zmrużył oka. Cały czas myślał o Marcie. Zastanawiał się, jak poradzić sobie z sytuacją, w jakiej go postawiła. Ma powiedzieć Józefowi, że jego przybrana córka zamierza go podle zdradzić? To rozwiązanie odrzucił od razu. Po pierwsze, trudno było przewidzieć, jak zareagowałby Józef, po drugie, to złamałoby serce zarówno jemu, jak i Annie. A przecież stracili już dwoje własnych dzieci.

Drugie rozwiązanie wydawało się najprostsze, a zarazem najuczciwsze. Mógł dać Marcie jasno do zrozumienia, że nie pozwoli się szantażować. Powie jej wprost, że nie jest odpowiedzialny za jej czyny. To przecież nie jego wina, że jej brat – kochanek – zginął na froncie, a ona poddała się rozpacz.

„Nie moja wina, lecz tylko ja mogę ją odwieść od szaleńczego zamiaru” – uświadomił sobie gorzką prawdę.

Bez większego przekonania zrywali borówki. Oboje wiedzieli, że nie mogą wrócić do domu z pustą bańką. „To prawie jak w tej bajce o Jasiu i Małgosi. Dzieci zbierały jagody tak długo, aż trafiły do domu Baby Jagi” – pomyślał Franek ironicznie. Sytuacja była absurdalna. Zamiast razem ze szwagrem pracować na polu i nadrabiać zaległości spowodowane przez niesprzyjającą ostatnio pogodę, bawił się w zbieranie borówek. Roześmiał się mimo woli, choć wcale nie było mu do śmiechu.

– Z czego się śmiesz? – zainteresowała się Marta. Postawiła na ziemi bańkę i usiadła na pniu. – Chodź do mnie – poprosiła cicho. Przykucnął posłusznie obok na trawie. – Myślisz, że... mógłbyś mnie kochać? – spytała wprost.

– Gdybym nie miał dziewczyny i gdybyś nie była moją kuzynką... – zaczął ostrożnie.

– Nie jestem twoją kuzynką! – przerwała poirytowana.

– Do tej pory zawsze cię tak traktowałem. To chyba normalne, nie możesz

mieć mi tego za złe. Ale... Jesteś naprawdę piękną dziewczyną. To tylko kwestia czasu, kiedy wpadniesz komuś w oko.

– Nie chcę nikomu wpaść w oko. Nie chcę, by ten ktoś odsuwał się ode mnie z odrazą, kiedy odsłonię brzuch – stwierdziła kategorycznie. – Tak jak ten partyzant – dodała. W tym momencie w ogóle nie zdała sobie sprawy, że zmyśliła historię o partyzancie. Wierzyła w nią tak, jakby naprawdę się wydarzyła.

– Ktoś, kto naprawdę będzie cię kochał, nie będzie się przejmował twoimi bliźniami.

– O Boże, nie chcę tego słuchać! – krzyknęła zniecierpliwiona.

Franek rozejrzał się naokoło. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu. Chyba że kryłyby go zarośla. Ta beznadziejna rozmowa była kubek w kubek podobna do tej, którą prowadzili poprzedniego dnia. I tak samo prowadziła donikąd.

Dziewczyna, która przed chwilą trzymała go ciepło za rękę, teraz obrzuciła mężczyznę lodowatym spojrzeniem.

– Nie przejmuj się. Dziś w nocy cały czas myślałam o tym donosie. Ale... nie zrobię tego. Ze względu na mamę. Nie musisz mnie już wyciągać na spacerki do lasu i udawać, że się mną interesujesz.

Poczuł, że mimo woli pąsowieje. Nie odezwał się ani słowem.

Marta też przez chwilę milczała, potem uśmiechnęła się sztucznie.

– Zbieramy dalej czy wracamy do domu? – spytała dziwnie lekkim tonem.

Nie ufał jej. Bał się, że to tylko kolejna próba. „Jeżeli teraz odetchnę z ulgą i pochwalę ją za rozsądek, ona jeszcze dziś w nocy urzeczywistni swój diabelski plan” – przemknęło mu przez myśl.

– Nie wracamy – powiedział stanowczo. – Chodź do mnie, Marto. Chcę być z tobą...

Przygarnął ją i zaczął całować. Najpierw sztywno, potem coraz bardziej namiętnie. Brzydził się sam sobą, kiedy uświadomił sobie, że ta dziewczyna, ta jego prawie krewna, naprawdę go podnieca. Marta rozpięła bluzkę. Przyciągnęła do swoich piersi jego ręce.

„Boże, co ja robię!” – uświadomił sobie Franek, kiedy ścisnął jej lewą pierś tak mocno, aż Marta jęknęła.

Cofnął się jak oparzony. Odważył się spojrzeć jej prosto w oczy.

– Przepraszam – wyszeptał. Naprawdę był zawstydzony.

– Nie musisz przepraszać – powiedziała tonem, w którym jasno pobrzmiwał triumf. Przytuliła się do niego mocno, gołym brzuchem i na pół obnażonymi piersiami. Na szczęście opanował się na tyle, by nie rozgrywać tej sceny do końca.

– Tu w każdej chwili ktoś może się zjawić – wychrypiął. Nie poznawał własnego głosu. – Spotkamy się gdzie indziej, zgoda? Wymyślę coś, obiecuję...

– Pomimo że masz narzeczoną?

To pytanie ukłuło go prosto w serce. Skinął tylko głową.

– Wymyślę coś, byśmy mogli być razem – powtórzył.

– Wierzę ci. Już tylko tobie wierzę – powiedziała, mocno akcentując przedostatnie słowo.

Wstali i otrzepali z ubrań resztki trawy. Marta wzięła do ręki bańkę, zaledwie w jednej trzeciej napelnioną borówkami. „*Już tylko tobie wierzę. Znowu mnie szantażuje?*” – zastanowił się.

„Teraz już zupełnie ma mnie w garści. Co zrobiłbym, gdyby opowiedziała rodzicom, co wydarzyło się dziś w lesie? Z pewnością uznaliby, że to ja ją uwiodłem”.

Co miałby wówczas na swoją obronę? Powiedziałby, że groziła donosem? I że on chciał ich wszystkich ratować? Pomyśleliby, że próbuje się wykręcić. Już nigdy więcej nie mógłby spojrzeć wujowi i ciotce w oczy. Swojej matce też nie. A gdyby jeszcze na dodatek Tereska się o tym dowiedziała? To byłby koniec miłości, na której tak bardzo mu zależało.

Niewidoczna pętla coraz bardziej zaciskała się na szyi Franka.

– Co się z tobą, u licha, dzieje? – denerwował się szwagier, kiedy Franek wreszcie wrócił do domu. Paweł już czekał na niego. Chciał, by razem naostrzyli kosy i przygotowali worki do żniw. Jeżeli pogoda się utrzyma, w sobotę będą kosili owies. – Nie możesz iść na randkę w niedzielę? Musisz akurat teraz, w środku tygodnia, kiedy tu jest tyle pracy?

Szwagier miał, rzecz jasna, na myśli randkę z Tereską, lecz Franek poczuł się tak, jakby wiedział o jego schadzce z Martą. Poczuł, że pąsowieje.

– O Boże, facet prawie trzydziestoletni, a oblewa się rumieńcem, kiedy wspomnę o randce – roześmiał się szwagier, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Odczep się, dobrze?! – warknął Franek.

Zabrali się do roboty.

Wieczorem mama postawiła na stole dymiące kartofle okraszone cebulką.

– Anna Wiechowa wpadła tu dziś na chwilę. Żal mi jej strasznie, schudła po śmierci Eryka, twarz taką ma zbiedniałą... W dodatku zwierzyła mi się, że coraz bardziej martwi się o Martę. Dziewczyna podobno jakoś dziwnie się zachowuje – opowiadała, stawiając koło miski z kartoflami dzbanek zsiadłego mleka.

– Dziwnie to znaczy jak? – zainteresowała się Marysia, siostra Franka. Odruchowo obciągnęła fartuch na swym wystającym brzuchu. W październiku miała urodzić pierwsze dziecko.

Franciszek udawał strasznie głodnego, żarłocznie pochłaniał ziemniaki, z głową nisko pochyloną nad talerzem. Miał nadzieję, że ponownie nie obleje się rumieńcem i że szwagier znów się do niego nie przyczepi.

– Opowiada podobno jakieś niestworzone historie. Nie wiem dokładnie

jakie, Anna nic bliższego nie powiedziała, a ja nie chciałam jej wypytywać. – Mama wzruszyła ramionami. – Chociaż... wspomniała o takim jednym dziwnym szczególe...

Franek był tak spięty, że mimo woli wstrzymał oddech. Wszyscy wyczekująco wpatrywali się w matkę, która kontynuowała opowieść:

– „Wyobraź sobie – opowiadała Anna – że Marta dziś rano wstała wcześniej niż ja, co prawie nigdy się nie zdarza. Siedziała w kuchni na ławie, a przed sobą na stole miała rozłożone litery powycinane z gazety”. Anna podobno ją spytała, co robi, a dziewczyna na to, że od śmierci Eryka nie potrafi przespać spokojnie nocy, więc bawi się w układanki powycinanych liter.

– O Boże! – jęknął Paweł tonem, który miał oznaczać mniej więcej: „Jak babie szajba odbije, to nic na to nie poradzisz”.

– Ja nie widzę w tym nic dziwnego. – Marysia wzruszyła ramionami. – Zabawa jak każda inna... No nie, Franek?

– Chyba masz rację – mruknął. Serce biło mu tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Miał wrażenie, że cała rodzina słyszy ten łomot i przygląda mu się podejrzliwie.

W głowie miał kompletny zamęt. „Rano układała napisy. Tak żeby matka widziała? Gdyby naprawdę zamierzała zrealizować swe plany, starałaby się przecież nie budzić podejrzeń...”

A jeżeli się mylę? Może właśnie o to jej chodziło, by nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie ona jest donosicielką? Powiedziała, że nie chce jej się żyć. Może chce przede wszystkim pograć się samą siebie”.

Rozdział VIII

Chora

Po spotkaniu z Magdaleną Donatową nie byłam w stanie wracać od razu do Ostrawy. Wydawało mi się, że po tym wszystkim, co usłyszałam, udusiłabym się w hotelowym pokoju. Chciałam się przejść, zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz nie bardzo wiedziałam, gdzie wybrać się na spacer. Do żywocickiego lasu? Tam nie otrząsnęłabym się z tej historii – mogłabym przecież natknąć się na pomniczki rozstrzelanych. Marcin opowiadał, że wszędzie tam, gdzie szóstego sierpnia zginął któryś z mężczyzn, wzniesiono po wojnie proste kamienne stele z nazwiskami.

Chciałam uciec przed cieniami przeszłości, tymczasem – jakby ciągnęła mnie tam jakaś niewidoczna siła – podjechałam pod duży pomnik w Żywocicach. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam tamto miejsce, wyryte na płycie nazwiska były dla mnie pustymi słowami. Teraz zatrzymałam wzrok na Franciszku Podstawce. Czy rzeczywiście był kochankiem mamy Wiesława? Rozbierał ją podczas tajnej randki w krzakach? Czułam się bardzo dziwnie. Jeszcze w życiu mi się nie zdarzyło, bym stojąc przed pomnikiem ofiar wojennych, wyobrażała je sobie jako zwykłych ludzi z krwi i kości, z wadami, zaletami i grzesznymi zachciankami.

Potem uważnie przyjrzałam się nazwiskom umieszczonym po prawej stronie tablicy. Obok nich widniała informacja, że te osoby zginęły w obozach. Znalazłam tam Józefa Wiechę i jego żonę Annę.

„Gdzie właściwie mieszkali? Czy stoi jeszcze ich dom?” – pomyślałam nagle. Rozejrzałam się naokoło. Żywocice zmieniły się nie do poznania od czasów wojny, a najbardziej w ostatnich latach. Kiedy wjeżdżałam do wsi, po obu stronach drogi witały mnie osiedla nowych domów jednorodzinnych.

Za to tu, w centrum, przeważała starsza zabudowa. Może całkiem blisko mieszkali Wiechowie? Byłam zła na siebie, że nie przyszło mi do głowy, by zapytać starą Donatową o to miejsce. Ciekawe, że nawet towarzysząca mi dziennikarka nie zadała takiego, chyba jednak dość podstawowego, pytania...

Dźwięk komórki wyrwał mnie z zamyślenia. Dzwonił Wiesław.

– Kasiu, jak to dobrze, że od razu odebrałaś. – Usłyszałam ulgę w jego głosie.

– Stało się coś? – zaniepokoiłam się.

– Mama choruje. Czy mogłabyś wziąć dwa dni urlopu i już jutro przyjechać do domu? Bardzo cię proszę! To „tylko” zapalenie oskrzeli, lecz mama bardzo źle się czuje. Nie może być sama. Dzisiaj wyrwałem się z pracy, ale jest sesja, mam studentów zapisanych na egzaminy!

Była środa, w piątek wieczorem miałam jechać do Piotrkowa na weekend. Wiktor powinien się zgodzić, bym z powodów rodzinnych wzięła dwa dni

wolnego. Sęk w tym, że nie byłam pewna, czy chcę to zrobić. Jeszcze parę miesięcy temu sama chciałabym być przy mamie, gdyby zachorowała, ale teraz wszystko stało się zbyt zagmatwane.

– Dobrze, zadzwonię od razu do szefa, myślę, że się zgodzi – powiedziałam, tłumiąc w sobie sprzeczne uczucia.

– Dziękuję ci, kochanie. – Głos męża brzmiał miękko. Trzeba przyznać, że od czasu, kiedy byłam w Ostrawie, nasze relacje się ociepliły. – A więc do jutra. Postaram się wynagrodzić ci twoją ofiarność... w inny sposób.

Musiałam się uśmiechnąć, słysząc dwuznaczny podtekst w jego głosie.

I na tym ta rozmowa mogłaby się zakończyć w sposób przyjemny dla nas obojga, gdyby Wiesław nie zapytał:

– Nie jesteś już chyba w pracy? Co porabiasz?

– Oglądam pomnik ofiar wojennych w Żywocicach – odpowiedziałam z pewną dozą sadyzmu. Niemożliwe, by mąż nic nie wiedział o przeszłości swojej mamy.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Nie sądziłem, że martyrologia należy do twoich zainteresowań – stwierdził po chwili z ironią.

Mama leżała, a raczej na wpół siedziała, oparta o dwie grube poduszki. To miało ułatwić jej oddychanie, lecz w gruncie rzeczy niewiele pomagało. Staruszka była zmęczona, wręcz wyczerpana, i cały czas tkwiła w jednej i tej samej pozycji, z przymkniętymi powiekami. Za każdym razem, gdy już zaczynałam mieć nadzieję, że zaśnie, jej ciałem wstrząsał atak kaszlu, po którym przez długie minuty z trudem łapała oddech.

Wyciągnęłam termometr spod jej pachy. Wskazywał trzydzieści osiem i pół stopnia Celsjusza. Niby to nie aż taka tragicznie wysoka temperatura, lecz u starszych ludzi – jak powiedziała Wiesławowi lekarka – to już poważna gorączka.

– Jeżeli stan zdrowia chorej do trzech dni nie ulegnie poprawie, skieruję ją do szpitala. To może się skończyć zapaleniem płuc, a zapalenie w tym wieku jest naprawdę niebezpieczne – przestrzegła doktor Skawicka.

Dziś mijał trzeci dzień. Niestety, nie wydawało mi się, by mamie było lepiej, pomimo że zażywała silne antybiotyki.

Przyniosłam czystą piżamę i pomogłam jej się przebrać. Ta, którą miała na sobie, przesiąknięta była potem. Od wczoraj kilkakrotnie przebierałam chorą. Kiedy robiłam to po raz pierwszy, zwróciłam uwagę na dużą bliznę na jej brzuchu, a ona w pierwszym odruchu starała się ją przykryć ręką. Udawałam więc, że nic nie widzę, choć z pewnością nie uwierzyłyby, że mogłabym przeoczyć coś tak

rzucającego się w oczy.

„Skąd wzięła się ta blizna?” – zastanawiałam się teraz, zapinając mamie guziki na piżamie. Była taka słaba, że ręce jej się trzęsły i sama nie byłaby w stanie tego zrobić. Byłam pewna, że blizna nie może być pozostałością po żadnej operacji – miała zbyt nieregularny kształt. Wiedziałam też, że to okaleczenie musiało być następstwem czegoś, co wydarzyło się dawno, co najmniej przed dwudziestu pięciu laty. Później znałam już Wiesława i jego mamę, więc musiałabym wiedzieć, gdyby coś jej się stało.

O siódmej wieczorem wpadł mąż. W nocy miał mnie zastąpić przy mamie. Postanowiłam jednak zostać. Widziałam, że Wiesław jest nerwowy przy chorej, że nie wie za bardzo, jak się zachować, jak jej pomóc w praktycznych sprawach.

– Dziękuję ci. – Pocałował mnie w policzek, kiedy odesłałam go do domu.

Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach.

– Mam do ciebie prośbę, Kasiu.

– Jeszcze jedną?

– To taka ogólniejsza sprawa.

– A mianowicie?

Już chciał coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Nieważne. – Machnął ręką. Nic więcej z niego nie wyciągnęłam.

Obudziłam się w środku nocy. Bolały mnie łopatki, bo nie byłam przyzwyczajona do spania na wąskim i na mój gust zbyt miękkim tapczanie. Usiadłam i wykonałam kilka ćwiczeń, by rozprostować plecy. Zerknęłam na cyfrowy budzik stojący na stoliku. Wskazywał trzecią nad ranem.

Przestraszyłam się. Zasnęłam przed jedenastą i od tej pory nie zajrzałam do chorej. Poruszając się najciszej, jak potrafiłam, wślizgnęłam się do sypialni. Kiedy pochyliłam się nad staruszką, odetchnęłam z ulgą. Spała spokojnie, miarowo oddychając. Jej czoło było zroszone potem, lecz z pewnością chłodniejsze niż wieczorem. W duchu posłałam dziękczynną modlitwę w stronę nieba i cicho wróciłam do salonu.

Wyschło mi w gardle, więc poszłam do kuchni po wodę. Zapaliłam światło i to na dobre mnie obudziło. Nie chciało mi się już spać, choć miałam świadomość, że jeżeli nie zasnę, to rano będę do niczego. Ale co tam – miałam przecież przed sobą wolny weekend, a rano zastąpi mnie wreszcie Wiesław.

Moje myśli poszybowały do Żywocic. Po raz kolejny. Nie potrafiłam uwolnić się od tej historii, pomimo że zaledwie trzy dni temu postanowiłam, że dam sobie z tym spokój. Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że teściowa nie ma w domu żadnych dokumentów, żadnych zdjęć z okresu swojej młodości. A że nie ma – tego byłam pewna. Nieraz przecież pomagałam jej porządkować

mieszkanie i nigdy niczego nie znalazłam. A co ważniejsze – ona niczego nie starała się przede mną ukryć, pozwalała mnie i Agacie do woli zaglądać do wszystkich szuflad, szaf i zakamarków.

Pokazywała nam zdjęcia – i owszem. Lecz najstarsza fotografia pochodziła dopiero z 1946 lub 1947 roku. Zdjęcie zrobione było w Skoczowie. Marta pozowała na nim z koleżanką, z którą wynajmowała pokój. Obie pracowały w fabryce koców.

Na kolejnym zdjęciu mama otoczona była dziewczynkami robiącymi jakieś hafty. To była fotografia z trochę późniejszego okresu, kiedy pracowała już jako wychowawczyni w świetlicy szkolnej. Zdaje się, że miała nawet jakieś pedagogiczne wykształcenie, lecz nie poruszała nigdy tego tematu. Najwidoczniej zdobyła je w okresie, który stanowił tabu w jej życiorysie.

Zdjęcie ślubne miało datę 11 lipca 1959 roku. Marta późno wyszła za mąż, w wieku trzydziestu sześciu lat, a swego jedyne go potomka wydała na świat dopiero trzy lata później. Bartłomieja Kulesza, ojca Wiesława, znałam wyłącznie z fotografii i z opowiadań, bo zmarł na zawał, zanim się poznaliśmy. Teściowa nie chciała nigdy mówić o swoim dzieciństwie i młodości, za to chętnie i ciepło opowiadała o zmarłym małżonku. Nieraz podkreślała, że nigdy nie liczyła na to, że będzie miała takiego dobrego i kochającego męża.

„Czy w domu mamy naprawdę nie ma niczego, co miałyby związek z jej wczesną młodością?” – zastanawiałam się o wpół do czwartej nad ranem, przechadzając się na palcach po salonie.

Otworzyłam szafę, gdzie dwie półki zajmowały pudełka z dokumentami i fotografiami. Wyciągnęłam je i skrupulatnie przejrzałam najpierw wszystkie papiery urzędowe, a następnie zdjęcia, odczytując z uwagą ewentualne zapiski na odwrocie. Nie było tam nic, czego nie widziałabym już wcześniej. Akt urodzenia potwierdzał, że Marta Bazylicz urodziła się w Skoczowie. Po wojnie także tam mieszkała. Najprawdopodobniej nigdy więc nie wyjechała z tego miasta. To niemożliwe, by mieszkała w Żywocicach. Historia niewdzięcznej córki i bezwstyдной uwodzicielki dotyczy z pewnością zupełnie innej kobiety.

A jednak szukałam dalej. Odłożyłam pudła z powrotem na półki i skierowałam wzrok na nieduży stary kufer, który od zawsze – a przynajmniej odkąd sięgam pamięcią – leżał tam, gdzie teraz, na dnie szafy. Teściowa przechowywała w nim starannie poukładane stare kocyki, narzuty i chusty. Właściwie niczego z tego nie używała i dlatego tylko raz na długi czas wyciągała rzeczy z kufra, by je wyprać i przewietrzyć. Ja raczej nie zaglądałam do walizki, nie było takiej potrzeby. Może w niej kryła się jakaś tajemnica?

Powyciągałam na podłogę wszystkie rzeczy z kufra, zastanawiając się przy okazji, dlaczego teściowa nie wyrzuciła ich dawno temu. Były to w większości mocno sfatygowane rzeczy, których z pewnością nikt już nie będzie używał.

Nadawałyby się najwyżej na legowisko dla psa. Ale ani mama, ani my nie trzymaliśmy w domu żadnego czworonoga.

Drgnęłam, bo chora zaczęła kaszleć. Czyżby wróciły te ataki, które wczoraj tak bardzo ją męczyły? W pierwszej chwili przestraszyłam się, że mama zaraz wejdzie do salonu (pewnie w szparze pod drzwiami zauważyła palące się światło) i zastanie mnie przewracającą jej mieszkanie do góry nogami. Zaraz jednak się uspokoiłam. Jest przecież za słaba, by bez mojej pomocy podnieść się z łóżka. Na wszelki jednak wypadek zgasiałam światło i poszłam sprawdzić, co się u niej dzieje.

Spała w miarę spokojnie. Ostatni atak kaszlu był słabszy od poprzednich i nie wyczerpał jej tak bardzo. Nie oddychała już wprawdzie tak cicho jak przed godziną, w oskrzelach słyszalne było rżenie, lecz nic nie wskazywało na to, by specjalnie się męczyła.

Wróciłam do salonu i ponownie włączyłam światło. „Muszę się pospieszyć, mama może za chwilę na dobre się obudzić.” Porozkładałam wszystkie te kocyki i inne kawałki tkaniny, lecz nie znalazłam między nimi żadnych ukrytych skarbów.

– Jesteś po prostu głupia. Daj sobie z tym spokój i połóż się spać – skarciłam samą siebie półgłosem. I wtedy uważniej przyjrzałam się walizce. Była naprawdę bardzo stara, prawdopodobnie przedwojenna. Może ten kufer sam w sobie krył jakąś tajemnicę?

Wyciągnęłam go z szafy, starając się nie narobić przy tym hałasu, i zaczęłam oglądać go milimetr po milimetrze. A nuż ma podwójne dno? Nie, nic na to nie wskazywało. W lewym dolnym rogu na wewnętrznej stronie wieka przyklejona była wyblakła i przybrudzona etykieta z imieniem i nazwiskiem paniąskim mamy. Nigdy wcześniej nie zwracałam na nią uwagi, bo też nie było w niej nic dziwnego, nie mówiąc o tym, że mnie jeszcze kilka miesięcy temu w ogóle nie przysłoby do głowy, by szperać w przeszłości teściowej.

Nie namyślając się długo, odkleiłam kartonik przymocowany samoprzylepną taśmą. Pod spodem widniał inny napis, wykonany odręcznie piórem wprost na tkaninie, którą pociągnięte było wieko kufra od wewnętrznej strony. Choć niewątpliwie starszy i trochę rozmyty, lepiej był widoczny od nazwiska teściowej na zerwanej przeze mnie etykietce. Pewnie dlatego, że ta chroniła go przed wyblaknięciem.

Ostatnio coraz słabiej widziałam z bliska, kupiłam już sobie nawet okulary, lecz z odczytaniem tego tekstu nie miałam najmniejszego problemu.

– Józef Wiecha – wyszeptalam, nie mogąc uwierzyć, że moje podejrzenia się potwierdziły.

Piątek, 4 sierpnia 1944

Marta stała oparta o rower u wylotu leśnej alei, po której Franek wracał z pracy do domu. W pierwszej chwili pomyślał z ulgą, że zawsze to lepsze, niż gdyby ponownie czekała na niego przed kopalnią. Zatrzymał się, niepewnie uśmiechając się do kuzynki.

– Wymyśliłeś coś? – spytała, patrząc na niego wyczekująco.

– Tak z dnia na dzień? – próbował się wykręcić.

– Dla chcącego nic trudnego. Ja wymyśliłam.

Pełny złych przeczuć, oparł rower o pień drzewa. Marta zrobiła to samo. Podeszła do niego i pocałowała go w policzek. „Specjalnie włożyła dziś bluzkę z większym dekoltem niż wczoraj?” – zastanowił się, kiedy poczuł, jak ociera się o niego piersiami. W mimowolnym geście zacisnął ręce, jakby stając do walki. Z nią i z samym sobą.

– Co udało ci się wymyślić? – zapytał z niepokojem.

– Okazja nadarzyła się sama. W sobotę możemy być razem. Przez całą noc.

– Uśmiechnęła się filuternie, bawiąc się kosmykiem włosów.

Opowiedziała mu o wyjeździe rodziców do wuja Antoniego, który miał duże gospodarstwo rolne w oddalonych o dwadzieścia kilometrów Śmiłowicach. Antoni prosił Józefa, swego brata, by przyjechał wraz z żoną pomóc mu przy żniwach – spóźnionych w tym roku z powodu deszczowego lipca. Marta miała zostać, przypilnować domu, nakarmić kury, króliki i psa.

– Rodzice będą się cieszyli, jeżeli dotrzymasz mi towarzystwa. Twoja Tereska chyba też nie będzie miała nic przeciwko temu? – spytała Marta fałszywie niewinnym głosem.

Milczał. Miał świadomość, że dziewczyna, o której nie wątpił już, że rozpacz popchnęła ją w szaleństwo, uważnie mu się przygląda. Studiuje wyraz jego twarzy. Wyciąga wnioski. Jeżeli wydedukuje, że nie jest zachwycony jej propozycją, to może to się źle skończyć.

„Józef Wiecha pomaga partyzantom” – przeczyta komisarz w Błędowicach albo, co gorsza, gestapo w Cieszynie. A potem – lepiej nie myśleć, co będzie się działo.

Z własną mimiką nie potrafił sobie poradzić. Jedynym rozwiązaniem było ukryć twarz przed oczami dziewczyny. Przyciągnął ją do siebie, objął ramieniem. Już nie mogła patrzeć mu w oczy ani widzieć niepokoju, irytacji i zakłopotania, które malowały się na jego twarzy.

– Dobrze, będę u ciebie – obiecał cicho.

I znowu się całowali. Ale tym razem nie czuł podniecenia, tylko narastający strach.

– Będę u ciebie, Martuś. Jutro wieczorem – obiecał, żegnając się z dziewczyną.

Rozdział IX

Nasza klasa

– Wychodzisz? – spytał Wiesław, marszcząc brwi, a w jego głosie bardziej niż zdziwienie słychać było dezaprobatę.

– Postanowiłam, że wpadnę jednak na chwilę na to spotkanie klasowe – odparłam, kontynuując robienie makijażu.

Zaproszenie na spotkanie koleżeńskie z liceum otrzymałam już parę tygodni temu. Wtedy nie miałam pewności, czy uda mi się być w tę sobotę w Piotrkowie. Później kompletnie zapomniałam o imprezie. Przypomniałam sobie o niej zupełnie przypadkowo, wyjmując z piekarnika pieczeń na dzisiejszy obiad. Uznałam, że to w końcu niezły pretekst, by wyrwać się na chwilę z domu, gdzie nie potrafiłam przestać myśleć o chorej teściowej i jej tajemnicy.

– Spotkanie klasowe? Nie wspominałaś o nim wcześniej. Ale cóż, idź, jeżeli chcesz, nie ma sprawy – bąknął Wiesław bez przekonania i włączył laptop.

Postanowiłam nie przejmować się jego nastrojem ani nie dopuszczać do siebie poczucia winy, tego wewnętrznego głosu, który podszeptował mi, że może jednak nie powinnam wychodzić, skoro przyjechałam do domu tylko na weekend, a w dodatku mama jest ciężko chora.

„Mama czuje się lepiej, a teraz jest z nią Agata. Później może ją zastąpić Wiesław, w końcu to jego matka” – ucięłam w myślach swoje wątpliwości.

Postanowiłam iść na piechotę. Do restauracji, w której miał odbyć się zjazd, nie było daleko. Piętnastominutowy spacer dobrze mi zrobi, a poza tym dzięki temu, że nie zabrałam samochodu, będę mogła napić się wina czy nawet czegoś mocniejszego. Czuję, że potrzebuję tego.

Cmoknęłam Wiesława w policzek (nie zareagował) i wyszłam. Było słonecznie, ale niezbyt gorąco, lekki, świeży wiaterek podnosił moją lekką sukienkę ze sztucznego jedwabiu i skutecznie chłodził powietrze. Próbowałam cieszyć się delikatnymi, pierzastymi chmurkami na błękitnym niebie i kwitnącymi różami na skwerach, lecz jakoś nie potrafiłam wykrzesać z siebie radosnego nastroju. Ciągle miałam wrażenie, że przygniata mnie stary czarny kufer leżący na dnie szafy teściowej.

Na imprezie nie czułam się o wiele lepiej. Bez większego zainteresowania przysłuchiwałam się koleżankom, które chwaliły się albo tym, jak wspinają się po szczeblach kariery zawodowej, albo niezwykle udanymi dziećmi, które są najlepszymi studentami jeśli nie na uczelni, to przynajmniej na roku. Rozmowy panów również kręciły się wokół kilku podobnych tematów. Pierwszy – wspinanie się po szczeblach kariery – był identyczny jak u kobiet. Tematem numer dwa były samochody jako symbole zamożności i pozycji społecznej, trzecie miejsce w tym

rankingu zajmowały kosztowne sporty (golf, nurkowanie na rafach koralowych) – tak samo będące nieodzownymi atrybutami mężów sukcesu.

Tylko ja milczałam. I Antek. Przysiadł się do mnie, korzystając z okazji, że zajmująca miejsce po mojej prawej ręce Ewa wyszła z kilkoma koleżankami na taras.

– Kasiu, nie wierzę, że ty nie masz czym się pochwalić. – Uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

– E tam... Coś by się pewnie znalazło, ale może po prostu nie mam ochoty na tego typu zabawę? Ty też zresztą nie bierzesz udziału w tej licytacji – odparłam. Cieszyłam się, że podszedł do mnie.

– Masz rację. – I kolejny uśmiech. Antek był równie miły jak kiedyś, w czasach, gdy chodziliśmy do liceum i gdy, choć przez krótki tylko czas, był moim chłopakiem. To było przedtem, nim w trzeciej klasie podjął decyzję, że pójdzie do seminarium.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że wszyscy nasi koledzy i wszystkie nasze koleżanki są tak świetnie ustawieni w życiu. Ty w to wierzysz? – spytałam, jednym uchem wychwytyjąc kolejne przechwałki dobiegające z przeciwnej strony stołu.

Spoważniał i zdecydowanie pokręcił głową.

– Absolutnie nie wierzę. Znam takich ludzi sukcesu, którym wszystko w życiu się układa. A przynajmniej tak się prezentują. A potem przychodzą do konfesjonału i dowiaduję się, jak im ciężko. Spowiadają się nie tylko z grzechów, ale też z bolączek swojego życia. A to żona go zdradza, a to z największym trudem radzi sobie z ratami hipotecznymi. Ledwo dorosłe dzieci zupełnie o nim zapominają... Teraz, kiedy mam parafię w Gdańsku, a więc w dużym mieście, o wiele częściej słucham takich historii niż dawniej, kiedy byłam na wsi.

– To bardzo fajnie, że zdecydowałaś się przyjechać znad morza. Nie było cię chyba na poprzednim spotkaniu? – zmieniłam temat.

– Może miałem nadzieję, że po latach cię wreszcie zobaczę?

Milczałam przez chwilę, sącząc wodę mineralną (wbrew pierwotnym planom jakoś nie zdecydowałam się na wino ani tym bardziej na wódkę). Zastanawiałam się, czy – podobnie jak parafianie Antoniego – nie poprosić go o spowiedź. I opowiedzieć mu o tym, co on nazywał bolączkami życia.

– Nie wyglądasz na szczęśliwą. Coś w domu nie tak? – spytał ostrożnie. Zauważyłam, że bacznie mi się przygląda.

– Można by to tak ująć. Ale to nie to, co sobie wyobrazasz.

– Niczego sobie nie wyobrażam.

Spojrzałam mu w oczy. Równocześnie uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Wyjdziemy do ogrodu? – zaproponował. Skinęłam głową.

Dopiero kiedy razem opuszczaliśmy lokal, koleżanki, do tej pory zajęte swoją monotematyczną rozmową, zwróciły na nas uwagę.

– No wiesz, Kasiu?! Nie zapominaj, że Antek jest teraz księdzem! – zawołała któraś z nich, a pozostałe zaczęły chichotać.

– Nie zapominam. Przynajmniej mam pewność, że nie jest żonaty – odparowałam.

Wyszliśmy do ogrodu przez taras, mijając inną grupkę koleżanek i kolegów. Usiedliśmy na ławeczce w głębi, ukrytej przed wzrokiem rozmawiających na tarasie.

– W końcu niezłe miejsce wybrały dziewczyny na tę imprezę. Zacisnie tu, przyjemnie – stwierdziłam. A potem dodałam cicho: – Przepraszam za tę głupią uwagę przy wyjściu. Po prostu mnie zdenerwowały.

Antoni roześmiał się i w uspokajającym geście dotknął mojej dłoni.

– Właśnie tak to zrozumiałem, niepotrzebnie się usprawiedliwiasz.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Czułam się dobrze, bezpiecznie i spokojnie. Choć nie widziałam Antka co najmniej dziesięć lat, byłam pewna, że nie będzie miał żadnych głupich uwag ani – choć niektóre jego zdania mogły zdawać się kokieteryjne – nie będzie mnie podrywał. Po prostu można będzie z nim po ludzku porozmawiać. Postanowiłam od razu wyrzucić z siebie to, co najbardziej mi ciążyło.

– Jak mam odnosić się do człowieka, który jest mi bliski i którego kocham, lecz o którym dowiedziałam się, że ma na sumieniu coś niewybaczalnego? – spytałam, przerywając milczenie. Antek nie wyglądał na zdziwionego tym pytaniem. Spodziewał się moich zwierzeń.

– Dla Boga nie ma rzeczy niewybaczalnych. Ale rozumiem, że chodzi o coś, co tobie trudno wybaczyć tej osobie... Mąż cię zdradził?

– O nie! – zachnęłam się. – A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Chodzi o teściową, o jej przeszłość. Odkryłam, że... prawdopodobnie była winna śmierci swoich rodziców. To było w czasie wojny. Tylko nie pytaj mnie, skąd się o tym dowiedziałam!

– Mogę nie pytać, chociaż właśnie to może mieć kolosalne znaczenie. Sama ci o tym powiedziała?

Pokręciłam głową.

– A więc wyszperałaś coś w listach, a może dokumentach, a reszty się domyśliłaś? Tylko czy twoja interpretacja nie jest błędna?

Pomyślałam o kufrze, który kilkanaście godzin temu wyciągałam z szafy. O zerwanej etykietce. Poczulałam, że oblewam się rumieńcem. Wołałam teraz nie patrzeć na Antka.

– Opowiedziała mi o tym pani, która była świadkiem tego wydarzenia. To znaczy niezupełnie świadkiem... – zaczęłam się plątać w swoich wypowiedziach. – Ona miała wtedy co prawda dopiero trzynaście lat, ale... Podśluchiwała pewną rozmowę, z której wynikało, że...

– Skąd wiesz, że to, co ci opowiedziała, jest prawdą? – przerwał mi ksiądz. Czułam napięcie w jego głosie.

– A dlaczego miałyby kłamać?

– Nikt tu nie mówi o kłamstwie. Ale zastanów się: jak dawno to się wydarzyło? Przed siedemdziesięciu laty? Czy jesteś pewna, że owa kobieta wszystko dokładnie zapamiętała? I, co ważniejsze, że wówczas, będąc trzynastoletnią smarkulą, prawidłowo odebrała to, co przypadkowo podsłuchiwała?

Milczałam. Nie umiałam odpowiedzieć na te pytania. Sądzę zresztą, że Antoni nie spodziewał się odpowiedzi.

W uspokajającym geście otoczył mnie ramieniem. Kątem oka zarejestrowałam, że towarzystwo z tarasu przesunęło się w głąb ogrodu. Stali kilkanaście metrów od nas i ukradkiem nam się przyglądali. Byłam pewna, że zupełnie inaczej zinterpretowali przyjacielski gest Antka.

Być może tak samo błędnie, jak ja zinterpretowałam przeszłość Marty Bazylicz.

– Wracając do twojego pierwszego pytania – nawiązał ksiądz – jak odnosić się do kogoś, kto popełnił coś złego. Mogę powiedzieć jedno: tak samo jak do każdego innego człowieka. Być może ktoś inny, kogo też dobrze znasz i z kim spotykasz się na co dzień, ma o wiele gorsze rzeczy na sumieniu, a ty wcale nie masz o tym pojęcia. Wiem, że to zabrzmiało banalnie, ale wszyscy przecież jesteśmy grzesznikami. Kto z nas ma prawo ustalić tę delikatną granicę, za którą leżą uczynki na tyle złe, że mamy prawo potępiać tych, którzy je popełnili?

– A więc mogę lubić i szanować teściową, choćby było prawdą to, czego się o niej dowiedziałam? – upewniłam się. Ledwo postawiłam to pytanie, uświadomiłam sobie, jak dziecinnie ono brzmi.

– Naprawdę sądzisz, że musisz mnie pytać o pozwolenie? – odpowiedział również pytaniem, a ja z uśmiechem pokręciłam głową.

Sobota, 5 sierpnia 1944

Józef obudził się po pierwszej w nocy. Od śmierci Eryka sypiał bardzo niespokojnie. Westchnął. Wiedział, że długo potrwa, nim przepędzi natarczywe, bolesne myśli i na nowo uda mu się pogrążyć we śnie.

Przez chwilę przewracał się z jednego boku na drugi, sprawdzając z niepokojem, czy skrzywienie łóżka nie obudzi Anny. Wyglądało na to, że żona śpi twardo. Józef nie miał pojęcia, że żona tak naprawdę tylko udaje, ponieważ w rzeczywistości bezsenność doskwiera jej tak samo jak jemu.

Po kwadransie poczuł, że musi wyjść za potrzebą. Cicho przesunął się do sieni i przekręcił wyłącznik. Lampa nie zapaliła się. Czyżby pękła żarówka?

„Sprawdzę rano” – pomyślał, po omacku ściągnając z wieszaka starą kamizelkę. Zawrócił z progu. Postanowił zabrać z kuchni papierosy.

Kuchenny wyłącznik zareagował tak samo jak ten w sieni – światła nie było.
– Aha, więc to nie żarówka, ale jakaś awaria – mruknął do siebie.

Noc była ciepła, pełna obiecujących zapachów, które można poczuć tylko latem i które budzą w człowieku niejasną tęsknotę do czegoś nieokreślonego, znanego, a zarazem odległego. Józef stał bez ruchu na środku podwórza, powoli zaciągając się dymem i słuchając uspokajającego cykania świerszczy w trawie. Nagle sielankową ciszę przeciął huk. Szewc drgnął. Odgłos powtórzył się raz, drugi, trzeci. Józef był pewien, że to strzały. Dochodziły od strony stojącej niedaleko gospody Izydora Mokrosza, który był kuzynem wójta. Wzdrygnął się. Pospieszenie zgasił papierosa i wrócił do domu.

W rzeźni tego dnia było niezwykle cicho. Tematu, który wisiał w powietrzu, nikt tu nie chciał poruszać (we wsi od dawna szeptano, że rzeźnik utrzymuje stosunki zarówno z oficerami gestapo, jak i z partyzantami, i nie wiadomo było, z kim tak naprawdę trzyma), a inne kwestie przestały być ważne.

Dopiero po wyjściu ze sklepu i rozejściu się do domów gospodynie po cichu dzieliły się wiadomościami. Szeptano, że partyzanci nocą napadli na gestapowców hulających w gospodzie. Nim dotarli do wioski, zerwali druty elektryczne i telefoniczne oraz zatarasowali drogę do Cieszyna. Zabici wciąż leżeli w gospodzie, bo prowadzone było śledztwo.

– Zginął także jeden z partyzantów – szeptała stara Nalewajkowa. Lecz takim scenicznym szeptem, który słyszeli wszyscy naokoło.

Marcie mocniej zabiło serce. „Czy to on? Czy to ten, o którym nakłamałam Frankowi?”

– Jesteś taka ładna... Kiedy cię zobaczyłem z tyłu, na chwilę uległem złudzeniu, że to moja dziewczyna. – Jasnowłosy chłopak uśmiechnął się do niej, gdy kilka dni temu zjawił się nagle przy studni w ogrodzie ich domu. Posługiwał się poprawną polszczyzną, z pewnością nie był miejscowy.

– Co tu robisz? Kim jesteś? – spytała nerwowo, starając się szybko zasłonić odkryte partie ciała.

– Szukam szewca.

– Chcesz zamówić buty?

– Powiedzmy.

– Nigdy cię tu nie było – zauważyła podejrzliwie.

– Ten, co zwykle przychodzi, nie mógł dziś przyjść.

Od razu się domyśliła, że to partyzant.

– Ojca chwilowo nie ma. Będzie wieczorem.

– Już jest wieczór.

– Później wieczorem, rozumiesz?

Ręcznik nagle zsunął się z jej boków. Wzrok chłopaka ślizgał się po jej brzuchu. Choć zapadał już zmrok, było jeszcze na tyle jasno, że nie mógł przeoczyć blizny.

– Co ci się stało? Nieładnie to wygląda – stwierdził.

Czuła, jak pąsowieje. Szybko otuliła się na nowo ręcznikiem. Dostrzegł, że mocno się zmieszała.

– Przepraszam, nie chciałem ci zrobić przykrości.

– Idź sobie, Józefa nie ma.

– Czy nie mógłbym zaczekać?

Zawahała się.

– Nie musisz się mnie bać, naprawdę. Nie zrobię ci krzywdy – zapewnił pospiesznie. – Mam dziewczynę, bardzo ją kocham. Niestety, już długo nie mam od niej żadnych wiadomości.

– Ja mam wiadomości o moim... chłopaku.

– W takim razie ci zazdroścę.

– Nie żyje. Zginął dla Rzeszy i Führera.

– Och!

– Idź sobie – powtórzyła Marta lodowatym tonem.

Poszedł. Przeskoczył parkan i schylony umykał między polami w stronę lasu. Nie spostrzegł, że za jednym z ogrodzeń stał młody mężczyzna i zaciągał się papierosem.

– Hej, ty tam! Zatrzymaj się! – zawołał półgłosem.

Chłopak zwolnił i powoli się odwrócił. Bał się, że padnie strzał.

– Co się tak czaisz, jakbyś był jakimś... bandytą?! – zapytał tamten, patrząc na niego spode łba. Chyba jednak nie miał przy sobie broni. – Nie znam cię, skąd się tu wzięłeś?

– Jakim tam bandytą! – Uciekinier machnął ręką lekceważąco. Błyskawicznie wymyślił wiarygodne wyjaśnienie. – Od dziewczyny uciekam i tyle. Jej ojciec nie lubi mnie, delikatnie mówiąc, a właśnie ma wrócić do domu.

– Nie jesteś tutejszy, prawda? Tak poprawnie mówisz po polsku i z takim akcentem – stwierdził mężczyzna zza płotu.

– Macie rację, nietutejszy. Jestem na służbie w folwarku w Cierlicku – zmyślał dalej partyzant, modląc się w duchu, by ciekawski sąsiad nie zapytał, jak nazywa się właściciel owej posiadłości.

– I od dziewczyny uciekasz? Od Wiechowej córki?

– No tak... Bardzo was proszę, nie zdradźcie mnie. Miałyby piekło z mojego

powodu. – Chłopak wczuł się w rolę prześladowanego kochanka, zatroskanego o swoją ukochaną.

– Nie bój się, nie zdradzę. – Twarz mężczyzny wykrzywiła się w dziwnym grymasie, który miał przypominać uśmiech. „Nie przed Wiechą” – dodał w myślach sam dla siebie.

Zgasił papierosa i poszedł w stronę domu. Na ganku kręciła się, paplając po dziecinnemu, jego dwuletnia córka. Wziął ją na ręce.

Brunon Kubik był człowiekiem zamkniętym w sobie. Nie szukał towarzystwa, nie interesowało go, jak żyją sąsiedzi. Choć niektórym zazdrościł, to fakt. Na przykład szewcowi. Był przekonany, że jego warsztat nawet w czasie wojny dobrze prosperuje.

Nie pozwoli, by kręcili się tu naokoło podejrzani osobnicy. Musi przecież chronić swoją rodzinę. Cmoknął dziecko w policzek i postawił je na ziemi.

Partyzant tymczasem przedzierał się już przez las. Pełen był złych przeczuć.

Teraz buty nie były mu już potrzebne. To chyba właśnie on leżał w gospodzie Mokrosza. Marta była o tym święcie przekonana, pomimo że tak naprawdę ofiarą mógł być ktoś zupełnie inny.

Przy ladzie w sklepie natknęła się na Helę Kuncównę. Zauważyła, że we włosach, pieczołowicie okrytych chustą, ma papiloty.

– Witaj, długo cię nie widziałam. – Hela przyjaźnie się do niej uśmiechnęła. Nigdy specjalnie się nie przyjaźniły, lecz znały się ze szkoły. Hela była o trzy lata młodsza od Marty, niedawno obchodziła osiemnaste urodziny.

– Witaj – odpowiedziała Marta, siląc się na uśmiech. Ani na moment nie mogła przestać myśleć o tym, że to Hela miała być pierwszą (i ostatnią) kochanką Eryka.

Załatwiły sprawunki. Marta otrzymała większy przydział mięsa, Hela mniejszy, choć była z liczniejszej rodziny. To dlatego, że jej rodzice nie podpisali volkslisty.

– Robię fryzurę, bo dziś wieczorem wybieram się na potańcówkę do Cierlicka – powiedziała Hela podekscytowanym szeptem, kiedy wyszły ze sklepu. Marta wiedziała, że młodzi Polacy, którym nie wolno było chodzić na oficjalne imprezy towarzyskie, organizowali prywatki w domach, najczęściej stojących gdzieś na uboczu. Szczelnie zamykali okna, robili zaciemnienie i tańczyli przy harmonijce lub akordeonie.

– Ja wieczory spędzam w domu, mamy żałobę – powiedziała Marta, specjalnie podkreślając ostatnie słowo.

Hela się spieszyła.

– Wiem, oczywiście. Przykro mi z powodu Eryka... Mówiłam już twojej

mamie...

– Tak, powtórzyła mi – przerwała jej szorstko Marta. – Nie gniewaj się, muszę iść. Przyjemnej zabawy dzisiejszej nocy.

Droga na rowerze przez las nie trwała nawet dziesięciu minut. Dla Franka taka odległość to była pestka – codziennie jeździł na bicyle, czy to do pracy, czy z wizytą do Tereski – wszędzie, gdzie było trzeba. Tylko zimą, kiedy spadł śnieg, odstawiał pojazd do szopy i chodził na piechotę. Tej soboty był jednak tak zmęczony, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, że z trudem, ze zroszonym od potu czołem, dotarł do domu Wawreków.

Ojciec Tereski kręcił się po podwórzu, jak zwykle pykając z fajki. Ożywił się, widząc Franka.

– Szczęść Boże, panie Wawrek – przywitał się młodszy z mężczyzn, zeskakując z siodełka.

Jego potencjalny teść nie odwzajemnił nawet powitania. Od razu przeszedł do rzeczy.

– Co się tam, na Boga, u was w Żywocicach dzieje? – Chwycił chłopaka za rękaw i zawisł spojrzeniem na jego ustach.

– A więc wieści dotarły już do Suchej – domyślił się Franciszek.

Usiedli razem pod jabłonią, na zmajstrowanej przez gospodarza ławce. Franciszek powtórzył wszystko to, o czym od rana huczało w całej wsi. O napadzie partyzantów na gospodę i zabitych gestapowcach, o żonie jednego z nich, którą w ciężkim stanie przewieziono do szpitala. W międzyczasie zbiegła się cała rodzina: Tereska (Franek powitał ją czułym uśmiechem i ściśnięciem dłoni), jej bracia i matka. Wszyscy słuchali w napięciu, domagając się szczegółów.

– Nic więcej nie wiem. – Franek bezradnie rozłożył ręce. – Zresztą czasem trudno odróżnić fakty od plotek. A poza tym... Od rana kosiliśmy ze szwagrem owies, stawialiśmy snopki, nie chodziłem po wsi i nie dopytywałem się nikogo o szczegóły.

Wawrekowie pokiwali głowami ze zrozumieniem i rozeszli się do swoich zajęć. Zostali tylko Tereska i jej ojciec.

– O Boże, Boże... Niedobrze to się skończy... U nas, w Suchej, zastrzelili tylko przesiedleńca z Besarabii, a jakie były następstwa?! Pięciu Polaków na szubienicy, a kolejni w aresztach i obozach... Aż strach pomyśleć, jak Niemcy będą się mścili za śmierć gestapowców. – Starszy pan niespokojnie potrząsał fajką.

– Obyście nie mieli racji – stwierdził ponuro Franek, przeczuwając, że słowa Wawreka mogą być prorocze. Przed oczyma miał obraz, któremu zmuszony był przyglądać się zaledwie kilka dni temu: więźniów huśtających się na szubienicy.

– Tak się cieszę, że jesteś – szeptała rozpromieniona Tereska, kiedy zostali sami. – Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

Głaskał ją czule po twarzy opuszkami palców, odsuwając niesforne, faliste włosy, które zawsze, odkąd pamiętał, wysuwały się z warkocza. I od razu oczyma wyobraźni zobaczył Martę – tak samo, choć na inny sposób, piękną, z włosami gładkimi, prostymi, jaśniejszymi od tych, które miała Tereska.

– Co cię martwi? – spytała dziewczyna. Nie uszło jej uwagi, że Franek przeżywa jakieś rozterki. – Te nocne wydarzenia u was?

Był jej wdzięczny, że podsunęła mu gotową, choć tylko po części prawdziwą, odpowiedź. Skinął głową.

– Ale tobie nic nie zagraża, prawda? – spytała szybko. Przez jej twarz przemknął cień niepokoju. – Ta gospoda nie stoi przecież blisko waszego domu? Gdyby aresztowali sąsiadów, nie będziesz pod ręką?

– Nie, wręcz przeciwnie, gospoda Mokrosza jest na odwrotnym końcu wsi – zapewnił Franek. „Kawałek od Wiechów, od Marty” – dodał w myślach sam dla siebie. – Nie boję się o siebie, nie ma powodu, by ktoś mnie lub kogoś z naszej rodziny podejrzewał o kontakty z partyzantami...

– Więc widzisz! Wszystko będzie dobrze. – Tereska wtuliła głowę w jego pierś. Było jej tak dobrze i lekko, jakby ktoś zdjął ciężar z jej pleców. Dobrze wiedziała dlaczego. Wreszcie rozcięła ten węzeł. Już nie będzie nikogo okłamywała. Kilka dni temu wysłała list do Gustawa, inny od wszystkich poprzednich. Wreszcie jasno postawiła sprawę: „Nie gniewaj się, proszę. Było nam razem dobrze. Ale to już przeszłość. Zrozumiałam, że kocham kogoś innego i że z nim chcę być. Dokonałam wyboru. Wierzę, że mi wybaczysz. Życzę Ci wszystkiego dobrego”. Nie chciała wyobrażać sobie, jak jej ekschłopak przyjmie to wyznanie. Dla niej ważne było to, że wreszcie zdobyła się na odwagę, by przelać je na papier. Na odwagę? To raczej strach, że wszystko się wyda, coraz bardziej ścisłał ją za gardło i zmusił do radykalnego cięcia.

– Zostaniesz u nas na kolację, prawda? – Uśmiechała się teraz do swojego narzeczonego.

– Nie jestem głodny, mieliśmy żniwa i mama ugotowała porządny obiad. Właściwie wpadłem tylko na chwilę. Bo nie wiem, czy będę jutro...

– Miałeś mieć przecież wolną niedzielę. – Tereska posmutniała. W niedzielę, o ile nie musiał iść do pracy, zawsze ją odwiedzał i mieli dla siebie całe popołudnie. Dzisiejsza krótka wizyta ma zastąpić niedzielną randkę?

– Mam wolną niedzielę, ale... niezupełnie. – Franek starał się z całych sił, by ani głos, ani wyraz twarzy nie zdradziły go tym razem. – Wuj Antoni ze Śmiłowic prosił mnie, bym razem z wujem Józefem przyjechał pomóc mu w żniwach. U nich jest duże gospodarstwo, a po tegorocznych deszczach, kiedy już tyle zboża się

zmarnowało, nie można odkładać zbiorów tylko dlatego, że jest niedziela. Antoni jeszcze dziś wieczorem wyśle po nas furmana z wozem. Przenocujemy u niego, by wczesnym rankiem zabrać się do pracy.

– Trudno – westchnęła Tereska. Nadal żal jej było wspólnie spędzonej, słonecznie zapowiadającej się niedzieli, lecz wiedziała, że nie może robić Frankowi wyrzutów. Powinna raczej się cieszyć, że to taki pracowity chłopak, skory każdemu do pomocy. Będzie miała dobrego męża. To było ważniejsze niż jedna stracona randka. Będą przecież następne.

– Zostajesz w domu? – zdziwiła się matka, widząc, że Franek zamiast stroju do wyjścia włożył piżamę. – Mówiłeś, że Józef prosił, byś pod ich nieobecność dotrzymał towarzystwa Marcie?

– Była o tym mowa, ale w końcu... Marta zapewniła ojca, że nie boi się jednej samotnej nocy – skłamał Franek.

Mama nie zadowolila się tą odpowiedzią.

– Może jednak lepiej by było, gdybyś tam poszedł i został z nią. Pamiętasz, co opowiadała Anna? Dziewczyna dziwnie się zachowuje po śmierci Eryka.

„Mamo, czy wiesz, do czego mnie namawiasz?!” – zaprotestował. Ale tylko w duchu. Na głos powiedział zdecydowanie:

– Mamo, po prostu uzgodniliśmy, że nie będę u nich nocował. I kropka.

Matka wzruszyła ramionami i udała się do sypialni, by uklęknąć pod dużym krzyżem wiszącym nad jej łóżkiem i podziękować Bogu, że synowi i zięciowi udało się szczęśliwie zebrać zboże.

Franek zwałił się na łóżko. Był zmęczony i targaly nim sprzeczne emocje. A jednak był przekonany, że podjął słuszną decyzję. W ostatniej chwili, a jednak... Nie pozwolił się wplątać w sidła, zmobilizował resztę sił, by oprzeć się wydarzeniom, które zdawały się nieuniknione. Jeszcze parę godzin temu był zdecydowany spędzić tę noc z Martą. Wydawało mu się, że nie ma innego wyjścia, że po prostu musi to zrobić. Co gorsza – w pewnym sensie była to kusząca propozycja. Oparł się jej resztką sił.

Nie chciał myśleć o tym, co teraz robi Marta. O tym, że zapewne nerwowo przechadza się z miejsca na miejsce, czekając, kiedy wreszcie on, Franek, zastuka do drzwi. O jej rozczarowaniu, złości, rozpacz – uczuciach, które niewątpliwie ją ogarną, kiedy wreszcie zrozumie, że Franek nie dotrzymał słowa. Nie chciał dopuścić do siebie świadomości, że być może właśnie tej nocy dziewczyna przygotowuje donos na człowieka, który uratował ją, gdy była małą dziewczynką, i który przez lata się nią opiekował.

To wszystko mogło się wydarzyć, a jednak ani przez chwilę nie wątpił, że podjął słuszną decyzję.

„Niech się dzieje wola Boża” – pomyślał, próbując się modlić w środku nocy. Sen nie nadchodził.

Kiedy wreszcie nadszedł – nad ranem – i mężczyzna odpłynął w błogą nieświadomość, w stan, w którym nikt niczego od niego nie oczekiwał i nie kazał mu ponosić za nic odpowiedzialności, obudziły go dochodzące gdzieś z oddali strzały.

Rozdział X

Pożegnanie

– Do kogo pani przyszła? Spóźniła się pani. Już po godzinach odwiedzin – skarciła mnie pielęgniarka dyżurująca przy drzwiach prowadzących na oddział intensywnej opieki. Wiedziałam doskonale, że się spóźniłam, wszyscy odwiedzający właśnie wychodzili. Tylko Wiesława nie było widać, a komórki nie odbierał. Kiedy rano rozmawialiśmy przez telefon, zapewniał, że będzie u mamy.

– Do pani Marty Kulesz. Przepraszam za spóźnienie, ale dopiero co przyjechałam z Czech. Pracuję tam – tłumaczyłam ze skruchą.

Siostra poprawiła pod czepkiem brązowe włosy, w których dojrzałam pierwsze siwe kosmyki. Była pewnie o kilka lat starsza ode mnie.

– Ach, do pani Kulesz... Jest pani jej córką?

– Prawie że. Synową...

– Pani mąż właśnie jest u mamy – powiedziała pielęgniarka głosem o wiele łagodniejszym niż przed chwilą. Spojrzałam jej prosto w oczy i zrozumiałam: mama umiera. Czulałam, że uginają się pode mną kolana.

– Więc jak? Pozwoli mi pani wejść? Na chwilę? – poprosiłam cicho.

– Proszę bardzo. Pokój numer trzy – odpowiedziała, próbując wymuszonym uśmiechem dodać mi otuchy.

Staruszka leżała z przymkniętymi powiekami. Do ręki miała podłączoną kroplówkę, na twarzy maseczkę tlenową. Jej ręce – wychudłe, niemal przezroczyste – bezwładnie spoczywały na kołdrze. Wiesław mechanicznie głaskał je swoją dużą, męską dłonią.

Objęłam go krótko na powitanie, potem pochyliłam się nad teściową.

– Mamo! Mamo... Przyjechałam do ciebie. Jestem tutaj – odezwałam się półgłosem. Chora nie poruszyła się, nie mrugnęła nawet.

Bezradnie spojrzałam na męża. Pokręcił głową z rezygnacją.

– W ogóle nie reaguje. Próbowaliśmy z nią rozmawiać, ale nic to nie dało... Lekarz mówił... – Głos Wiesława się załamał. – Mówił, że... że... daje jej najwyżej dwa dni...

Patrzyłam na umierającą kobietę i nagle absurdalne wydało mi się całe moje żywociekie śledztwo. I co z tego, że odkryłam tajemnicę mamy? Byłabym w stanie powiedzieć jej o tym, nawet gdyby nie była ciężko chora? Mam prawo ją sądzić?

Kiedy w przejmującej szpitalnej ciszy zadzwoniła komórka w mojej torebce, aż podskoczyłam. Z niepokojem spojrzałam na mamę. Leżała wciąż tak samo, bez ruchu. Wydierający się telefon nie docierał do jej świadomości. Wyłowiłam aparat

z przepastnego wnętrza.

– To Agata? – spytał Wiesław. – Próbowałem się do niej dodzwonić jakiś czas temu, ale jej aparat był wyłączony.

Zaprzeczyłam ruchem głowy i czerwonym przyciskiem odrzuciłam rozmowę. To był Marcin. „Jestem w szpitalu u teściowej. Źle z nią” – wystukałam szybko SMS-a i wsunęłam telefon z powrotem do torebki.

– Kolega z pracy – wyjaśniłam krótko mężowi.

Nie minęła minuta, a charakterystyczny sygnał oznajmił, że nadeszła odpowiedź.

„Tym bardziej muszę z tobą porozmawiać. Wyjdź na korytarz i zadzwoń do mnie” – napisał mój tłumacz niemal rozkazującym tonem. Nie miałam wyboru.

– Zaraz wracam. Jakaś ważna sprawa – rzuciłam w stronę Wiesława, który tylko pokręcił głową.

Po korytarzu kręciły się pielęgniarki. Rozwoziły chorym kolację.

– Marcin? Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Czy to aż tak ważne? – spytałam stłumionym głosem.

– Przepraszam, Kasiu, nie chcę ci przeszkadzać – zaczął się usprawiedliwiać, a ja – jak zawsze zresztą, gdy z nim rozmawiałam – poczułam przyływ sympatii do chłopca. – Myślę, że chciałabyś się dowiedzieć tego wcześniej, nim twoja teściowa umrze. Tylko dlatego jestem taki natrętny – dodał szybko.

Przed oczyma stanął mi obraz mamy leżącej tuż za ścianą, pogrążonej w nieświadomości i zdanej na aparaty podtrzymujące funkcje życiowe. Całkowicie bezbronnej. Jej grzechy sprzed dziesiątek lat nie miały teraz żadnego znaczenia.

– Marcin, wiem, że chcesz dobrze i że to ja wciągnęłam cię w tę historię, ale... Wystarczy mi świadomość, że mama wydała swych rodziców w ręce oprawców. A właściwie wolałabym tego nie wiedzieć. Szczegóły już w ogóle nie są mi potrzebne.

Rozłączyłam się. Staralam się nie patrzeć na pielęgniarkę, która właśnie wychodziła z jednego z pokoi i niewątpliwie słyszała moje ostatnie słowa. Telefon zadzwonił ponownie.

– Marcin, proszę cię! – odezwałam się poirytowanym głosem.

– Posłuchaj! – przerwał mi niegrzecznie. – Dotarłem do kogoś, kto ma dowód na to, że twoja teściowa nie zdradziła swoich rodziców!

– Chcesz mnie pocieszyć? – Nie wierzyłam mu. Wyczuł moje wątpliwości.

– Chcę, byś знаła prawdę. Jak wrócisz do Ostrawy, wszystko ci opowiem. Na Wiechów doniósł sąsiad. Nie Marta – powiedział z naciskiem.

Do oczu napłynęły mi łzy. Przez chwilę nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

– Proszę pani, tu jest szpital! Może pani wyjdzie rozmawiać poza oddział? – usłyszałam zdenerwowany głos przechodzącej koło mnie młodej pielęgniarki.

Nie zwracałam na nią uwagi.

– Marcinku... Dziękuję ci. Bardzo ci dziękuję – szeptałam do telefonu łamiącym się głosem.

– Nie musisz dziękować. Trzymaj się, Kasiu!

Rozłączył się, a ja otarłam ręką łzy. Nim zdążyłam nacisnąć kławkę i wrócić do pokoju, w którym leżała Marta, drzwi rozwarły się na oścież. Stał w nich mój mąż – jeszcze bledszy niż przed chwilą.

– Siostro! – zawołał. – Mama się dusi!

Zrobiło się zamieszanie. Pielęgniarki pozostawiły swojemu losowi wózek z posiłkami i pobiegły do pokoju numer trzy. Wkrótce zjawił się również lekarz. Staliśmy z mężem z boku, bezsilnie przyglądając się, jak próbują reanimować mamę. Z napięciem śledziliśmy monitor, na którym kreska nieregularnie podskakiwała, a potem, nieuchronnie, zaczęła się wydłużać.

– Ważna była ta służbowa rozmowa? – spytał mąż z wyrzutem, kiedy mama leżała już martwa, a nam pozwolono jeszcze przez jakiś czas zostać przy niej. Wyglądała teraz nawet lepiej niż przed śmiercią, jej twarz nabrała spokoju, nie szpeciła jej niepotrzebna już maska tlenowa.

– To nie była służbowa rozmowa – powiedziałam cicho.

– Aha. Mogłem się domyślić, że to ten twój student – stwierdził Wiesław beznamietnym głosem.

O nie! Jeszcze takich podejrzeń mi brakowało. Pokręciłam tylko głową w geście rezygnacji.

Po chwili zadzwoniła komórka Wiesława. To była Agata. Słuchałam, jak rozmawiają (Wiesław płakał, córka – jak się domyślam – też), wysyłając w międzyczasie Łukaszowi wiadomość o śmierci babci. Do Marcina też napisałam: „Poszło tak szybko. Mama już nie żyje. Ale jeszcze raz ci dziękuję”.

SMS-y od obu chłopców nadeszły niemal jednocześnie. „Kasiu, wiem, że mocno to przeżywasz. Jestem myślami z tobą” – napisał student, który – byłam o tym święcie przekonana – byłby lepszym synem od mojego własnego.

Z Irlandii nadeszła następująca odpowiedź: „Przykro mi. Jestem z wami. Na pogrzeb chyba nie dam rady przyjechać”.

Niedziela, 6 sierpnia 1944

Hałas ciągle się nasilał, lecz Hela nie potrafiła na dobre się obudzić. Na pół przebudzona świadomość przekonywała drugą, śpiącą połowę, że to tylko sen. Była dopiero piąta rano, a dziewczyna późno wróciła z tajnej potańcówki – w bardzo dobrym nastroju. Chłopak, który od dawna jej się podobał, kilkakrotnie z nią tańczył, a potem odprowadził ją do domu.

– *Ich habe gesagt: Ausweis! Sofort!*

Ten okrzyk był tak głośny, że dziewczyna zerwała się wreszcie z łóżka. Na poddasze, gdzie spała w małej izdebce, dochodziły obce, niemieckie głosy i płacz młodszej siostry. Serce waliło jej jak młotem. Zejść na dół czy raczej zostać na górze?

Cicho uchyliła drzwi i nasłuchiwała.

– *Ich habe keine Volksliste. Ich bin Pole.* – Ojciec właśnie tłumaczył, dlaczego nie posiada wymaganego dokumentu.

Hela prawie nie słyszała jego słów. Zagłuszał je głośny płacz czteroletniej Anielki. Matka starała się ją uspokoić, ale w tym samym momencie rozplakał się również siedmioletni Jaś.

– *Ruhe, Kinder!* – zagrzemiał inny Niemiec. „Ilu ich tam jest?” – zastanawiała się Hela.

Nie namyślała się dłużej. Musi pomóc matce uspokoić dzieci. Otuliła się swetrem i drżąc ze strachu, zaczęła schodzić na dół po wąskich, stromych schodkach. Brat i siostra od razu rzucili się do niej, jakby oczekując, że skoro mama nie wyjaśniła im sytuacji, zrobi to starsza siostra.

– *A, Fräulein!* – Jeden z gestapowców obrzucił Helę bardzo uważnym spojrzeniem. Miała wrażenie, że całą uwagę skupia na tym, by plastycznie sobie wyobrazić, jak wygląda jej ciało pod nocną koszulą. Pozostali dwaj nie zwracali na nią uwagi. Prócz gestapowców obecny był również Fritz Sattler, żandarm z Błędowic. Właśnie kazał ojcu szybko się ubrać.

– Idziecie z nami na przesłuchanie – zarządził tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Jakie przesłuchanie? – wyrwało się Heli.

Zignorowali jej pytanie. Ojciec drżącą ręką otworzył portfel i podał matce banknoty. Hela nie widziała, czy zatrzymał jakieś dla siebie. Zawahał się nad kartkami żywnościowymi.

– Czy będą mi potrzebne? – spytał Sattlera.

Ten niecierpliwie wyrwał mu portfel z ręki.

– Ubieraj się, szybko! – rozkazał.

Ojcu tak drżały ręce, że nie potrafił pozapinać guzików na koszuli. Matka chciała mu pomóc, lecz jeden z gestapowców bezceremonialnie ją odtrącił.

– Nie ma czasu, idziemy! – Popchnął ojca. Ten próbował się odwrócić i pożegnać z rodziną.

– Tato! – Hela sama się przestraszyła własnego krzyku, który nagle bezwiednie wy dostał się z jej krtani. Przypomniała sobie, jak wczoraj kłóciła się z ojcem, kiedy nie chciał jej puścić na potańcówkę.

Przypomniała sobie, jaki cios zadała Erykowi, kiedy go zabierali do Wehrmachtu.

– Tato, tato! – krzyczała bez opamiętania. Odepchnęła od siebie rodzeństwo. Jej wrzask przeraził maluchy jeszcze bardziej niż krzyki Niemców. Skuliły się pod schodami, po których ich siostra zeszła przed chwilą na dół. Już nie płakały. Strach całkowicie je sparaliżował.

Gestapowiec, który rozbierał dziewczynę wzrokiem, chwycił ją za rękę i skręcił nią tak, że teraz Hela krzyknęła z bólu.

– Ty też pójdziesz z nami! – nakazał.

Hela nie słuchała.

– Tato, broń się! – krzyczała. – Mój ojciec nie ma nic wspólnego ani z partyzantami, ani... – Ostatnie słowa kierowała do gestapowców.

– Ani z kim? – podchwycił ten, który miażdżył jej rękę. – A może ty wiesz coś więcej? Idziesz z nami! – powtórzył i brutalnie pchnął ją tak, że upadła na ojca.

– Helenko, opamiętaj się! – syknął tata, pomagając jej wstać. I na głos dodał pospiesznie: – Ona tak bez sensu krzyczy. Oczywiście, że nic nie wie!

Nikogo to nie interesowało.

Dwaj prowadzili ojca między łany zboża.

Dwaj ciągnęli dziewczynę w odwrotnym kierunku. Już nie krzyczała, już nie walczyła.

Już nie myślała o ojcu.

Ani o chłopaku, z którym wczoraj tańczyła.

Ani o matce, ani o rodzeństwie.

Myślała o Eryku. „Nie chciałam na ciebie czekać. Młodość jest za krótka. Twoja była całkiem króciutka. A moja? Czy moja też już się kończy?”

Matka usiadła na schodach i tuliła drżące dzieci.

– Mamusiu, kiedy oni wrócą? Tatko? Helenka? – pochlipywała Anielka.

– Dlaczego ich nie broniłaś? – spytał Jaś gniewnym głosem.

– Jak miałam ich bronić? Widziałeś, co się działo, kiedy Hela próbowała się wstawić za tatą!

Padł strzał. Gdzieś w pobliżu. Od świtu było słychać strzelanie, lecz nie tak blisko jak teraz. Matka wstrzymała oddech. Liczyła upływające sekundy. Chłopiec też liczył.

– Mamo, strzał był tylko jeden. Jak myślisz, zastrzelili tatę czy Helenkę? – spytał po chwili. Rzeczowość tego pytania była zatrważająca.

– Nie wiem... Nie mam pojęcia... – wyszeptała matka. Uklękła na podłodze i zaczęła odmawiać „Ojcze nasz”. Jaś dołączył do niej. Anielka recytowała dziecięcą modlitwę do Anioła Stróża. „Rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź nam zawsze ku pomocy...”

Stanisław Kunc leżał martwy na miedzy. Krew z jego postrzelonej głowy

wsiąkała w ziemię. W tym stanie znalazła go żona, kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę i wyszła z domu. Odetchnęła z ulgą, nie widząc nigdzie w pobliżu ciała córki. Dzieciom powiedziała później, że Niemcy zabrali ją „na taki kurs, gdzie młodych dziewczyn uczą posłuszeństwa”.

– Jeżeli będzie się dobrze sprawowała, to nic jej nie grozi i wkrótce do nas wróci – zapewniła maluchy.

– A skąd możesz wiedzieć, dokąd ją zabrali? – spytał podejrzliwie chłopiec.
– Mój kolega Janek miał ciocię i wujka i ich wywieźli do takiego obozu, gdzie wcale nie było im dobrze. A potem ich rozdzielili i każdego zawieźli gdzieś jeszcze dalej. I ta ciocia tam umarła.

Matka nic na to nie powiedziała.

– A poza tym Heła nie będzie ich słuchała, więc na pewno będą ją bili – dodał maluch.

Marta zerwała się z krzykiem. Znów ten makabryczny sen. Dlaczego wciąż muszą ją prześladować zmory dzieciństwa, gdy tymczasem nie umie sobie radzić z demonami teraźniejszości?

Czy nie wystarczy, że pierwszą myślą, z którą budzi się każdego ranka, jest ponowne uświadomienie sobie faktu, że Eryk nie żyje? A zaraz potem nadchodzi myśl jeszcze gorsza: jej młodszy brat, którego tak kochała, haniebnie ją wykorzystał. I umarł wcześniej, niż mógł ją za to przeprosić.

Czasem popuszczała wodze fantazji i pozwalała sobie na marzenia. Wyobrażała sobie, że Eryk żyje, że wojna się kończy i on wraca do domu.

– *Martusiu, musisz ci coś wyjaśnić – mówi zmieszany, kiedy po powitaniu z rodzicami odciąga ją na bok.*

– *Nie wiem, czy chcę słuchać twoich wyjaśnień – odpowiada zimno Marta.*

Eryk otacza ją ramieniem.

– *Chyba się domyśliłaś, prawda? Kiedy wyjeżdżałem, tamtej nocy... Nie wiem, jak to powiedzieć. Wtedy uświadomiłem sobie, że jesteś jedyną dziewczyną, która tak naprawdę mnie zna, a ja jedynym chłopakiem, który naprawdę zna ciebie. Dlatego doszło do tej... sytuacji...*

Marta milczy. Nie chce mu ułatwiać sprawy.

– *Wiesz, tak naprawdę nie ja rzuciłem Helę, lecz ona mnie. Byłem zagubiony, bałem się wyjazdu na front... Chciałem się przekonać, jak to jest, kiedy chłopak kocha się z dziewczyną. Ty byłaś blisko, ty, która zawsze mnie rozumiałaś... Proszę, nie traktuj tego tak, że cię wykorzystałem. Kocham cię, siostrzyczko... Siostrę mam tylko jedną i nigdy nie będę miał innej.*

Marta ma łzy w oczach. Przytula się do niego.

– *Kocham się, braciszku – mówi szeptem. Czuje się, jakby z jej serca spadł*

glaz. Jest tak, jak być powinno. Są przecież bratem i siostrą. Niczego więcej nie oczekuje od Eryka. Tylko tego, by było jak dawniej. – Najważniejsze, że żyjesz – szepcze, tuląc go jeszcze mocniej.

W tym miejscu sielankowa scena z marzeń zwykle się urywała. Na jej miejsce wchodziła bolesna rzeczywistość. W śnie dołączały do niej lęki z przeszłości, z czasów, gdy była małą dziewczynką. Obecnie, kiedy dusza Marty była obolała, pojawiały się coraz częściej. Tak samo jak agresywna choroba łatwiej atakuje osłabione przez inną chorobę ciało.

„Tym razem sen był inny” – uświadomiła sobie Marta, gdy jej oddech się uspokoił. W koszmarze nie było ani ognia, ani ojca szykującego sobie pętlę, na której za chwilę zawisnie, za to były strzały.

„Całe szczęście, że już świta” – pomyślała dziewczyna, spoglądając w stronę okna. Ranek przepędzał demony nocy, ranek to, pomimo bolesnych myśli, z jakimi zwykle się budziła, najbardziej optymistyczna pora dnia.

Myliła się. Ten niedzielny ranek był inny.

Ponownie usłyszała strzał. Całkiem blisko. A więc to nie był sen. Serce zabiło jej mocniej. Co się dzieje? Podeszła do okna i ostrożnie podniosła zaciemnienie. Na dworze nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego. Uchyliła okno, wpuszczając do środka rześkie powietrze. Która to godzina? Dopiero szósta. Postanowiła się położyć i raz jeszcze zasnąć.

W tym momencie odezwał się przeraźliwy kobiecy krzyk, a za chwilę padł strzał. Całkiem blisko.

– O Boże – jęknęła Marta. Zaczęła naprawdę się bać. Czy ta strzelanina ma coś wspólnego z wydarzeniem, o którym wczoraj opowiadały kobiety u rzeźnika? – Dlaczego akurat dziś muszę być sama w domu? – zawołała rozpaczliwie.

Miał tu być Franek. Miał leżeć z nią w łóżku, pieścić ją i pocieszać, że już nigdy nie będzie sama.

Wiedziała dobrze, że Franek nie da się tak łatwo usidlić. Dlaczego właściwie starała się go za wszelką cenę poderwać, przywlec do swojego łóżka? Czy wierzyła, że w ten sposób go zdobędzie? Czy uważała, że będzie dzięki temu szczęśliwsza?

Kolejny strzał. To już chyba w sąsiedztwie. Zaraz potem usłyszała głośne kroki, męskie głosy i kołatanie do drzwi. Zamarła ze strachu. Wiedziała, że musi otworzyć. Szybko otuliła się wełnianą chustą, by ukryć koszulę nocną, i otworzyła.

Na progu stali gestapowcy oraz komendant Sattler z Błędowic. Znała go z widzenia, chyba raz lub dwa przyniósł tacie buty do naprawy.

– *Sind hier Männer?* Czy tu są mężczyźni? – spytał urzędowym tonem jeden z tych w szarych mundurach. Nim zdążyła odpowiedzieć, Sattler przerwał mu gestem ręki.

– To dom szewca, który ma volkslistę. W ogóle nie powinniśmy byli tu

przychodzić. Nie uświadomiłem sobie tego od razu – wyjaśnił szeptem.

Marta próbowała uśmiechnąć się do niego.

– Taty nie ma w domu, pojechał do krewnych pomóc przy żniwach – powiedziała miłym głosem.

– *Jawohl!* – odparł komisarz i również wysilił się na mdły uśmiech. Odeszli, nie zadając żadnych dodatkowych pytań.

Dziewczyna trzęsła się tak, że nie była w stanie dowieść się do krzesła, by na nim usiąść. W sieni osunęła się na posadzkę. Serce waliło jej jak młotem. Kiedy wreszcie się uspokoiło, ponownie usłyszała krzyki, a po jakimś czasie kolejny strzał.

„To dom szewca, który ma volkslistę. W ogóle nie powinniśmy byli tu przychodzić” – powiedział Sattler. Co to miało oznaczać? Czy strzelają do tych, którzy nie mają volkslisty?

Chodzą po całej wsi? Zastrzelili Franka? Ponownie zaczęła drżeć jak osika.

Śmierć była nagle tak blisko. Już nie na dalekim froncie, gdzie zginął Eryk, ale w jej rodzinnej wiosce. Ile było tych strzałów? Czy każdy oznaczał jednego martwego? Pytania, które atakowały ją ze wszystkich stron, wydawały się nie mieć końca. Wreszcie przyszła kolej na to najistotniejsze: „Czy naprawdę byłabym zdolna napisać donos na ojca? I patrzeć z zimną krwią, jak go skazują na niechybną śmierć? Przyglądać się, jak matkę wywlekają do więzienia?”

Donos miała już gotowy. Przygotowała go wczoraj w nocy, kiedy zrozumiała, że Franek wystawił ją do wiatru i nie przyjdzie. Na arkuszu papieru ponaklejane były litery układające się w napis: „Józef Wiecha naprawia buty partyzantom”. Wystarczyło go włożyć do koperty i wysłać.

Nie zrobi tego. Siedząc skulona na zimnej posadzce i trzęsąc się z emocji, zrozumiała, że nie byłaby w stanie wydać Józefa i Anny w ręce Niemców. Teraz, kiedy w sąsiedztwie padały strzały i śmierć nabrała bardzo realnych kształtów, uświadomiła sobie, jak straszną zbrodnię zamierzała popełnić.

Ponownie ktoś zastukał do drzwi. Tym razem słabo, jakby bojaźliwie. Na ganku stała sąsiadka. Jej mąż, właściciel dużego gospodarstwa rolnego, również miał volkslistę. Była błada i roztrzęsiona.

– Marto, czy rodzice są w domu?

– Nie – zaprzeczyła. – Wczoraj pojechali do wuja do Śmiłowic. Jestem sama i nie rozumiem, co się wokół dzieje.

– Strzelają do Polaków – wyszeptała Brzózkowa. Jej głos pełen był grozy. – Martwi leżą na miedzach... Nawet naszego parobka zastrzelili.

Tereska klęczała w swoim pokoiku przed obrazem Matki Boskiej. Od rana na przemian modliła się i rozmawiała w wyobraźni to z Gustawem, to z Frankiem.

To, co wydarzyło się w Żywocicach, a także zaledwie kawałek od jej domu, gdzie gestapowcy, sądząc, że są jeszcze w Żywocicach, zastrzelili sąsiada Leopolda Kozusznika i jego szesnastoletniego syna Zenona, wstrząsnęło dziewczyną do głębi.

– Po wojnie pójde na politechnikę. Chcę być przecież inżynierem – przypomniała sobie całkiem niedawne słowa młodszego od niej chłopca. Teraz leżał w kałuży krwi.

Łzy rozmazały jej przed oczami święty obraz, kiedy pomyślała o tym biedaku. Ale zaraz potem przyszło silniejsze uczucie podobne do euforii. Była przekonana, że Bóg zaakceptował jej wybór. Gdyby chciał, by została z Gustawem, nie uratowałby przecież cudem Franka. A że chodziło o cud, tego Tereska była pewna. Jej narzeczony zginąłby przecież bez wątpienia, gdyby pozostał w Żywocicach. Ale on – to nie mógł być przypadek – dzień wcześniej wyjechał do Śmiłowic. To pierwszy raz, kiedy wuj Antoni poprosił go o pomoc w żniwach. Nigdy wcześniej tego nie zrobił.

Tak, to był z pewnością znak Boży.

Tereska uśmiechnęła się. A potem wyjrzała przez okno. Od furtki w stronę ganka szedł pochylony, jakby zgarbiony, mężczyzna, którego nie od razu poznała. Dopiero gdy przyjrzała mu się uważniej, zorientowała się, że to był Paweł, szwagier Franka. Pewnie miał jakieś nowe wieści z Żywocic. Absolutnie nie spodziewając się najgorszego, wyszła mu naprzeciw. Mama witała już gościa w drzwiach.

– Szczęść Boże – pozdrowił Paweł łamiącym się głosem. I milczał, stojąc na progu ze zwieszoną głową.

Zapanowała złowroga cisza.

– Teresko. – Paweł zmusił się wreszcie, by spojrzeć jej prosto w oczy. – Frank... zastrzelili go... Tak jak innych...

– Jak to? Nie rozumiem! – krzyknęła dziewczyna, odruchowo tuląc się do mamy. – Jak mogli go zastrzelić? Miał być przecież u wuja Antoniego! W Śmiłowicach też strzelali?!

Paweł nie bardzo rozumiał, co Tereska ma na myśli. Nic mu nie było wiadomo o planowanym wyjeździe szwagra do Śmiłowic, lecz nie miał siły na wyjaśnianie tej sprawy, która zresztą nie miała teraz znaczenia.

– Nigdzie nie wyjechał. Rano chciał iść do ciebie... Zastrzelili go... w lesie... – Słowa z trudem przedzierały mu się przez gardło.

Kiedy Tereska kilkanaście lat później, będąc już dojrzałą kobietą, wspominała ten tragiczny dzień, nie mogła sobie przypomnieć, czy usłyszawszy wiadomość o śmierci Franka, zemdlała, czy tylko pogrzyżała się w stanie apatii, z której wyrwała się dopiero na drugi dzień. Tamtego wieczoru, tej pogodnej sierpniowej niedzieli, kładła się spać z rozdartym na pół sercem.

Rozdział XI

Spowiedź

– Marcin, jak to możliwe, że nam udało się odkryć tajemnicę mamy, tymczasem mój mąż, doświadczony badacz historii, z tym sobie nie poradził? – zastanawiałam się głośno. Skończył się mój urlop związany z pogrzebem i wróciłam do Ostrawy. Zaraz następnego dnia spotkałam się w firmie z Marcinem.

– A może ją odkrył, tylko ci o tym nie powiedział? Albo w ogóle nie miał zamiaru odkrywać żadnej tajemnicy? – Marcin zaczął mi podsuwać prawdopodobne rozwiązania. – Zresztą przyznajmy, że my nie posługiwaliśmy się wyłącznie metodami naukowymi. Grzebania w szafie teściowej i przeszukiwania jej kufra z pewnością nie można zaliczyć do standardowych metod.

Uśmiechnęłam się do niego porozumiewawczo. Tego dnia siedzieliśmy z Marcinem w moim biurze do późnego wieczoru. Andrea dawno już wyszła. Dwa razy zaparzałam herbatę, a kiedy zbliżała się ósma i poczuliśmy głód, zamówiłam przez telefon pizzę. Sama, po czesku, nie prosząc o to mojego tłumacza.

Marcin nie próżnował przez ten tydzień, kiedy mnie nie było. A właściwie już dużo wcześniej zajął się na poważnie śledztwem, nie mówiąc mi o tym. Zignorował moją decyzję, że rezygnuję z dalszego grzebania w przeszłości (której to decyzji sama zresztą nie uszanowałam), i pojechał do Archiwum Krajowego w Opawie. Tam przestudiował dokumenty dotyczące ofiar żywocickiej zbrodni. Znalazł sporządzony przez gestapo w Cieszynie protokół o tym, że Józef i Anna Wiechowicze zostali aresztowani na podstawie anonimowego donosu, który został dostarczony do siedziby gestapo pocztą. List ten, sugerujący, że Wiecha pomaga „polskim bandytom”, został zapisany w ewidencji dnia 7 sierpnia 1944 roku. W protokole znajdowała się także informacja, że podczas rewizji przeprowadzonej w domu Wiechy i przylegającym do niego warsztacie zarekwirovano dwie pary wojskowych butów.

– To dowód, że Magdalena Donatová opowiedziała prawdziwą historię – stwierdziłam, kiedy Marcin zrelacjonował mi wyniki swego śledztwa.

– Nie ma natomiast żadnego dowodu na to, że list ten napisała przybrana córka Wiechów – odparł.

Skinęłam głową i przyjrzałam mu się czujnie.

– Kiedy mama umierała, dzwoniłeś, że masz jakieś dowody świadczące o jej niewinności.

– Powoli, Kasiu, do wszystkiego dojdziemy! – Uśmiechnął się, widząc, że staję się podejrzliwa. W uspokajającym geście położył rękę na moim ramieniu. –

Nie poprzestałem na archiwalnych zapisach policyjnych. Poszedłem w teren.

Okazało się, że ciotka Marcina, Krystyna Bielan, wiedziała, gdzie stoi dawny dom szewca Wiechy. Kiedy pożegnałyśmy się tamtego dnia przed domem seniora w Hawierzowie i ja pojechałam do Żywocic, od razu uświadomiła sobie, że zapomnialiśmy spytać o to Donatovą. Zawróciła i raz jeszcze ją odwiedziła. Otrzymała dokładne wskazówki.

Marcin pewnego letniego popołudnia zadzwonił do drzwi otynkowanego na zielony kolor domu. Otworzyła mu mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Wiedziała, że to stary budynek (teraz był starannie wyremontowany), lecz nie miała pojęcia, kto mieszkał w nim podczas wojny.

– Ojej, nawet się tym nie interesowałam! – stwierdziła, dziwiąc się, po co temu młodemu chłopakowi potrzebne są takie informacje. Skłamał, że pisze pracę magisterską o wojennych losach mieszkańców Żywocic. – W ogóle nie pochodzę stąd, przeprowadziliśmy się do Żywocic dopiero przed dwoma laty, kupiliśmy ten dom po prostu... – Młoda właścicielka wzruszyła ramionami. – A teraz przepraszam, nie mogę z panem dłużej rozmawiać. Do widzenia. – Zamknęła mu drzwi przed nosem. Z głębi domu dochodził płacz niemowlęcia.

Marcin nie był nawet specjalnie rozczarowany. Nie spodziewał się, że w tym domu czegoś się dowie. Stara Donatová mówiła jego ciotce, że po wojnie dom zmieniał właścicieli, nikt z krewnych szewca Wiechy nigdy w nim nie mieszkał.

Bardziej pomocni mogli być sąsiedzi. Z determinacją zaczął obchodzić okoliczne domy, jeden po drugim. Jeżeli w ogóle ktoś otworzył drzwi, to w większości byli to ludzie, którzy ze względu na wiek nie mogli pamiętać wojny.

– A może mieszka z wami babcia albo dziadek, ktoś, kto pamięta tamte czasy? – pytał za każdym razem z nadzieją. – Piszę pracę magisterską o żywocickich ofiarach z 1944 roku. Podobno obok mieszkali Wiechowcie, którzy zginęli w obozie...

Ludzie nie chcieli z nim rozmawiać. Niektórzy patrzyli podejrzliwie, jakby zastanawiając się, czy aby ten chłopak naprawdę jest studentem. A może jakieś bajki im tu opowiada, by wdrzeć się do domu? Może dlatego pyta o dziadków, by innego dnia przyjść o takiej porze, kiedy młodzi będą w pracy? Mało było już takich historii? Gazety ciągle piszą o oszustach okradających seniorów!

Poświęcił trzy popołudnia na te wizyty. Trzy upalne popołudnia, kiedy mógł iść na basen albo przynajmniej relaksować się w ogrodzie. Dlaczego to robił? Poganiała go głównie ciekawość. Nie chciał przepuścić okazji do udowodnienia samemu sobie (a może też swojemu ojcu?), że historia jest dyscypliną, która przynosi praktyczne wyniki.

Jego wysiłek był jednak bezowocny. Najwyżej w kilku przypadkach udało mu się nakłonić mieszkańców do przyjęcia jego na szybko zrobionych wizytówek.

– Gdybyście państwo przypomnieli sobie o kimś, kto mógłby pamiętać

wojenne czasy, to byłbym bardzo wdzięczny za mail lub telefon – prosił grzecznie. Ludzie kiwali głowami i zatrząskiwali drzwiami, ciesząc się, że mają go z głowy.

Po kilku dniach zrezygnował. Nie na dobre, tylko uznał, że musi obmyślić nową strategię. To przecież niemożliwe, by nikt nic nie wiedział o Wiechach.

Do przełomu doszło w momencie, kiedy wcale nie myślał o swoim prywatnym śledztwie. Tego wieczoru poszedł z kolegami zagrać w kręgle. W restauracji było gwarno. Kiedy zadzwoniła komórka, początkowo wcale nie zrozumiał, kto i dlaczego dzwoni. Wyszedł na zewnątrz.

– Zostawiłeś u nas swój numer – usłyszał głos, który bez wątplenia należał do starszej osoby. – Byłeś u nas, rozmawiałeś z wnukiem. Widziałam cię przez uchylone drzwi – mówiła nieznana kobieta.

– Grasz czy nie? Twoja kolej! – Jeden z kolegów wyszedł po Marcina. – Chodź, czekamy na ciebie! Musisz teraz wydzwaniać? – Pociągnął go niecierpliwie za rękaw koszulki.

Marcin wyrwał mu się i dał gestem do zrozumienia, że to rozmowa najwyższej wagi.

– Cicho bądź, będę za chwilę – syknął, odsuwając na chwilę aparat od ucha.

– Słyszysz mnie, młodzieńcze? – domagała się uwagi kobieta po tamtej stronie.

– Słyszę, słyszę... Dzwoni pani z Żywocic? – upewnił się.

– Z Żywocic, oczywiście! Przyjdź jutro rano, będziemy mogli spokojnie porozmawiać. – Starsza pani o mało się nie rozłączyła, nie podając adresu. W ostatniej chwili zdążył ją o to zapytać. Był przecież w tyłu domach – skąd miał wiedzieć, w którym z nich mieszka?

O dziewiątej rano następnego dnia stawiał się pod wskazanym adresem. Przypomniawszy sobie, że kiedy był tam poprzednio, drzwi otworzył krępy, jasnowłosy, niewiele od niego starszy mężczyzna. Dawny dom Wiechów i ten, do którego został zaproszony, dzieliły tylko dwa budynki otoczone ogrodami. Kobieta, która przywitała go teraz w drzwiach, wcale nie była aż tak bardzo stara. W ogóle nie miała siwych włosów. Marcin wiedział, że dzisiaj starsze panie farbują włosy, więc trudno określić wiek na podstawie ich koloru. W każdym razie oszacował gospodynię na siedemdziesiąt lat. Co mogła pamiętać z czasów wojny?

Na stole stały herbata i szarlotka. Kobieta przyglądała się przybyszowi z nieco speszonym uśmiechem.

– Przepraszam, że zaczęłam do ciebie mówić „ty”.

– W porządku. – Uśmiechnął się.

– Mieszkam z wnukiem i jego dziewczyną. Teraz to podobno normalne, że młodzi żyją razem bez ślubu... Nie interesuje ich nic, co dotyczy przeszłości. Koszmar. Ty jesteś inny, prawda?

Marcin podrapał się po głowie.

– Inny? W jakim sensie? Studiuję historię i dlatego interesują mnie stare czasy.

– I Wiechowcie.

– Skąd pani wie?

– Słyszałam, że o nich pytałeś, kiedy poprzednim razem byłeś u nas. Stałeś w drzwiach, a ja byłam w swoim pokoju. Ale słuch mam nadal bardzo dobry, dzięki Bogu.

– Pani znała Wiechów? Wydaje mi się, że jest pani... za młoda, aby ich pamiętać.

Kobieta się roześmiała.

– Długo nikt mi już nie powiedział, że jestem młoda, w dodatku ktoś, kto jest w wieku mojego wnuka!

A potem spoważniała.

– Nie, osobiście nie pamiętam Wiechów, miałam dwa lata, kiedy zginęli. Ale mój ojciec, nim umierał... Przepraszam, ciężko mi o tym mówić...

Nerwowo przygryzła wargę, przez chwilę wpatrywała się w stół. Potem powoli podniosła wzrok i badawczo przyjrzała się gościowi.

– Czego konkretnie chciałbyś się o nich dowiedzieć? Zmarli tragicznie. On był szewcem i – tak mówili po wojnie ludzie – naprawiał buty także partyzantom. Aresztowali go w sierpniu 1944 roku, razem z żoną. Zmarli w obozie.

– Znam te fakty. Piszę pracę magisterską i dotarłem do archiwalnych dokumentów. Ale muszę dodać coś od siebie, coś nowego... Chciałbym się dowiedzieć, kto i dlaczego doniósł na Wiechę. Bo to podobno był donos. Na pewno to był donos – poprawił się. – Tak jest napisane w niemieckich dokumentach, które widziałem na własne oczy.

Na twarzy kobiety malowała się rozterka. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę. Na pewno wie coś więcej, tylko nie jest pewna, czy ma to wyjawić.

– Pani coś wie na ten temat, prawda? – spytał Marcin cicho, jakby obawiał się, że ją spłoszy.

– Niektórzy ludzie we wsi zaczęli mówić po wojnie, że podobno córka Wiechów na nich doniosła. Ja tego nie pamiętam, byłam małym dzieckiem...

– Słyszałem już coś takiego – odparł Marcin. – Ale chyba nie ma na to dowodów. Pani też najprawdopodobniej ich nie ma, bo skąd? – Chłopak poczuł się zawiedziony. Cóż ta kobieta, która w 1944 roku była dwuletnim maluchem, może wiedzieć więcej? – Znała pani może tę ich córkę?

Pokręciła głową.

– Nie. W ogóle jej nie pamiętam, chyba wyprowadziła się z Żywocic.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To wszystko, co chciała mi pani powiedzieć? – spytał, starając się, by nie dosłyszała rozczarowania w jego głosie. W końcu chciała dobrze.

– Nie – odparła cicho. Zmarszczyła czoło. – Ojciec, nim umierał... – zaczęła powoli. Wstała od stołu, zaczęła przechadzać się po pokoju. – Wiesz, chłopcze, mój ojciec był trudnym człowiekiem. Nie miałam z nim zbyt dobrych relacji. To był typ człowieka, który nie lubi ludzi, nie lubi świata... Zazdrościł każdemu, komu choć trochę lepiej się powodziło niż jemu. Sam jakoś nie mógł znaleźć się w żadnym zawodzie, próbował tego i owego, a kiedy po raz kolejny zmuszony był szukać nowej pracy, twierdził za każdym razem, że pracodawca go nie docenia.

Kobieta przerwała na chwilę i ponownie usiadła naprzeciwko gościa.

– Wiesz, Marcinie – kontynuowała swoje wspomnienia – ojciec nie chodził do kościoła, najwyżej raz w roku, w Boże Narodzenie, i to wyłącznie dlatego, by mieć spokój od mamy. Ona często ubolewała, że jest bezbożnikiem. Ale kiedy umierał – miał raka płuc, pewnie od tych papierosów, które palił nieustannie – kazał wezwać księdza. Leżał w szpitalu w Hawierzowie, to było za komuny, w 1984 roku. Jak tu oficjalnie wezwać księdza do umierającego, do którego już tylko najbliższą rodzinę wpuszczają? To znaczy mnie i siostrę, bo mama już wtedy nie żyła. A jednak sprowadziłam księdza. Nasz proboszcz był mniej więcej w moim wieku, więc nakłamałam pielęgniarkę, że to mój brat, który przyjechał z daleka. Nie było mnie, rzecz jasna, w pokoju podczas spowiedzi ojca. Ale kiedy ksiądz wyszedł, ojciec zawołał mnie i powiedział: „Córka Wiechów nie była winna ich aresztowania”.

Marcin zaniemówił. Starał się strawić to, co usłyszał. Kobieta zamilkła. Patrzyła Marcinowi prosto w oczy. Czekwała na pytania. Wiedziała, że padną.

– Tak dokładnie powiedział? – spytał, starannie oddzielając od siebie słowa.
– Bezpośrednio po spowiedzi?

– Dokładnie tak. Nigdy tego nie zapomnę – potwierdziła.

– I dodał coś jeszcze? Spytała go pani, co chce przez to powiedzieć?
Domagała się pani wyjaśnień?

– Mój chłopcze, tato umierał. Każde słowo z trudem wychodziło mu z ust. Co chwila kaszlał, dusił się... Zresztą nie miałam potrzeby go o nic pytać. Zrozumiałam, co chciał mi przekazać. To musiało być dla niego bardzo ważne, skoro po czterdziestu latach, w obliczu śmierci, wyjawiał mi właśnie tę, a nie inną informację. Nic więcej nie powiedział już tego dnia. Wieczorem stracił przytomność i nigdy już jej nie odzyskał. Dwa dni później odszedł na wieczność.

Zapadła niezręczna cisza. Jak kontynuować tę rozmowę?

– Powiedziała pani komuś o słowach ojca? – spytał Marcin.

Pokręciła głową.

– Nie, nawet siostrze. Córce też nie. Powiedziałam sobie, że jeżeli mój ojciec doniósł na sąsiadów, to nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Przecież hańba spadłaby na całą naszą rodzinę.

– Dlaczego w takim razie ze mną pani o tym rozmawia? Jestem przecież

zupełnie obcym człowiekiem!

– Czasy się zmieniły, dzisiaj już nikogo nie interesuje, co działo się w trakcie wojny. Kto wie, jak długo będę jeszcze na tym świecie. Pięć lat, a może tylko rok albo dwa? Myślę, że jeżeli ojciec powierzył mi tę tajemnicę, to nie po to, bym zabrała ją do grobu. Nikt nigdy nie pytał o losy Wiechów, każdy tu żyje teraźniejszością. Córka mieszka w Niemczech, rzadko się widzujemy. Mam o tym powiedzieć wnukowi? Machnąłby ręką i tyle.

– To znaczy, że mogę wykorzystać tę informację w mojej... pracy magisterskiej? – spytał.

Kobieta zmarszczyła czoło, jej rysy nagle stwardniały.

– Jaką informację? – spytała zupełnie innym tonem. – Masz, jak sądzę, na myśli to i tylko to, że według słów mojego ojca, który nie żyje od trzydziestu lat, córka Wiechów nie była winna ich śmierci?

Skinął głową.

– To i tylko to, bo niczego więcej ci nie powiedziałam, zgadza się? – ciągnęła gospodyni.

– Zgadza...

– Jeżeli cokolwiek więcej tu zabrzmiało, to są to tylko domysły, a nie fakty. W pracy magisterskiej musisz zamieścić tylko sprawdzone fakty i podać źródła, z których je zaczerpnąłeś, prawda?

– Owszem – wymamrotał Marcin. Nagła zmiana w zachowaniu kobiety zaskoczyła go.

– Znam się na tych rzeczach, ponieważ przez całe życie pracowałam w archiwum – wyjaśniła, jakby czytając jego myśli. – Możesz mnie zacytować: Olga Moravcová, córka zmarłego w 1984 roku Brunona Kubika, zapamiętała słowa ojca, które wypowiedział na trzy dni przed swoją śmiercią: „Córka Wiechów nie była winna ich aresztowania”. Koniec cytatu. Nadal natomiast nie wiemy, kto doniósł na Wiechów, prawda? Moje obawy, podejrzenia, nasuwające się wnioski nie mają tu znaczenia.

– Nie mają – zgodził się Marcin, bo nie miał innego wyjścia.

Jednym haustem opróżnił kubek z herbatą, która wystygła w międzyczasie, i wstał od stołu. Chciał już iść, niczego więcej się nie dowie, a sytuacja zrobiła się niezbyt przyjemna. W przedpokoju, ściągając dzinsową kurtkę z wieszaka, zatrzymał się w połowie ruchu.

– Pani Olgo, nie przyszedłem z powodu pracy magisterskiej. Poznałem kogoś z rodziny Marty, przybranej córki Wiechów. Ta pani jest przekonana, że Marta doniosła na rodziców, i bardzo ją to boli... Chciałbym jej pomóc.

Moravcová nie oburzyła się, że ją okłamał. Przeciwnie – przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. Ucieszyła się, że informacja, która kamieniem leżała na jej sercu, komuś wreszcie pomoże.

– W takim razie powtórz jej to, co ci powiedziałam. Mój ojciec wiedział, że córka Wiechów nie zawiniła w ich sprawie. To powinno wystarczyć – powiedziała.

Wysłuchałam Marcina z zapartym tchem, z mieszanką radości, podziwu, wdzięczności i... niedosytu.

– Marcin, dziękuję ci za czas i wysiłek, i w ogóle za wszystko. – Odruchowo objęłam jego szyję i przytuliłam. – Ale...

– Ale?

– Kiedy dzwoniłeś do mnie do szpitala, mówiłeś, że masz dowody.

– Słowa tej kobiety uważam za wystarczający dowód. Nie miała powodów, by kłamać. A na pomyloną na pewno nie wyglądała!

– Ale ja nie słyszałam jej słów – powiedziałam powoli, akcentując zaimek „ja”.

Marcin się zaperzył.

– To znaczy, że mi nie wierzysz?

– Nie w tym rzecz. Tylko wszystko to się jakoś nie trzyma kupy. Ta stara pani w domu seniora, sąsiadka Wiechów, opowiadała, że Marta sama przyznała się do donosu na rodziców. Tymczasem ty mówisz o jakimś Brunonie... Nie zapamiętałam jego nazwiska... I sugerujesz, że to on mógł być donosicielem. Więc nie wiem, czy były dwa donosy na szewca...

– W zapisie policyjnym, na który natrafiłem w archiwum, była informacja o jednym – wtrącił Marcin.

– Więc widzisz. Coś tu nie gra. Dlatego trudno mi uwierzyć w to, co mi teraz opowiedziałeś.

Moja reakcja najwidoczniej mocno go rozczarowała.

– Wiesz co, Katarzyno, to ja sobie mogę iść i w ogóle... – Podniósł się z krzesła. Nigdy nie zwracał się do mnie tak oficjalnie, zawsze mówił do mnie Kasiu. Widziałam, że naprawdę jest zły.

Całe szczęście, że w tym momencie pojawił się dostawca pizzy i sytuacja automatycznie się rozładowała. Nim uregulowałam rachunek i rozkroiłam ciasto, Marcin się uspokoił.

– No dobra, rozumiem, podchodzisz do sprawy tak, jak powinien podchodzić historyk: nie uwierzę, póki tego nie zobaczę czarne na białym – zanalizował moje zachowanie. – Ale ty przecież nie piszesz na ten temat żadnej pracy naukowej. Myślałam, że chodzi ci o to, byś mogła zostawić swoją teściową... odejść w spokoju...

Głupio mi się do tego przyznać, ale na szynkę, ser i pomidory zaczęły z mych oczu kapać łzy. Nie potrafiłam ich zatrzymać. Kompletnie się rozkleiłam. Było mi smutno, bo zmarła mama, smutno, bo tak strasznie długo nie widziałam

syna, smutno, bo przez ostatnie pół roku nie miałam domu, tylko hotel. Smutno, bo wkrótce będę musiała na dobre rozstać się z tym wspaniałym chłopakiem.

Marcin udawał, że nie widzi moich łez. Całkowicie skupił się na jedzeniu. Myślę, że nie chciał, bym poczuła się niezręcznie.

Piątek, 11 sierpnia 1944

Marta jak otępiała siedziała na ławce przed domem. Do jej stóp łąsił się Bryk. Od czasu do czasu bezwiednie pogłaskała psa po głowie, wicherząc jego futro.

To było jak *déjà vu*. Czuła się dokładnie tak samo jak niespełna miesiąc temu, kiedy listonosz przyniósł wiadomość o śmierci Eryka. Z tym że teraz ból był podwójny, a może jeszcze większy. Przygniatała ją rozpacz całych Żywocic.

„Franek... A jednak gdyby był tej nocy u mnie, mógł teraz żyć. Nie musiałabym słuchać tych strasznych wieści, które przyniósł nam Paweł, jego szwagier. Jemu Niemcy dali spokój, bo miał *volkslistę*”.

Gdyby Franek nocował u Marty, gestapo nie zabrałoby go. Wcale by go tu nie szukali. Tego była pewna. „To dom szewca, który ma *volkslistę*. W ogóle nie powinniśmy byli tu przychodzić” – powiedział przecież komisarz Sattler. I odeszli, nie zaglądając do środka.

Próbowała wyobrazić sobie Franka z przestrzeloną głową. Podobno dopadli go w lesie, kawałek od miejsca, gdzie mieszkał. Domyślała się, że próbował umknąć do Suchej, do swojej dziewczyny. Może zginął w tym miejscu, gdzie kilka dni temu razem z Martą poszli na borówki? Tam, gdzie się całowali?

– Marto, pozbieraj jajka – usłyszała głos matki dobiegający z wnętrza domu. Przypomniała sobie niedzielny powrót rodziców pod wieczór ze Śmiłowic. Oboje byli nie tylko zmęczeni po całodziennym harówce na polu, ale też zdenerwowani i bladzi z przerażenia.

– Martuś! – Ojciec szybko zeskoczył z wozu i pobiegł do domu poszukać córki. – Martuś, czy z tobą wszystko w porządku?

Pozwoliła się zamknąć w jego objęciach. Poczowała się na chwilę tak jak wtedy, gdy miała dziewięć lat i Józef zabrał ją – nareszcie na stałe – do swojego domu. Anna również wyściskała dziewczynę, zarzucając ją pytaniami. Okazało się, że jadąc przez wieś, zdążyli dowiedzieć się od sąsiadów o tragedii, jaka rankiem rozegrała się w Żywocicach.

– Franek nie żyje – wyszeptwała Marta, a potem wybuchnęła szlochem.

– Franek? Mój siostrzeniec?!

Płacząc, skinęła głową.

– O Boże... – Józef powoli osunął się na kuchenne krzesło. Widziała, jak po jego twarzy strumieniem ciekną łzy. – Co to za świat?! Ledwo co ja straciłem syna,

to teraz moja siostra też – wykrztusił z goryczą. – A może wszystkich nas w końcu pozabijają?!

„O nie, nie! – zaprotestowała w duchu Marta. – Nie zabijają! Żebyś wiedział, tato, napisałam na was donos, ale nigdy, nigdy bym go tak naprawdę nie wysłała! Wczoraj rano uświadomiłam sobie, że nie mogłabym tego zrobić. Nie da się zabić bólu jeszcze większym bólem. Teraz już to wiem. Na szczęście”.

– Marto, słyszysz mnie?! – domagała się teraz uwagi matka, wyglądająca przez okno. Z kuchni dolatywał nęcący zapach smażonych naleśników.

– Już idę, idę. – Dziewczyna podniosła się i mechanicznie sięgnęła po stojący na parapecie koszyk.

I wtedy to się stało. Ledwie Marta weszła do kurnika i zamknęła za sobą furtkę, usłyszała odgłos zatrzymującego się przed domem samochodu. Serce w niej zamarło. Samochód? Kto mógł tu przyjechać autem? Coś jej podszeptało, że lepiej zrobi, nie wychodząc i nie sprawdzając tego.

– *Josef Wiecha! Wir suchen Josef Wiecha und seine Frau!* – Na podwórzu rozległ się głos nieznanego mężczyzny. I rozkaz, by przywiązać do budy ujadającego psa. Pod Martą ugięły się nogi. Zaraz jednak się uspokoiła. Jeśli to gestapowcy, tak jak w niedzielę, to sprawdzą dokumenty i pójdą sobie.

– *Ich bin Wiecha* – usłyszała niepewny głos taty, zagłuszony przez nieustanne szczekanie Bryka.

– *Zeigen Sie uns Ihr Haus.* – To był głos drugiego mężczyzny. Ilu ich tu w sumie jest? I dlaczego chcą, by ojciec pokazywał im dom?

Mówili coś jeszcze, lecz ich głosy oddalały się i Marta nic już nie słyszała. Widocznie weszli do środka. Nawet pies się uspokoił. Ostrożnie wyjrzała przez szparę w deskach, z których zbite było ogrodzenie kurnika. Nikogo nie widziała. Co powinna teraz zrobić? Najzwyczajniej w świecie pozbić jajka i wyjść? Serce biło jej jak oszalałe i ręce się trzęsły, gdy mechanicznie wybierała jaja z gniazda i uważnie kładła je do koszyka.

Długo nie wychodzili z domu. Dziewczynie wydawało się, że musiało upłynąć co najmniej piętnaście minut. Co tam robili tak długo? Wreszcie ponownie usłyszała rozmowę, a zarazem zbliżające się kroki. Wejdą do kurnika? Znajdą ją?

– Tu jest mój warsztat – usłyszała głos Józefa. Zaraz potem doleciał do niej dźwięk otwieranych drzwi. „Szukają czegoś – uświadomiła sobie. – Ale czego? Czyżby...?”

Partyzanci! Przychodzili tu przecież z obuwem do naprawy, a przy okazji odnosili też paczki z żywnością. Może ojciec nawet robił dla nich nowe buty. Tylko skąd Niemcy się o tym dowiedzieli? Nie wysłała przecież swojego donosu!

Stała bez ruchu, bojąc się nawet oddychać. Kury dreptały obojętnie koło niej, pogdając i dziobiąc ją w drewniaki, które miała na bosych nogach. Nie miała siły wyjść stamtąd. Ogarnął ją obezwładniający strach. Czują – ba, wiedziała, że zaraz

stanie się coś strasznego.

– *Sie gehen mit uns!* – nakazał jeden z gestapowców władcym tonem. Wyszli razem z ojcem z warsztatu, przechodzili akurat koło kurnika, ale nie widzieli Marty za ogrodzeniem. – *Und Ihre Frau auch.* Zabierzcie ze sobą tylko dokumenty – dodał zaraz, nie słuchając Józefa, który próbował tłumaczyć, że jest niewinny i nie ma nic wspólnego z żadnymi *bandytami*. A jego żona już w ogóle nie ma pojęcia, co dzieje się w warsztacie.

– *Ich habe Volksliste!* – słyszała głos próbującego się bronić ojca. – Jestem wierny Rzeszy. Mój syn zginął za Führera! – zawołał desperackim tonem.

Tamci odpowiedzieli ironicznym śmiechem. Potem słyszała odgłosy szarpaniny, jakieś uderzenie i jęk ojca. Uderzyli go? Bryk na nowo się rozszczękał. Znów przycisnęła twarz do szpary w deskach, by coś zobaczyć. Tak, musieli uderzyć ojca. Teraz jeden z nich szarpnięciem podniósł Józefa z ziemi, drugi właśnie wyprowadzał z domu Annę. Marta nie widziała jej twarzy. Płakała? Była przerażona? Zastanawiała się, dlaczego Marta się nie pojawiła?

„Nie mogę ich tak zostawić. Muszę wyjść i ich bronić. Muszę, ale... Nie wiem jak. I nie potrafię” – uświadomiła sobie. Nie miała odwagi wyjść i przynajmniej pożegnać się z rodzicami. Bała się, że ją też zgarną. Bała się prawie tak samo jak wtedy, kiedy wokół niej syczały płomienie, a ona miała wrażenie, że zaraz się udusi.

Samochód odjechał. Marta drżała na całym ciele, kurczowo zaciskając rękę na uchu koszyka. Dopiero po chwili – ile mogło upłynąć czasu, dziesięć minut, piętnaście? – powoli wyszła z kurnika. Koszyk postawiła na ziemi i rozejrzała się po podwórzu. Bryk teraz już spokojnie leżał przed budą, a nawet przyjaźnie pomerdał do niej ogonem. Na wpół przytomnie pogłaskała psa i skierowała kroki w stronę warsztatu. Z zapartym tchem podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Snop padającego z zachodu światła oświetlił wnętrze.

W środku panował totalny rozgardiasz. Narzędzia i buty bez ładu i składu porozrzucane były po stole i po podłodze. Szafa, do której Józef chował obuwie przyjęte do naprawy, cała była wybebeszona. Marta z bijącym sercem rozglądała się wokół siebie. Nie miała pojęcia, czy znaleźli coś, co obciążałoby ojca. Wojskowe buty, które mogłyby należeć do partyzantów. Przez szparę w deskach kurnika nie widziała przecież wszystkiego. Nie zauważyła, czy któryś z gestapowców trzymał w ręku jakiś pakunek, coś, co mogło stanowić *corpus delicti*.

Łzy popłynęły jej po twarzy, kiedy przypomniała sobie tamtą zimową noc, gdy przyłapała ojca z podejrzanym nocnym gościem. Doskonale pamiętała, co wtedy powiedział. Pamiętała, bo było to dla niej ważne. „To, że podpisałem

volkslistę, jeszcze nie oznacza, że we wszystkim jestem lojalny wobec Trzeciej Rzeszy”.

Zamknęła drzwi warsztatu i pobiegła w stronę opustoszałego domu. W drzwiach na nowo uderzył ją zapach świeżo usmażonych naleśników. Leżały równo poukładane na talerzu, zupełnie tak, jakby nic złego się nie wydarzyło i mama wyszła tylko na chwilę, by zaraz wrócić i zawołać męża i córkę na kolację.

Marta położyła na podłodze koszyk z jajkami i ciężko usiadła na ławie. Czy w domu też czegoś szukali? W kuchni panował porządek, nic nie wskazywało na niedawną obecność gestapo. A może sypialnię rodziców przewrócili do góry nogami?

Weszła do środka i od razu dostrzegła, że jej podejrzenia były uzasadnione. Komoda, w której ojciec trzymał dokumenty i różne pisma, otwarta była na oścież, a papiery rozrzucone po podłodze. Wzięła do ręki kopertę z listem Eryka. Tym pierwszym, napisanym zaraz po wyjeździe do wojska. Marta miała wówczas nadzieję, że brat choć raz wyśle do niej osobny list, przeznaczony tylko dla jej oczu. Ale nigdy tego nie zrobił, zawsze pisał do całej rodziny. Tłumaczyła to sobie w ten sposób, że nie chce budzić w rodzicach podejrzeń. Teraz domyślała się, że powód był inny. Ale już nie miała mu tego za złe. W świetle ostatnich wydarzeń nie miało to znaczenia. Odłożyła kopertę, nie wyjmując listu. Jej wzrok padł jeszcze na umowę ubezpieczeniową, lecz ta w ogóle jej nie zainteresowała.

Marta wstała, postanawiając sprawdzić drugi pokój, w którym trzymała swoje rzeczy. O mało nie zemdląca, wkraczając do środka. Panował tam taki sam rozgardiasz jak w sypialni rodziców. Wszystko, co przechowywała w szufladzie – świadectwa szkolne, zdjęcia pamiątkowe i różnego rodzaju drobiazgi – wysypane było na podłodze. Zaczęła gorączkowo przegrzebywać rzeczy, szukając arkusza z naklejonymi literami. Doskonale pamiętała, że schowała go na samym dnie szuflady. Teraz szuflada była pusta, a po przygotowanym donosie nie było ani śladu. Dziewczyna brała do ręki jedną rzecz za drugą, starannie przeglądała i układała na powrót do szuflady. Dokładnie przy tym sprawdzała, czy owa nieszczęsna kartka nie przyczepiła się do innych papierów. Kiedy nie przyniosło to efektu, na nowo wszystko wysypała i sprawdziła jeszcze raz, a potem drugi i trzeci. Mechanicznie, coraz bardziej drżącymi rękami, powtarzała te czynności dopóty, dopóki jej ledwo tłąca się nadzieja całkowicie nie zgasła.

Arkusza nie było. Musieli go zabrać gestapowcy.

To jej wina, że aresztowali rodziców. Może wcześniej mieli jakieś podejrzenia i dlatego przyjechali zrobić rewizję. Ale dopiero po przeszukaniu domu i znalezieniu donosu ich przypuszczenia się potwierdziły. Dlatego poszli do warsztatu, dlatego odwieźli Annę i Józefa. Rozpacz przyćmiła Marcie umysł. Nie była już w stanie myśleć racjonalnie.

– Dziecko, co się stało?! – Sąsiadka przeraziła się na widok Marty. Dziewczyna była blada jak trup i patrzyła prosto przed siebie rozszerzonymi, jakby niewidzącymi oczami. Usta jej drżały.

– Pomóżcie mi, pomóżcie, proszę... – wyjąkała Marta, gdy Brzózkowa złapała ją mocno za obie ręce.

– W czym mam ci pomóc? Coś się u was stało? Wydaje mi się, że widziałam auto... To było gestapo? – Już w momencie, gdy wymawiała te słowa, kobieta знаła odpowiedź na swoje pytanie. To musiało być gestapo.

Przytrzymując dziewczynę, zaprowadziła ją na ganek i posadziła na ławce, a potem usadowiła się obok niej.

– Aresztowali ich – wyszeptała Marta, nie patrząc na sąsiadkę.

– Tatę i mamę? – domyśliła się tamta.

– Tatę i mamę – powtórzyła dziewczyna jak echo.

Brzózkowa gwałtownie się podniosła i zaczęła nerwowo przechadzać się po ganku.

– Jak to aresztowali? Przecież byli u was w niedzielę. I u nas też... Jak pokazaliśmy volkslistę, to dali spokój. Więc co tu się, u licha, dzieje?! – Kobieta nie powiedziała tego na głos, lecz w tym momencie bardziej niepokoiła się o własną rodzinę niż o szewca i jego żonę. Tutaj też przecież mogli przyjechać gestapowcy.

Przed dom wyszła Magda, trzynastoletnia córka Brzózków. Postawiła przed Martą szklankę wody.

– Napij się, bo zaraz zemdlejesz – zauważyła rzeczowo, przyglądając się badawczo sąsiadce.

– Dlaczego mieliby aresztować Józefa i Annę? – zastanawiała się dalej jej matka.

– Znaleźli coś u taty – powiedziała cicho Marta.

– Coś to znaczy co?

– Nie wiem, poszłam akurat po jajka do kurnika, jak przyjechali. Wołałam stamtąd nie wychodzić.

– Mogli coś u niego znaleźć? Pomagał tym... no, wiesz, kogo mam na myśli? – drążyła dalej Brzózkowa. – A ty zmykaj stąd, Magda. Idź, pozmywaj po kolacji – zwróciła się surowo do córki, której obecność stała się niepożądana. – No, już cię tu nie ma! – ponagliła ociągając się dziewczynę.

Kobieta odczekała chwilę i dopiero gdy była przekonana, że Magda nie może już słyszeć rozmowy, usiadła na powrót obok Marty i stłumionym głosem powtórzyła pytanie:

– Współpracował z kimś?

– Być może...

– W takim razie ktoś musiał o tym wiedzieć i donieść na twojego ojca.

Dziewczyna milczała, tylko wargi jej drżały. Brzózkowej wydawało się, że coś szepcze.

– Mówiłaś coś? – Pochyliła się, by lepiej słyszeć.

Marta po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała jej prosto w oczy.

– To ja na niego doniosłam – powiedziała głosem nagle wypranym z wszelkich emocji.

– Ty? – Sąsiadce zabrakło tchu. – Nie wierzę, Marto! Nie zrobiłaś tego, prawda?

– Zrobiłam, napisałam donos.

– O Boże, dlaczego?!

Dziewczyna milczała. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Brzózkowa siedziała drętwą, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Magda, która do tej pory tkwiła skurczona pod parapetem otwartego okna wychodzącego na ganek, by nie uronić ani jednego słowa dochodzącego z zewnątrz, cichaczem wymknęła się do kuchni i zabrała się do zmywania garów.

Rozdział XII

Telefon

Piana do kąpieli o zapachu leśnych jagód działała kojąco na moje zmysły. Od ponad piętnastu minut relaksowałam się we własnej wygodnej wannie, której brakowało mi w Ostrawie. Tani hotelowy pokój, który tam stanowił mój dom, wyposażony był jedynie w starą niszę prysznicową z zasłoną z ceraty. Woda wyciekała na całą łazienkę, zwykle więc zadowalałam się szybkim natryskiem, by kałuże, które następnie musiałam wycierać z posadzki, były jak najmniejsze. Uśmiechnęłam się mimo woli na wspomnienie nieoczekiwanej wizyty Wiesława w hotelu. Miałam wtedy w łazience prawdziwy potop, woda sączyła się pod drzwiami aż do pokoju...

Przymknęłam oczy. Teraz wydawało mi się, że to zdarzenie miało miejsce nie przed paroma miesiącami, lecz przed kilkoma laty. Tak wiele wydarzyło się od tamtego wieczoru. Nie mogłam wprost uwierzyć, że już za miesiąc skończy się moja czeska misja. Już tylko raz przyjadę do domu na weekend, a potem, z całym bagażem, wrócę na stałe do Piotrkowa.

Kiedy wreszcie, acz niechętnie, wylazłam z wanny i owinięta nowym szlafrokiem, który Wiesław kupił mi na imieniny, weszłam do salonu, Agata podniosła wzrok znad podręcznika do metodyki kształcenia dorosłych.

– Dzwonił jakiś ksiądz do ciebie – poinformowała mnie. – Na stacjonarny. Powiedziałam, że jesteś w łazience.

Rzadko używaliśmy telefonu stacjonarnego, właściwie trzymaliśmy go wyłącznie ze względu na mamę, która na starość za nic w świecie nie chciała oswajać się z komórką. Dzwoniąc do nas, miała dzięki temu tańsze połączenia.

Teraz, kiedy umarła, aparat stał się zupełnie niepotrzebny. No, widocznie nie całkiem, skoro ktoś próbował skontaktować się ze mną w ten sposób...

– Ksiądz? – zdziwiłam się. – Wiesiu, czy to przypadkiem nie był nasz ksiądz proboszcz? Może trzeba jeszcze dopełnić jakichś formalności w związku z pogrzebem?

Wiesław wzruszył ramionami.

– Niby co? Od pogrzebu minęły trzy tygodnie. Zresztą podawałem proboszczowi numer komórki. To był jakiś inny ksiądz, specjalnie do ciebie.

– Powiedział, że zadzwoni później – wtrąciła Agata i w tym momencie telefon ponownie się odezwał. Podniosłam słuchawkę.

– Kasiu, witaj! Zaskoczyłem cię? – Rozmówca nie przedstawił się i wcale zresztą nie musiał tego robić, bo od razu poznałam po głosie, że to Antek, mój kolega ze szkolnej ławy.

– Zaskoczyłeś. Skąd masz ten numer? Rzadko go używam.

– Kiedyś, strasznie dawno temu, podałaś mi go. To było chyba jeszcze w czasach przedkomórkowych. Nie byłem pewien, czy jest aktualny. Żałowałem, że na tym spotkaniu klasowym nie poprosiłem cię o aktualne namiary, bo nasza rozmowa tam, w ogrodzie, nie dawała mi spokoju. Po prostu musiałem zadzwonić do ciebie i zapytać, jak poradziłaś sobie ze swoim dylematem, jak teraz układają się twoje stosunki z teściową.

Milczałam przez chwilę.

– Zmarła – powiedziałam wreszcie cicho. – Ale poza tym... Właściwie...

Stałam odwrócona plecami do męża i córki, lecz niemal fizycznie czułam, jak gapią się na mnie i wychwytyują każde słowo. Antek domyślił się widocznie, że nie jestem sama, tym bardziej że za pierwszym razem słuchawkę podniosła Agata.

– Jeżeli nie możesz teraz rozmawiać, to podaj mi numer komórki, zadzwonię kiedy indziej. Albo dam ci swój numer i ty zadzwoń – zaproponował.

Pomimo że to było najprostsze wyjście z sytuacji, odpowiedziałam (już sekundę później sama się dziwiąc własnym słowom):

– Nie, Antek, spokojnie pytaj. Na wszystko odpowiem, jak na spowiedzi.

W tym porównaniu nie było ironii. Przygotowałam się na absolutną szczerłość. W Antku, moim dawnym chłopaku z liceum, widziałam teraz wyłącznie księdza przyjaciela.

– Właściwie nurtuje mnie tylko jedno pytanie. Teraz, kiedy mówisz, że staruszka zmarła, ma ono jeszcze większe znaczenie. Udało ci się to, o czym mówiliśmy – nie osądzać jej i traktować wciąż tak samo bez względu na to, czego dowiedziałas się o jej przeszłości? – spytał.

– Staralam się. A kiedy stałam przy jej łóżku w szpitalu, gdy umierała, te rzeczy stały się dla mnie całkowicie nieistotne. Była to... Była to dla mnie po prostu mama – mówiłam, a po twarzy ciekły mi łzy. Próbowałam je otrzeć ukradkiem.

– Kasiu, przepraszam. Rozumiem, że to dla ciebie bolesne – przerwał mi Antek. – Nie pogniewam się, jeżeli skończymy tę rozmowę.

– Nie, jeszcze nie – zaprzeczyłam szybko. – Chcę ci powiedzieć, że miałaś rację. Ta historia, którą ci opowiedziałam o młodości mamy – pamiętasz ją?

– Pamiętam.

– Nie do końca była prawdziwa. Mama nie była winna. Przynajmniej wszystko na to wskazuje... Chociaż tak naprawdę nie mam dowodów ani na to, że była winna, ani też na to, że nie była – przyznałam.

– Nie musisz ich mieć, prawda? Nie ty jesteś sędzią mamy – powiedział Antek powoli i dobitnie. To nie było zwykłe stwierdzenie, lecz ostrzeżenie, bym nie brała na siebie roli, która mi nie przysługuje.

– Nie jestem – zgodziłam się cicho.

Wymieniliśmy jeszcze parę zdań na inne tematy, z grzeczności spytałam

Antka, jak mu się wiedzie w jego parafii, i wysłuchałam jego relacji o remoncie plebanii. Pożegnaliśmy się, zapewniając się wzajemnie, że będziemy nadal w kontakcie.

– Agatko, wyjdź, proszę, na chwilę do swojego pokoju. Muszę porozmawiać z mamą w cztery oczy – powiedział Wiesław nieswoim głosem, kiedy odłożyłam słuchawkę i powoli, pełna obaw, odwróciłam się w stronę męża i córki. Pomimo sztucznego oświetlenia zauważyłam, że Wiesław jest blady, a mięśnie jego twarzy są nienaturalnie napięte. Córka, która nie słyszała podobnego polecenia od czasów, kiedy była małym dzieckiem, bez słowa podniosła się z fotela i wyszła. Powoli i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Poniedziałek, 14 sierpnia 1944

„Nie mogę tu zostać” – to była pierwsza myśl, która nasunęła się Marcie, ledwo rano otworzyła oczy. Mogła jeszcze spać, dochodziła dopiero piąta. Ale dziewczyna nie potrafiła już zasnąć. „Muszę stąd odejść. Muszę. Tylko dokąd?”

Choć od piątku nie opuściła domu (nie licząc desperackiej wizyty u sąsiadki Brzózkowej po aresztowaniu rodziców), miała wrażenie, że cała wioska wytyka ją palcem: „To jest ta wyrodna córka. Ta niewdzięcznica. Gorsza od swojego ojca alkoholika!”

Wcale tak nie było. Żywocice okryte były żałobą, opłakiwano zabitych i z trwogą szeptano, że od tamtej tragicznej niedzieli aresztowano dwadzieścia osób. Wszyscy już wiedzieli, że gestapo zgarnęło szewca Wiechę i jego żonę. Nikt jednak nie podejrzewał, że na Józefa miałaby donieść jego przybrana córka. Panowało ogólne przekonanie, że aresztowania, podobnie jak mordowanie mężczyzn, którzy nie mieli volkslisty, były częścią jednego i tego samego planu zemsty za śmierć gestapowców w gospodzie Mokrosza.

Brzózkowa, która wiedziała swoje o uwięzieniu Wiechów, milczała. Nie była plotkarką, a poza tym nie miała odwagi rozpowiadać, że ktoś na kogoś doniósł. A nuż gestapo chciałoby wiedzieć, skąd ma takie informacje. Może sama stałaby się podejrzana? O szokującym wyznaniu Marty nie powiedziała nawet mężowi, którego nie było w domu w dniu jej wizyty. W duchu pochwaliła się za swoją przezorność, za to, że nie pozwoliła, by trzynastoletnia Magda przysłuchiwała się zwierzeniom Marty. Kto wie, przed kim smarkula mogłaby się wygadać!

Marta nie miała pojęcia, co dzieje się we wsi. Dopiero Paweł, szwagier Franka, jej powiedział. W niedzielę wieczorem wpadł do niej na chwilę, zaniepokojony, jak dziewczyna radzi sobie po aresztowaniu Józefa i Anny.

– Jutro pojedę do Cieszyna, do gestapo. Spróbuję dowiedzieć się czegoś

o wuju i ciotce – obiecał. Z troską przyglądał się Marcie, która nawet nie tknęła kanapek, które przysłała jej jego żona.

Dziewczynę przestraszyła ta informacja. Co będzie, jeżeli Paweł dowie się od gestapowców, że donos na Wiechów znaleziono w ich własnym domu?

– Nie narażaj się, Paweł. Nie jedź do Cieszyna. Ciebie także mogą aresztować – próbowała odwieść go od jego zamiaru.

– Mam volkslistę – stwierdził na pozór spokojnie. W rzeczywistości bał się odwiedzin na gestapo.

– Tato też miał – szepnęła Marta.

„Nie, nie mogę zostać w Żywocicach” – powtórzyła w myślach, gramoląc się w poniedziałek z łóżka. Ubrała się. Włożyła sukienkę od święta, starannie ułożyła włosy. Jej zadbany wygląd kontrastował z panującym w domu bałaganem, którego ciągle nie miała siły posprzątać. Postanowiła pojechać do Arbeitsamtu. Musi przekonać urzędników, by przydzielili jej inną pracę, z dala od domu. Byle tylko był tam jakiś ką, gdzie mogłaby zamieszkać. Spokojnie będzie harowała gdzieś u niemieckiego rolnika, tak samo jak Polki, które nie miały volkslisty. We wrześniu nie wróci już do przedszkola. Szumbark leżał zbyt blisko.

Rozdział XIII

Odchodzenie

Po weekendzie spędzonym w domu czekała na mnie w ostrawskim biurze niespodzianka. Na moim biurku stała elegancka, wysoka filiżanka z kawą latte. Mleczna pianka lekko przyprószona cynamonem wyglądała bardzo kusząco i równie pięknie pachniała. Andrea stała w drzwiach mojego gabinetu i uśmiechała się delikatnie. Nie ulegało wątpliwości, że spodziewała się pochwały.

– Jak udało ci się wyczarować takie latte?! – Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Podniosłam naczynie, by lepiej przyjrzeć się napojowi. – I skąd mamy takie filiżanki?

Nasza firmowa kuchenka była dotąd wyposażona tylko w mikrofalówkę, czajnik elektryczny i zestaw tanich szklanek. Wrzątkiem zaparzałyśmy kawę rozpuszczalną i sypałyśmy do niej śmietankę w proszku. To był szczyt naszej sztuki parzenia kawy.

– Mówiłaś jakiś czas temu, że przydałby się ekspres do kawy z prawdziwego zdarzenia, chociażby ze względu na naszych kontrahentów, z którymi umawiasz się na spotkania – przypomniała moja sekretarka. Od pewnego czasu byliśmy na ty, podobnie jak z Marcinem.

– Mówiłam, ale... Kupiłaś go? Cieszę się, oczywiście, tylko nie wiem, co Wiktor na to powie. Wiesz przecież, że tylko i wyłącznie mój szef zatwierdza wszystkie nadzwyczajne wydatki.

– Powiedziałam mu o tym. Zgodził się i na ekspres, i na porządne filiżanki. Mogę ci pokazać mail z jego pozwoleniem – odpowiedziała Andrea pewnym siebie głosem. Przyjrzałam się jej z uwagą. Dawniej nie była taka. Każda, nawet najbardziej subtelna krytyka z mojej strony – a Bóg wie, że bardzo rzadko ją krytykowałam – wyprowadzała ją z równowagi. Kuliła się w sobie, chodziła posmutniała. Tym razem wcale się nie przejęła.

Uśmiechnęłam się.

– OK. W takim razie w porządku. Zaparz sobie także kawkę i chodź tu do mnie, mam kilka spraw do omówienia.

Czułam się trochę tak, jakbym już nie siedziała we własnym biurze, tylko na walizkach. Następnego dnia miała odbyć się rozmowa kwalifikacyjna z dwoma kandydatami na miejsce kierownika. To znaczy na moje miejsce. W pierwszej rundzie przesłuchań odpadło siedmiu adeptów, zostało dwóch, o których byłam przekonana, że obaj są kompetentnymi osobami do prowadzenia naszej filii. Trudno będzie wybrać tego lepszego.

Andrea prócz kawy przyniosła stos dokumentów do podpisania. Rozłożyła to wszystko na stole. Wyglądała jakoś inaczej niż zwykle, lecz nie od razu połąpałam

się, na czym ta zmiana polega. Nowa fryzura? Nie, włosy miała ułożone tak jak zawsze. Być może włożyła nową bluzkę, chyba jej jeszcze nie widziałam w tym odcieniu błękitu, ale to raczej też nie to...

– Będą jutro obaj kandydaci? Potwierdzili, że przyjdą? – upewniłam się.

– Potwierdzili.

– No to dobrze. Nie możemy dopuścić, by Wiktor przyjeżdżał tu na darmo.

Andrea przygryzła wargę i lekko się zarumieniła.

– Wiesz, Kasiu, będą jeszcze trzej inni kandydaci. A ściśle mówiąc: kandydatki. Kobiety.

– Trzy inne kandydatki? Nie rozumiem. Omawiałś to może z Wiktorem?

– Nie – przyznała.

– Co to ma znaczyć? – zirytowałam się. – Słuchaj, Andreo, jeszcze pracuję w tym biurze i jeszcze szefuję tej filii. Zaprosiłaś jakieś osoby bez mojej wiedzy? Tak po prostu?

– Tak, ale...

– Żartujesz! – Teraz już byłam naprawdę wściekła. Wstałam gwałtownie. Tak gwałtownie, że moja filiżanka niebezpiecznie się zachwiała. Bez wątpienia przewróciłaby się, gdyby Andrea nie przytrzymała jej w ostatniej chwili.

– Uspokój się, Kasiu, proszę! – zawołała błagalnie. – Zaraz wszystko wytłumaczę!

– Mam nadzieję – warknęłam, sadowiac się na powrót przy biurku. Skrzyżowałam ręce na piersiach w wyczekującym geście.

– W tym biurze będzie potrzebna nowa sekretarka. Chciałam ci zaoszczędzić pracy i sama zaczęłam jej szukać. Znalazłam trzy osoby, które mogłyby się nadawać – wyrzuciła z siebie tonem dziecka, które daje do zrozumienia, że zrobiło po swojemu, bo nie chce mu się słuchać starszych.

Zaniemówiłam. Andrea zamierza odejść? Zawsze powtarzała, jak bardzo się cieszy, że może u mnie pracować. Miała kompleksy z powodu egzemy, opowiadała, że nikt nie chce jej zatrudnić, bo...

Chwileczkę... Teraz jej twarz jest czysta. Łuszczące się czerwone plamy zniknęły. Nie tylko z twarzy, także z rąk. To jest ta zmiana, która spowodowała, że kobieta wygląda inaczej, korzystniej niż zwykle!

– Andreo, masz jakieś nowe lekarstwo? Twoja cera niesamowicie wyładniała – powiedziałam z zachwytem, zapominając, że przed chwilą byłam zła na sekretarkę.

Napięte mięśnie jej twarzy rozluźniły się w uśmiechu.

– Hormony zadziałały. Nie te w tabletkach, tylko... naturalne.

– Hormony? – Chwilę trwało, nim zrozumiałam, co chciała przez to powiedzieć. A kiedy sens jej słów do mnie dotarł, ujęłam w ręce obie jej dłonie i mocno uścisnęłam. – Jesteś w ciąży, tak?!

– Tak, Kasiu, wyobraź sobie! Udało się!

Była taka szczęśliwa. Zupełnie jak ja, kiedy po raz pierwszy zaszłam w ciążę. To było wtedy, kiedy spodziewałam się narodzin Łukasza. Dawno, bardzo dawno temu.

– Chcesz zaraz odejść? Nie będziesz pracowała do porodu? – zdziwiłam się. Może za wcześnie szukać teraz sekretarki. Niech nowy kierownik później się tym martwi. Mnie już tu przecież prawie nie ma.

– Nie chcę, ale lekarz uważa, że tak będzie lepiej. Wiesz dobrze, jak długo nie udawało nam się począć dziecka. Doktor twierdzi, że na wszelki wypadek powinnam iść na zwolnienie. Woli dmuchać na zimne – wyjaśniła.

Odejdziemy więc obie. Przyjdą inni ludzie. Tylko Marcin zostanie w marketingu. Moja czeska misja dobiega końca. Jeszcze tylko muszę pożegnać się z Żywocicami.

Po południu kupiłam dużą wiązanekę białych i czerwonych gerber. Pojechałam do wioski, w której wychowała się moja teściowa. Dość długo chodziłam po lesie, przemierzałam ścieżki i przedzierałam się przez zarośla, nim odnalazłam kamienny pomniczek z nazwiskiem Franciszka Podstawki. Pod nim położyłam bukiet. Zanim odeszłam, zrobiłam komórką zdjęcie. Wyślę je Wiesławowi.

Wtorek, 15 sierpnia 1944

Tego wieczoru Paweł ponownie pojawił się w domu Marty. Uważnie przyjrzał się jej poblądłej twarzy. Przez otwarte na oścież drzwi sypialni zobaczył, że na podłodze nadal leżą rzeczy, które porozrzucali Niemcy.

– Posprzątam to – powiedziała cicho dziewczyna, jakby spodziewała się, że zostanie zbesztana.

Paweł nic na to nie powiedział. Dręczyły go gorsze rzeczy. Jak przekazać Marcie niepomyślne wiadomości?

Usiadł obok niej i w przyjacielskim geście otoczył ją ramieniem.

– A więc byłem w Cieszynie, u gestapo – zaczął.

Marcie serce podeszło do gardła. Powiedzieli mu o donosie? Strząsnęła rękę mężczyzny. Nie chciała, by jej dotykał. Nie zasługiwała na żadne gesty pocieszenia.

– Ale najpierw wybrałem się do Śmiłowic, do brata twojego ojca. Mama Marysi naciskała na mnie, bym nie szedł do gestapo z pustymi rękami. Wuj spakował mi pełną torbę mięsa i przetworów.

– To ładnie z jego strony.

Paweł westchnął. Efekty tych zabiegów były, niestety, niezbyt przekonujące.

Gestapowiec, który miał go przyjąć, kazał mu godzinę czekać na korytarzu. Kiedy wreszcie wezwał go do swojego biura, od razu zaznaczył, że ma bardzo mało czasu. Paweł zaręczał go, że Józef Wiecha na pewno nie pomagał partyzantom, że to jakaś pomyłka. Ma volkslistę, jest wierny Rzeszy, tak samo jak jego brat, który przysyła gestapowcom „ten oto mały prezent”.

Nie ulegało wątpliwości, że paczka z mięsem i przetworami zainteresowała policjanta. Od początku zresztą musiał się domyślać, co petent trzyma w swojej torbie, ponieważ zapach unosił się naokoło. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Zaraz jednak na nowo nabrała surowego wyrazu.

– Nie możemy uwolnić Josefa Wiechy ani jego żony – powiedział twardo. – Trwają przesłuchania. Wszystko wskazuje na ich winę.

– Jest szansa, że później, kiedy przesłuchania się skończą, wyjdą na wolność? Jestem pewien, że nie zawinili. – Paweł dalej próbował szczęścia.

Gestapowiec wstał, dając tym samym do zrozumienia, że rozmowa dobiega końca. Był chudy, wręcz patykowaty. Kiedy stał, jeszcze bardziej rzucało się to w oczy.

– Nie możemy uwolnić Wiechów – powtórzył. – *Das ist unmöglich*. W ogóle nie będę o tym dyskutował.

Paweł przełknął ślinę. Nie odważył się sprzeciwić.

– Ale oni mają jeszcze przybraną córkę, prawda? – rzucił tamten.

Paweł poczuł, że serce bije mu mocniej. Co Niemiec chce przez to powiedzieć? Bez słowa skinął tylko głową.

– Ona także miała być aresztowana. Ale być może damy jej spokój. Pod warunkiem że sama w ciągu tygodnia wyniesie się z domu. Dom Wiechów zostanie przydzielony niemieckiej rodzinie. *Verständlich?*

– Tak, rozumiałe – powiedział cicho Paweł, kładąc rękę na klamce. Patrząc w nieprzenikloną twarz gestapowca, nie miał odwagi prosić go o nic więcej.

– Przykro mi, że nie udało mi się nic wskórać w sprawie twoich rodziców – powiedział Paweł, kończąc opowieść o wizycie na gestapo. – Ale wygląda na to, że „prezent” od wuja przynajmniej ciebie uchronił przed aresztowaniem.

– Dziękuję. Ja nie miałabym ani siły, ani odwagi, by stawić czoło gestapowcom – powiedziała dziewczyna i po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała mu w oczy. Wyglądało na to, że o donosie nie padło nawet słowo.

– Nie ma za co. – Ścisnął jej rękę. – Teraz musimy pomyśleć o tobie. Zrozumiałaś, że nie możesz tu zostać?

– Zrozumiałam...

– Rozmawiałem już o tobie z żoną i z jej mamą. Możesz zamieszkać u nas. Od zaraz.

Marta gwałtownie zaprzeczyła:

– Nie mogę!

– Nie możesz? Dlaczego? – Paweł nie rozumiał jej reakcji. – Psa zabierzesz ze sobą, nie będzie nam przeszkadzał. A kury i króliki i tak musisz zostawić tym przesiedleńcom.

– Nie mogę – powtórzyła Marta. Jak ma powiedzieć Pawłowi, że nie mogłaby spędzić nawet jednej nocy w domu, w którym mieszkał Franek? Zresztą ma już własne plany.

Mężczyzna inaczej zrozumiał jej wahania. Sądził, że to duma nie pozwala dziewczynie zdać się na łaskę krewnych.

– Masz swoją pracę i swoje zarobki, więc nie musisz się obawiać, że będziesz dla nas ciężarem. Marysia wkrótce urodzi, ucieszy się, jeżeli od czasu do czasu pomożesz jej z dzieckiem – próbował ją przekonać.

„Dwanaście lat temu miałam pomagać Annie z niemowlęciem. Ale urodziło się martwe. Może Marysi też przyniosłabym pecha?” – pomyślała gorzko.

– Nie, Paweł. Wyniosę się stąd, ale nie do was.

– Dokąd chcesz iść? – Nie rozumiał. – Myślę, że nie masz wyboru.

– Zostaw mnie, u licha, w spokoju! – zdenerwowała się.

Mężczyzna wstał. No cóż, nie będzie jej przekonywał. Miał dosyć własnych zmartwień. Rano, goląc się, zauważył w zwierciadle, że na jego skroniach pojawiły się pierwsze siwe włosy. A miał przecież dopiero trzydzieści lat. Był pewien, że jeszcze kilka dni temu ich nie było. W domu czekały na niego dwie kobiety pogrążone w rozpacz po śmierci syna i brata. Nie miał sił przekonywać trzeciej, że powinna skorzystać z jego pomocy.

Marta oprzytomniała po wyjściu Pawła. Odzyskała wolę działania. Wiadomość, że nie może zostać w tym domu, w którym przeżyła wiele pięknych lat, w obecnej sytuacji była jej na rękę. Przynajmniej nikt nie będzie się dziwił, że przepadła gdzieś bez śladu.

Do późnego wieczora sprzątała dom. Potem wyciągnęła z szafy kufer ojca i zaczęła się pakować. Jutro pojedzie pociągiem do Skoczowa. W urzędzie pracy wystawili jej skierowanie do fabryki koców.

Skoczów... Miasto, w którym przyszła na świat... Czy urzędniczka specjalnie ją tam wysłała, kiedy przeczytała w dokumentach, że urodziła się w Skoczowie? Tak naprawdę to było dla Marty obce miasto. Z opowiadań taty wiedziała, że mieszkali tam z mamą po ślubie. Jego wuj, brat babci, który był szanowanym w mieście adwokatem i miał duży i nowoczesny dom, udostępnił im dwa pokoje. Właśnie tam Marta przyszła na świat i tam zmarła jej mama. Wkrótce potem ojciec zabrał niemowlę i wrócił do Żywocic, do mamy i siostry. Wuj

adwokat, który był kawalerem, proponował mu co prawda, że będzie w Skoczowie opłacał nianię dla dziewczynki, lecz Rudolfa poniosła duma. Nie pozwoli, by ktoś inny płacił za opiekę nad jego własnym dzieckiem. A jego nie było stać na takie wydatki.

„Czy wuj jeszcze żyje? Ile miałby teraz lat? Był bratem mojej babci, a ta dawno już umarła...” – zastanawiała się teraz Marta.

Długo już nie wspominała rodziny swojego rodzzonego ojca, Rudolfa Bazylicza. Nawet cioci, jego siostry, która była dla niej jak matka. Dlaczego wtedy wyjechała do Pragi? Sześciolatka Marta tak bardzo jej potrzebowała.

Ciocia także już nie żyje, zmarła młodo na jakieś zakażenie. Marta nie miała pojęcia, jak potoczyły się dalsze losy jej męża i ich dzieci, z którymi tak lubiła się bawić. Nagle boleśnie zatęskniła do tych najwcześniejszych, szczęśliwych lat dzieciństwa. Do kuzynki Agnieszki, która była tylko o kilka miesięcy starsza od Marty, do kuzyna Staszka, który strugał dla niej piszczałki z drewna.

Staszek był jej prawdziwym kuzynem, nie przyszywanym jak Franek.

Znów się rozkleiła... Musi wziąć się w garść. Zaczęła dzielić rzeczy na te, które zabierze ze sobą, i te, które zostawi w domu. Spakuje tylko dokumenty i wszystko to, czego będzie potrzebowała na co dzień. Rodzinne fotografie i listy Eryka z frontu zostawi w domu. Nawet jeśli miałyby wpaść w obce ręce. Nie do niej zresztą były adresowane, tylko do Józefa i Anny.

Nie chciała zabierać wspomnień rozdzierających serce. Zacznie nowe życie jak osoba bez przeszłości.

Przed snem napisała jeszcze list do Pawła. Położy go na kuchennym stole. Nie wątpiła, że za dzień lub dwa szwagier Franka zajrzy tu, by sprawdzić, co u niej nowego. Miała nadzieję, że domyśli się, iż klucz znajdzie pod wycieraczką. „Nie martwcie się o mnie i nie szukajcie mnie. Mam nową pracę. Wyjeżdżam. Weź, proszę, do was Bryka. Dziękuję za wszystko. Marta”.

Rano nakarmi jeszcze kury, króliki i psa i zostawi zwierzętom zapas wody. Potem będzie już gotowa do drogi.

Jeszcze raz sprawdziła sypialnię rodziców i swój pokój. Chciała mieć pewność, że wszędzie jest idealnie czysto. Przedtem przez kilka dni panował tu bałagan, lecz teraz zależało jej, by zostawić dom w nieskazitelny stan. Zamykała przecież cały jeden etap swojego życia. „Pierwszy zakończył się pożarem i samobójstwem ojca, drugi śmiercią dwóch bliskich mi mężczyzn, moją zdradą i aresztowaniem rodziców. Czego mogę się spodziewać po kolejnych rozdziałach?” – pomyślała z goryczą.

Zaglądała we wszystkie zakamarki, wymiatała miotłą kurz spod mebli.

Spod komody w swoim pokoju wymiotła kartkę.

To był arkusz z naklejonym napisem „Józef Wiecha naprawia buty partyzantom”. Musiał tam sfrunąć, kiedy Niemcy wysypywali zawartość szuflad.

Nie zabrali go. Donos Marty nie trafił w ręce gestapo.

Zgniotła go w kulę i wrzuciła do pieca w kuchni. Ręka jej drżała z przejęcia, kiedy z poczuciem ogromnej ulgi przyłożyła zapalnik do papieru. Z uśmiechem na twarzy przyglądała się płomieniom, które zamieniły go w garstkę popiołu.

Od pożaru, którego doświadczyła w dzieciństwie, bała się ognia. Ogień był dla niej nocnym koszmarem, zwiastunem śmierci i bólu. Teraz przestała się go bać. Po raz pierwszy od dwunastu lat patrzyła na płomień jak na symbol nadziei i nowego początku.

– Mama i tato wrócą do domu – powiedziała głośno i przekonująco.

Wyszła na ganek. Znowu był piękny, pogodny wieczór. Marta nieśmiało zaczęła wierzyć, że jej życie kiedyś, może nie od razu, może w dalekiej przyszłości, będzie jeszcze szczęśliwe.

Przytuliła psa, który podbiegł do niej, merdając przyjaźnie ogonem. Nie martwiła się, że go tu zostawi. Wiedziała, że trafi do dobrych ludzi.

Epilog

Pociąg pospieszny relacji Warszawa–Bielsko-Biała stał już na peronie. Do odjazdu zostało niespełna dziesięć minut. Krystyna Bielan, ciągnąc za sobą zgrabną seledynową walizeczkę na kółkach (kupiła ją specjalnie na wyjazd do stolicy), szukała wzrokiem swojego miejsca w wagonie. Znalazłszy wreszcie numer pięćdziesiąt sześć, ten sam, który widniał na miejscówce, zdjęła płaszcz i szalik, walizkę bez większego wysiłku umieściła na półce i rozsiadła się wygodnie. W przedziale panował spokój, prócz niej siedziało tam tylko starsze małżeństwo prowadzące przyciszoną rozmowę.

Dziennikarka przymknęła oczy. Normalnie od razu wyciągnęłaby tabletki albo książkę, bo nie znosiła bezczynności, lecz teraz przyjemniejszym zajęciem wydawało jej się odtwarzanie w myślach tych przemiłych dwóch dni, które właśnie – niestety – dobiegały końca. Zresztą na lekturę będzie miała jeszcze dosyć czasu – podróż z Warszawy do Bielska potrwa prawie pięć godzin, a potem miała przesiąść się jeszcze do autobusu, który zawiezie ją do Cieszyna.

Pociąg ruszył. Zostawił za sobą jarzący się światłami dworzec Warszawa Centralna i nabierał coraz większej prędkości. Ktoś rozsunął drzwi przedziału. Młody, szczupły chłopak o brązowych falowanych włosach i lekko zarosniętej twarzy rozglądał się w poszukiwaniu swojego miejsca. Taszczył dużą walizę. Widocznie przyjechał prosto z lotniska, bo do uchwytu przymocowany miał papierowy identyfikator.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnął się przelotnie do Krystyny, sadowiąc się naprzeciwko niej.

Odwzajemniła jego uśmiech. „Sympatyczny – pomyślała. – W dodatku trochę podobny do Marcina”.

Marcin... Jak to dobrze mieć takiego udanego siostrzeńca, zwłaszcza jeżeli człowiek nie ma własnych dzieci. Gdyby nie Marcin, nie byłoby jej dzisiejszego sukcesu. Powinna o tym pamiętać. „Połowa nagrody pieniężnej będzie jego” – postanowiła.

Kiedy kilka miesięcy temu Marcin zwrócił się do niej z prośbą, by spróbowała pomóc jego pracodawczyni w rozwiązaniu zagadki teściowej, od razu była pewna, że z tego może się urodzić niezwykle ciekawy temat. Taki, którego szkoda nawet do prowincjonalnego wydawnictwa typu „Głos Naszej Ziemi”. Ostatecznie reportaż pokazał się co prawda w jej macierzystej gazecie (i został wynagrodzony dość sowną, jak na warunki tego pisma, premią), lecz na tym się nie skończyło. Krystyna wysłała swój tekst na konkurs dla dziennikarzy polonijnych organizowany przez warszawską fundację „Ponad Granicami”. Była pewna, że ma szansę na sukces, dlatego nawet niespecjalnie się zdziwiła, kiedy powiadomiono ją,

że została laureatką pierwszej nagrody i wobec tego ma przyjechać na dwa dni do Warszawy. Trochę tylko była rozczarowana, że redaktor naczelny nie zechciał jej towarzyszyć. Czyżby nie uważał jej sukcesu za sukces całej redakcji? A może wcale się nie cieszył z jej osiągnięcia, bo obawiał się, że skoro jest taka dobra, to będzie starała się wygryźć go ze stanowiska?

„Też coś” – obruszyła się w duchu. Wcale jej nie zależało na tym, by szefować gazecie. Lubiła to, co robiła przez ostatnich dwadzieścia lat, a więc pisanie, jeżdżenie w teren, zbieranie informacji. Szkoda tylko, że region, który leżał w kręgu zainteresowań „Głosu Naszej Ziemi”, był taki mały. Im lepiej go znała, tym bardziej kurczył się w jej oczach. Taka praca w ogólnopolskim dzienniku lub magazynie ilustrowanym – to dopiero byłoby coś. Pisałaby nie dla kilku tysięcy, lecz kilkuset tysięcy czytelników!

Tego wieczoru Krystynie wydawało się, że w jej życiu wszystko może się jeszcze wydarzyć. To uczucie było dla niej czymś nowym, nie zaznała go od wielu, wielu lat. Chyba od momentu, kiedy przed dziesięciu laty mąż rozwiódł się z nią, dowiedziawszy się, że jego żona nigdy nie będzie miała dzieci.

Nieważne! Przecież nie o tym draniu miała rozmyślać, tylko o eleganckiej uroczystości, na której szef fundacji w towarzystwie senatora z Komisji Łączności z Polakami za Granicą wręczał jej nagrodę. Obaj bardzo pochlebnie wyrażali się o jej reportażu.

Nie wytrzymała. Wstała i wyciągnęła z walizki gazetę, którą wiozła ze sobą. Otworzyła ją na środku, bo tam, na rozkładówce, znajdował się jej obszerny, zajmujący dwie kolumny artykuł. Koledzy z redakcji śmialiby się, widząc, jak po raz kolejny delektuje się swoim własnym tekstem. I co z tego? W końcu ani Grzegorz, ani Romek, ani nawet Halina, która była naprawdę dobrą dziennikarką, nie zdobyli dotąd żadnej prestiżowej nagrody.

„Odkryła tajemnicę teściowej” – tak brzmiał tytuł. Wstęp wydrukowany był grubą czcionką: „Przyjazd do Ostrawy zmienił Katarzynie Kulesz życie. Nad Ostrawicą miała sprzedawać dywany, tymczasem natrafiła na ślady tragicznej historii z młodości swojej teściowej. W rozwiązaniu rodzinnej zagadki pomógł jej student historii, młody Polak mieszkający na Zaolziu”.

Krystyna uśmiechnęła się triumfalnie. Przypomniała sobie, jak przyjezdna z Piotrkowa początkowo za nic w świecie nie chciała zgodzić się na opublikowanie rodzinnej historii, tymczasem już kilka miesięcy później pozwoliła, by Krystyna nagrała jej opowieść na dyktafon. Nie dość tego – także jej na pozór mało przystępny małżonek wypowiadał się do gazety. Dziennikarka odniosła nawet wrażenie, że wspólna praca nad tekstem do „Głosu Naszej Ziemi” była dla Kuleszów rodzajem małżeńskiej terapii.

Redaktorka przeleciała wzrokiem część tekstu i zatrzymała się na jednej z wypowiedzi Wiesława Kulesza: „Moja żona nigdy nie interesowała się historią.

Trochę mnie to bolało, bo czułem, że nie docenia tego, czym się zajmuję, miałem wrażenie, że z pobłażaniem traktuje moją pracę. Gwoli sprawiedliwości muszę jednak przyznać, że ja w podobny sposób traktowałem jej pracę, czyli handel”. „Mąż ujął to bardzo dokładnie, nawzajem lekceważyliśmy swoją pracę. Po powrocie do domu nie miałam w zwyczaju opowiadać Wiesiowi o tym, co wydarzyło się w firmie, a on nie zwierzał mi się, jak spędził dzień na uniwersytecie. Dopiero kiedy w Ostrawie poznałam młodego chłopaka studiującego historię i okazało się, że ten chłopak może mi pomóc w uchyleniu rąbka tajemnicy naszej rodziny, zaczęłam inaczej patrzeć na dziedzinę, którą zajmuje się Wiesław” – opowiadała w artykule Katarzyna Kulesz.

Krystyna uśmiechnęła się na wzmiankę o swoim siostrzeńcu. Przeskoczyła wzrokiem na drugą stronę. Akapit, w którym Wiesław opowiadał, jak żona zaskoczyła go swoim odkryciem dotyczącym jego mamy, był zdecydowanie najciekawszy. „To był dla mnie szok, kiedy przypadkowo, z rozmowy, którą Kasia prowadziła ze znajomym księdzem, dowiedziałem się, że grzebała w przeszłości mojej mamy. Najpierw czułem się dotknięty, wręcz zbulwersowany, lecz kiedy wszystko mi opowiedziała, nagle poczułem ulgę. To zabrzmiało absurdalnie, ale choć jestem historykiem i wiem, gdzie czego należy szukać, nigdy nie próbowałem szperać w przeszłości matki. Mama była bardzo powściągliwa, jeśli chodzi o dzieciństwo i młodość, nigdy nie chciała opowiadać o tym okresie swojego życia. Czułem, że ma po temu jakieś poważne powody. Może bałem się otworzyć puszkę Pandory? Teraz wiem, że mama przeżywała trudne czasy, wiem, że nie zawsze postępowała tak, jak trzeba, ale właśnie dzięki temu jest mi jeszcze bardziej bliska”.

Do przedziału wszedł konduktor. Sięgając do kieszeni płaszcza po bilet, Krystyna wypuściła z rąk gazetę, a ta zsunęła się na podłogę. Młody mężczyzna z naprzeciwka schylił się po nią, rzucił okiem na zdjęcia i... znieruchomiał.

– Co to za gazeta? – spytał, kiedy konduktor oddał im bilety.

– „Głos Naszej Ziemi” – wyjaśniła Krystyna. – Nie będzie pan tego znał... To taka regionalna sprawa.

– Gdzie to się pokazuje?

– W Czechach, a dokładnie w Czeskim Cieszynie. To gazeta Polaków mieszkających w Republice Czeskiej – wyrecytowała oficjalną definicję.

– Mogę przeczytać ten artykuł? – spytał i nie czekając na odpowiedź, zaczął pożerać wzrokiem treść.

Ucieszyło ją to niebywale zainteresowanie jej artykułem, lecz przede wszystkim zdziwiło. W miarę jak chłopak czytał, zmieniał wyraz twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że mocno przeżywa opisaną w gazecie historię. Kiedy skończył, z ledwo słyszalnym „dziękuję” oddał „Głos” Krystynie.

– Wolno mi zapytać, co w tym tekście przykuło pańską uwagę na tyle, że od

razu chciał go pan przeczytać? – spytała ostrożnie, choć chłopak nie sprawiał wrażenia, że chciałby nawiązać z nią rozmowę. Przymknął oczy i udawał, że zapadł w drzemkę.

– Wydawało mi się, że znam bohaterów tego artykułu. Ciekawa historia. Dziękuję za pożyczenie – odpowiedział, na chwilę tylko otwierając oczy i ponownie je zamykając. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma ochoty na dalszą konwersację.

Po dwudziestu minutach, kiedy pociąg zaczął zbliżać się do Piotrkowa, chłopak ubrał się, rzucił Krystynie krótkie, lecz uważne spojrzenie i pożegnał ją zdawkowym „do widzenia”.

Szedł po peronie szybkim, sprężystym krokiem, podekscytowany zbliżającym się momentem, kiedy po blisko roku nieobecności zadzwoni do drzwi mieszkania rodziców.

I powie im, że przed chwilą przeczytał w gazecie ich rodzinną historię.

Koniec

Od autorki

Bohaterowie tej powieści są postaciami fikcyjnymi i nie są rzeczywistymi ofiarami zbrodni, którą popełnili hitlerowcy w Żywocicach na Śląsku Cieszyńskim 6 sierpnia 1944 roku, ani też nawiązujących do tej zbrodni aresztowań. Wyjątek stanowi Zenon Kozusznik, który nie tylko w mojej powieści, lecz także w rzeczywistości był najmłodszą ofiarą mordu.

Postaciami historycznymi są niektóre osoby występujące epizodycznie, mianowicie wójt Henryk Mokrosz, żandarm Fritz Sattler oraz rzeźnik Franciszek Pawlas, którego rodzina została aresztowana za pomoc partyzantom.

Losy bohaterów są fikcją literacką, zawarte zaś w książce wydarzenia wojenne zostały przedstawione zgodnie z faktami historycznymi. Opisu je, korzystałam przede wszystkim z publikacji naukowych czeskiego historyka Mečislava Boráka oraz, w mniejszym stopniu, z osobistych rozmów z żyjącymi jeszcze świadkami żywocickiej tragedii.



Danuta Chlupová jest Polką, lecz od urodzenia mieszka w Czechach. Jej małą ojczyzną jest Zaolzie – część Śląska Cieszyńskiego, która przed blisko stu laty została włączona do ówczesnej Czechosłowacji. Z wykształcenia ekonomistka, z zawodu i zamiłowania dziennikarka, mieszka z rodziną w spokojnym miejscu pod lasem, w którym w czasie wojny odegrały się dramatyczne wydarzenia. To one stanowią tło jej debiutanckiej powieści „Blizna”.

Blizna

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-766-9

© Danuta Chlupová i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paulina Zyszczyk

KOREKTA: Katarzyna Kusoń, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA: Seweryn Swacha

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



